

PREZYDENT ANDRZEJ DUDA

BEZKOMPROMISOWO O KULISACH KAMPANII I RZĄDZENIA

UJAWNIAMY
JAK TUSK KŁAMIE W SPRAWIE 500+

KRWAWY ZABÓJCA JAKUB SZELA NOWYM IDOLEM III RP?

KARCZEWSKI:
ODBUDUJEMY SERCE WARSZAWY!

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 29 (451) 2021
19–25 lipca 2021

CENA: 6,90 zł (w tym 8% VAT)

NASZE ŚLEDZTWO

SIEDZIBA NA LOTNISKU I INNE WĄTPLIWOŚCI

KTO NAPRAWDĘ TRZYMA TVN

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

9 772544 269106 29

eprasa.pl/3657561b6e

PIŁKA
PO TWOJEJ STRONIE



TANKUJ
KUPUJ
ZDOBYWAJ

Promocja trwa od 8.06 do 9.08.2021 r. lub do odwołania.
Szczegóły, lista stacji biorących udział w promocji oraz regulamin dostępne na stacjach LOTOS oraz na pilki.lotos.pl.
Organizator: LOTOS Paliwa Sp. z o.o., 80-718 Gdańsk, ul. Elbląska 135.

LOTOS

Czy umiemy i chcemy obronić niepodległość i wolność?

Poruszyła mnie drobna notatka prasowa stwierdzająca, że trzech byłych polskich premierów, dziś posłów w Parlamencie Europejskim, w ostrym tonie zażąda od szefowej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen informacji o przebiegu spotkania z szefem polskiego rządu Mateuszem Morawieckim.

Polityków zaniepokoiło, że wedle nieoficjalnych doniesień spotkanie przebiegło w dobrej atmosferze, polski plan odbudowy jest pozytywnie oceniany, możliwe są kompromisy na wielu polach i generalnie sprawy idą w dobrym dla Polski kierunku. Co więcej, szefowa Komisji Europejskiej miała podkreślić, że Polska jest wśród krajów, które przykładają niezwykle dużą wagę do uczciwości wydawania środków, że nie ma u nas żadnego przyzwolenia na korupcję.

Nie wiem, czy z tej dobrej rozmowy coś konkretnego wyniknie, jakieś danie Polsce chwili spokoju. Znawcy spraw zwracają uwagę, iż w relacjach Polski z Brukselą tylu szatanów jest czynnych, by znów zacytować poetę Kornela Ujejskiego, że tego typu zarysy kompromisów szybko są rozbijane.

Zwyczajnie grillowanie Polski niektórym państwom i grupom wpływu się opłaca, jest warunkiem trwania ich karier lub jest widziane jako narzędzie do przejęcia tu władzy. Ale to, że można tak otwarcie grać na klęskę Polski i Polaków, zawstydza.

Kwestia jawnej gry przeciw Polsce, widzenia w jakichś karach i sankcjach drogi do sukcesu, to tylko refleks, odbicie głębszego procesu. Trzeba powiedzieć jasno, że państwo polskie, jego ustrój i elity przechodzą dziś fundamentalny sprawdzian. Czy umiemy i chcemy obronić niepodległość, suwerenność i demokrację? Ile dla nas znaczy Konstytucja RP, która jasno określa ramy współpracy międzynarodowej i nie pozwala na obejmowanie nadzorem, także brukselskim, kolejnych obszarów naszego życia społecznego i gospodarczego? Czy pozwolimy biurokracji unijnej na sprawowanie kontroli, wymuszanie jakiejś kontrasygnaty, zgody w kolejnych sferach, w żaden sposób nieujętych w unijnych traktatach? Może za chwilę trybunały unijne zażądają prawa akceptacji wyniku polskich wyborów? To też przyjmiemy?

Stan prawny jest precyzyjnie opisany: są sfery, w których Polska przekazała własne uprawnienia instytucjom unijnym. I tu nikt z tym nie polemizuje. Choćby wspólny rynek, część polityki rolnej, wspólny budżet. Ale są takie obszary, które pozostają wyłączną kompetencją państw narodowych. Jak edukacja, organizacja sądownictwa, w tym sądownictwa dyscyplinarnego sędziów. A jednak Bruksela wyciąga po nie ręce, chce nadzorować, decydować. Tu jest istota problemu: w sięganiu przez różne instytucje unijne po władzę w obszarach, o których – jak celnie przypomniał ostatnio na antenie TVP prof. Ryszard Legutko – nie ma ani słowa, ani litery w unijnych traktatach. To jawna przemoc. Minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro, mówiąc o tym, użył pojęć „agresja prawna" i „uzurpacja". I trudno się z tym nie zgodzić.



Widać i czuć, że spór ten wchodzi w fazę przesilenia. Oto usłyszeliśmy wyrok Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, uznający polski system odpowiedzialności dyscyplinarnej sędziów za niezgodny z prawem UE. Co ciekawe, w innych państwach identyczne rozwiązania są zgodne z prawem Unii. A precyzyjnie – nikt nawet o to nie pyta, bo to nie jest unijna kompetencja.

Rozstrzyga się w tych dniach, przez serię wyroków TSUE z jednej strony i polskiego Trybunału Konstytucyjnego z drugiej, rzecz zasadnicza – czy polska konstytucja jest najwyższym prawem w Polsce, czy też nadrzędne jest wobec niej prawo unijne? A właściwie dowolne polecenie przekazane pod tym płaszczykiem.

Co ciekawe, destrukcyjne skutki siłowych prób rozszerzania swoich kompetencji przez niektóre instytucje unijne wskazał w komentarzu w dzienniku „Tagesspiegel" wpływowy publicysta niemiecki Christoph von Marschall. W tekście zatytułowanym „Tak rozpada się Europa" ostrzegł: „Czy UE postąpiła mądrze, doprowadzając konflikt o prawa do skrajności? Osiąga coś wręcz przeciwnego: dzieli Europę. [...] Wielu ekspertów prawa europejskiego zaprzecza, by prawo UE miało automatyczny priorytet".

Oby to był głos otrzeźwienia. Bo świat, w którym o wszystkim będą decydowali urzędnicy czy sędziowie przez nikogo niewybrani, niemający za sobą demokratycznego mandatu, nieodwoływalni, coraz bardziej będzie przypominał tyranię. Nawet jeśli ktoś dziś uważa, że taka tyrania jest w jego interesie, prędzej czy później się przekona, jak słona jest cena utraty suwerenności i wolności. Fakt, że tym razem próba ta odbywa się pod błękitnymi sztandarami, niewiele zmienia.

Michał Karnowski

Reklama | 15/0621/F

SIECI spis treści



52 Kosmiczny biznes
Konrad Kołodziejski



55–62 Polacy poza horyzontem
odc. 6



74 Z Antonim Piechniczkiem
rozmawia Cezary Kowalski

NA POCZĄTEK

6 SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 NASZE RODZINNE WAKACJE
Dorota Łosiewicz

10 ŚWIATOWE ŻYCIE
redaguje Konrad Kołodziejski

12 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU
Dominik Zdort

13 O PRAWIE, KŁAMSTWIE I NIEPODLEGŁOŚCI
Bronisław Wildstein

14 WALIZKA ASI BURRILL
Michał Korsun

16 OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki

17 STOP REKLAMOWEMU CHAOSOWI
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 TOMASZ GRODZKI – REFORMATOR I TWÓRCA
Jerzy Jachowicz

TEMAT TYGODNIA

20 OD URBANA DO AMERYKANA
Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

26 WIDMO KIEROWNIKA
Stanisław Janecki

29 WIELKA MANIPULACJA TUSKA
Kamil Kwiatek

32 ZE STANISŁAWEM KARCZEWSKIM
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

36 KRWAWY ZABÓJCA – NOWY IDOL III RP
Jakub Augustyn Maciejewski

40 Z ANDRZEJEM DUDĄ
rozmawiają Marzena Nykiel, Jacek Karnowski, Krzysztof Skowroński

44 POLACY NA GENETYCZNYM ARCHIPELAGU
Przemysław Barszcz

ŚWIAT

46 NAJDZIWNIEJSZY ZAMACH STANU
Marek Budzisz

49 WOLNOŚĆ SŁOWA NA OPAK
Jan Rokita

52 KOSMICZNY BIZNES
Konrad Kołodziejski

MUZEA

63 MUZEUM II WOJNY ŚWIATOWEJ W GDAŃSKU
Dodatek historyczny

SIECI KULTURY

67 Z DALA OD SIEBIE
Jolanta Gajda-Zadworna

69 CHŁOPAK Z POWIŚLA
Jerzy Biernacki

70 POKOLENIE ZNAKU ZAPYTANIA
Robert Tekieli

71 WOJNA CYWILIZACJI
Robert Tekieli

72 ADAMSKI POLECA
Łukasz Adamski

SPORT

74 Z ANTONIM PIECHNICZKIEM
rozmawia Cezary Kowalski

GOSPODARKA

78 KRYTYKA NEOLIBERALNEGO UMYSŁU. O BUDOWIE SPOŁECZEŃSTWA OTWARTEGO
Piotr Patkowski

81 POLSKI ŁAD JUŻ DZIAŁA
Dodatek edukacyjny

KUCHNIA

90 MOJE SMAKI: MAORI MUROTA
Jolanta Gajda-Zadworna

91 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

92 VIVAT KONSTYTUCJA!
Wojciech Reszczyński

94 IGRZYSKA NONSENSU
Aleksander Nalaskowski

96 WIRÓWKA NORMALNOŚCI
Ryszard Makowski

97 ARCYDZIEŁO I PERŁA…
Leszek Długosz

98 PĘTLA
Andrzej Zybertowicz

Reklama | 35/0721/F

eprasa.pl 3c57561b6e

BGK
BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO

Lepsza codzienność polskich rodzin



POLSKI ŁAD

Rządowy Fundusz Polski Ład
Program Inwestycji Strategicznych

Ten Fundusz jest dla Ciebie.

Powstał, żeby dofinansować gminy, powiaty, miasta i województwa.
By mogły zmieniać codzienność milionów polskich rodzin.

www.bgk.pl

Program realizowany jest poprzez promesy inwestycyjne **Banku Gospodarstwa Krajowego.**

eprasa.pl 3c57561b6e



Sygnalista nadaje

Szymon Hołownia chce „rozwiązać problem Trybunału Konstytucyjnego”. Jedna z propozycji uwzględnia likwidację tego ciała. „Ten model zakłada, że każdy sąd – rozstrzygając indywidualne sprawy obywateli – może decydować o tym, czy przepis ustawy, czy rozporządzenia, na podstawie którego ma orzekać, jest zgodny z konstytucją i może być stosowany” – mówił dr hab. Dawid Sześciło z Instytutu Strategie 2050. I tak oto, po 226 latach od zaborów, doczekaliśmy się partii, która już jawnie postuluje wprowadzenie w Polsce anarchii.

Ale Hołownia ma też „umiarkowaną” propozycję: utrzymanie instytucji TK przy przeprowadzeniu w nim zasadniczej reformy. „To będzie wymagało wyłonienia zupełnie nowego składu TK, w zupełnie inny sposób: 1/3 składu byłaby wyłaniana przez parlament, 1/3 przez korporacje prawnicze i KRS, a 1/3 przez konwent marszałków województw” – mówił dr Marcin Radwan-Röhrenschef, również z Instytutu Strategie 2050. A więc albo anarchia, albo oligarchia. A zapewne jedno i drugie. Głupio, ale przynajmniej szczerze.

Po powrocie Tuska do kraju Hołownia grzecznie wrócił do swojego kojca. Nie podjął rywalizacji i jasno deklaruje, że zadowoli się rolą przystawki: „Jeśli dotrzemy do 7–10 proc. wyborców, to jesteśmy w domu. I to jest nasz cel na drugą połowę tego roku”. Zapewnia przy tym: „My będziemy się starali zrobić wszystko, co się da, żeby odsunąć PiS od władzy. I nie, nie planuję wskoczyć przy tym Tuskowi na kolana”. Może nie planował, ale wskoczył.

Sąd Rejonowy w Gryficach uniewinnił dwójkę manifestantów, którzy podczas Strajku Kobiet protestowali z transparentem z hasłem „Wypier…ać”. Wniosek o ukaranie wnosiła gryficka policja. Jednak sąd odrzucił argumenty funkcjonariuszy. Prowadząca rozprawę sędzia oceniła, że choć hasło jest wulgarne, to nie był to czyn społecznie szkodliwy. Sędzia zajmująca się sprawą tak oto uzasadniła werdykt: „Protest grzeczny nie miałby sensu, bo nikt nie zwróciłby na niego uwagi”. Mamy nadzieję, że nikt nigdy do pani sędzi w ten sposób się nie zwróci.

Sam Tusk tradycyjnie z jednej strony głosi miłość, z drugiej zapowiada zemstę. W jego ocenie wiele osób w PiS „wie, że naprawdę przesadzili”: „Po raz pierwszy w najnowszej historii Polski władza tak ewidentnie łamała prawo. W PiS narasta świadomość, że to nie pozostanie bezkarne. Że naturalną konsekwencją utraty władzy będzie odpowiedzialność polityczna, ale w wielu przypadkach także karna”. Tak, tu nie ma wątpliwości – Tusk będzie chciał zbudować nad Wisłą porządny reżim.

Tusk wrócił także do tezy o „prorosyjskości PiS”: „Raptem kilka dni temu Kaczyński podpisał międzynarodówkę proputinowską, czyli umowę z kilkunastoma partiami – w tym z Fideszem Orbána, ze Zjednoczeniem Narodowym pani Le Pen, z włoską Ligą – które wcielają w życie koncepcję Putina, by dezorganizować świat Zachodu. […] Zresztą cała polityka PiS, również wewnętrzna, to przykład dość wiernego odwzorowania tej rosyjskiej strategii”. On to dopiero ruszy na Moskwę! Może popłynie wzdłuż Nord Streamu, który wraz z Putinem zbudowała jego niemiecka patronka?

Tusk ma o sobie, jak zawsze, dobre zdanie: „Od kilku dni słyszę, że ludziom znowu się chce, że dzieci mówią, że nie wyjadą. To są najważniejsze nagrody za ten pierwszy moment”. Wyjątkowo cyniczne zdanie w ustach człowieka, który nawet nie próbował zatrzymać największej fali emigracji

eprasa.pl 3c57561b6e

w naszych dziejach. Poza tym to wszystko nieprawda. Tusk już uderzył w szklany sufit. Za chwilę będzie to oczywiste dla wszystkich.

Ewa Kopacz wyjaśniła, co Donald Tusk miał na myśli, gdy mówił, że w końcówce rządów PO przygotowywała własny program wsparcia rodzin: „500+ na pewno się to nigdy nie nazywało, ale Donald Tusk na pewno chciał powiedzieć, że podobne projekty, dotyczące wsparcia nie tylko dzieci, ale całych rodzin [rząd miał przygotowane]". Rzuciła także w stronę PiS: „Zostawiliśmy wam zdrowe finanse publiczne – dlatego mogliście rozdawać ludziom na prawo i lewo". Może i zdrowe, ale baaardzo dziurawe.

Trybunał Konstytucyjny lada moment wyda wyrok, który rozstrzygnie, czy polska konstytucja jest ważniejsza niż prawo unijne. Portal Onet postawił w związku z tym pytanie: „Scenariusze? Nawet wyjście z Unii". Adam Bodnar, były już rzecznik praw obywatelskich, dodał swój komentarz: „Niestety, tytuł artykułu trafnie oddaje, czego dotyczyć będzie dzisiejsza rozprawa przed TK. Pięciu sędziów może unieważnić to, za czym głosował cały naród w referendum". Naród rzeczywiście głosował, ale chyba nie nad likwidacją państwa polskiego, co dziś próbuje mu się wmówić.

Rafał Trzaskowski też nie lubi obecnego Trybunału Konstytucyjnego: „Działa bezrefleksyjnie, wyłącznie na zamówienie polityczne kilku panów, którym się wydaje, że Unia jest jakąś wrażą, obcą organizacją międzynarodową, a nie wspólnotą wartości, które współtworzymy i których obowiązek mamy bronić". To chyba pierwszy wypadek w historii, że „wspólnota wartości" potrafi wydawać wyroki na polityczne zlecenie, wykręcać ręce, podduszać i szantażować. Nie tylko potrafi, lecz i lubi.

W rocznicę mordu w Jedwabnem były szef MSZ ***Radosław Sikorski*** zamieścił taką oto wypowiedź: „Czy Pan Prezydent Andrzej Duda już wie, kto kogo mordował w Jedwabnem? A wy, ONR Podlasie? Media Narodowe? Grzegorz Braun z Konfederacją? Materiał w Radio Maryja o tym, że Niemcy? A w TVP Info o udziale dziadka Tuska? A może parchy same się spaliły?". Jak było, tak było, ale to jednak ważny test: czy dobre imię ojczyzny jest dla kogoś ważne, czy też znajduje radość w rozdawaniu kopniaków.

Sikorskiemu odpowiedział wywołany do tablicy Rafał Ziemkiewicz: „Nie, twoi niemieccy mocodawcy to zrobili. Dlatego tak dobrze płacą za zaprzeczanie ich winie i zwalanie jej na Polaków. Służ im wiernie dalej, dostaniesz w nagrodę kość, a może nawet kawałek kiełbasy". I jeszcze będzie order oraz oklaski. Historii już jednak były minister nie oszuka.







Fot. Andrzej Wiktor (2), Julita Szewczyk

Olga Tokarczuk nie wycofała się ze swojego porównania Polski do Białorusi. „Rzeczywiście powiedziałam, że podobne mechanizmy działają w Polsce jak na Białorusi, czyli że władze wykorzystują covid" – mówiła we Wrocławiu. Noblistka podzieliła się też taką oto refleksją: „Mnie się wydaje, że patriotyzm należy też do XX w. Dzisiaj inaczej postrzegamy swoje usadowienie w świecie. [...] Po globalizacji, po doświadczeniu pandemii, poszukujemy większych słów niż patriotyzm". Ciekawe, jak to się skończy tym razem. Ostatnio skończyło się gułagami.

Coraz trudniej znaleźć miejsce, gdzie można się schować. Nawet futbol bije już pokłony. Przed finałem mistrzostw Europy, w którym Włosi pokonali Anglików, piłkę dowiózł na murawę malutki samochodzik w barwach LGBT. „Gotowy, ustawiony, naładowany! Z czystą dumą. Na finałowy mecz Euro 2020 nie dzielmy się niczym poza miłością. Razem!" – tak event zapowiadał koncern VW, sponsor turnieju. Komuniści – zwłaszcza po 1956 r. – nie byli aż tak nachalni. Ale i my doczekamy XX Zjazdu.

Paweł Wroński postawił na łamach „Gazety Wyborczej" tezę, że Jarosław Kaczyński nieprzypadkowo właśnie teraz zapowiedział zakup czołgów Abrams od rządu USA za 23,3 mld zł. „Teraz [prezes PiS] przeprowadza pancerną szarżę na TVN. [...] postanowił zagrać o wielką stawkę. Przekupić największe mocarstwo na świecie deklarujące do tej pory, że stoi na straży wartości liberalnych". 23,3 mld zł za uwolnienie Polski od patologii medialnych? To byłoby bardzo tanio.

Szanse na przyjęcie ustawy medialnej, która zmusiłaby amerykański koncern do sprzedaży pakietu kontrolnego, są jednak bliskie zeru. Przeciw będzie Gowin, ***Kukiz*** też raczej nie poprze. Ten ostatni postawił taki oto warunek w tej sprawie: „Jeżeli prezes TVP Jacek Kurski zostanie zdymisjonowany, to wtedy przeczytam uważnie projekt dotyczący TVN24 i zastanowię się nad jego poparciem". Cóż, doświadczenia sprzed ponad roku sugerują, że w przypadku prezesa Kurskiego dymisja niczego nie załatwia. Odejdzie drzwiami, wróci oknem.

eprasa.pl 3c57561b6e

WIEŻA BAB

Nasze rodzinne wakacje

Miłość jest jedyną rzeczą, której przybywa, gdy ją dzielisz. Co by mi było po tych wszystkich widokach, wycieczkach, gdybym ich nie dzieliła z rodziną?

Mamo, a właściwie to dlaczego nie polecieliśmy samolotem? – zapytała Hania po kilkunastu godzinach podróży samochodem, gdy dotarliśmy na wyczekane wakacje.

Popatrzyłam na męża, który wyładowywał właśnie drugą hulajnogę, stawiając ją obok obowiązkowego roweru i trzech par rolek. Na wypakowanie czekały jeszcze podusie, misie, walizki i liczne dmuchańce i wiaderka.

– Bo wtedy musielibyśmy większość tych skarbów zostawić w domu – odpowiedziałam ze śmiechem.

– O nie! – zaprotestowała Anielka, tuląc hulajnogę, bez której się nie rusza.

– A na wycieczki musielibyśmy jeździć autokarem – dorzuciłam.

– Wykluczone – wtrącił się mąż, który zorganizowanego wypoczynku unika jak ognia.

Zresztą obydwoje nie lubimy tłumów (tak było jeszcze przed pandemią), jedzenia o wyznaczonych porach, wieczorków zapoznawczych, animatorów (odkąd dzieci same się animują) i pomarańczowych pasków na rękach, więc od lat organizujemy wakacje w podobny sposób. Typujemy miejsce podróży (plus minus noc drogi), znajdujemy pasujące nam lokum i gotowe. Wszystkie wypady i animacje organizujemy we własnym zakresie. Nigdy się nie zawiedliśmy.

W tym roku znów padło na Chorwację, bo względnie blisko, ciepło, przepięknie, a ceny bardzo konkurencyjne względem tych nad Bałtykiem. I nie mam na myśli tylko ziemniaka na patyku za bimbaliony, ale głównie ceny noclegów dla sześcioosobowej rodziny.

Niestety urlop zaczął się pod górkę, bo – wiadomo – wirus delta szaleje, więc nie ma lekko. Od 1 lipca Chorwacja wprowadziła obowiązek posiadania paszportu covidowego lub testu, choć jeszcze dwa tygodnie wcześniej zapraszała polskich turystów bez dodatkowych formalności, a we wrześniu ubiegłego roku dziennik „Lista Vecernji" pisał: „Polacy w dużej mierze uratowali w tym roku naszą turystykę!". Trudno się więc dziwić, że sporo turystów się wkurzyło. My doszliśmy do wniosku, że nie ma co się obrażać, trzeba się dostosować. Wzięliśmy się więc za wypełnianie niezbędnych dokumentów, czyli formularza Enter Croatia. Niestety, formularze się wieszały, strona nie wytrzymywała przeciążenia i po kilku godzinach walki się poddaliśmy. Okazało się, że zawiesiła się także granica. Wszystko to, o czym donosiły media, było prawdą. Istne piekło. Kilka godzin stania w korku, jakby celnicy sami wszystkich testowali, a międzynarodowe relacje społeczne między kierowcami kwitły w najlepsze. Jednak ku naszemu zdziwieniu, gdy dotarliśmy do upragnionego punktu kontrolnego, nikt od nas nie chciał żadnych dodatkowych dokumentów. Ani Enter Croatia, ani paszportów covidowych, ani testów. Po co więc całe to zamieszanie? Może rzecz w tym, by wystraszyć deltę, która jak przeczyta o tłumach na granicy, to się przestraszy i ucieknie. Razem z alfą, deltą plus i lambdą.



Później już wszystko szło zgodnie z planem. Nasza wyspa i lokalizacja okazały się jeszcze piękniejsze niż na zdjęciach, podobnie jak zniewalający widok z tarasu. Tłumy z granicy gdzieś się rozjechały i nie dotarły na naszą część wyspy. Zresztą Chorwacja ma tyle plaż, że brakuje turystów, by wszystkie obsadzić ludźmi. Więc jak ktoś szuka, to znajdzie ustronne miejsce. A kuchnia, kolory, widoki, niezmiennie piękne.

Przed urlopem koleżanka dziwiła się, że znów ruszamy na wakacje całą rodziną.

– Nie możecie wysłać maluchów gdzieś na obozy i spędzić urlopu sami z mężem? – pytała.

Ale jak widzę dzieci ścigające się po nadmorskim bulwarze na hulajnogach, piszczące z radości w dmuchańcach, umorusane lodami, z zaschniętymi smugami soli na nogach, to przypominam sobie, że miłość jest jedyną rzeczą, której przybywa, gdy ją dzielisz. Co by mi było po tych wszystkich widokach, podróżach, wycieczkach, gdybym ich nie dzieliła z rodziną? A czas na romantyczne wypady we dwoje jeszcze kiedyś przyjdzie. Jeszcze dzieci zdążą powiedzieć, że już nie chcą z nami jeździć. Na razie pytają, gdzie jedziemy za rok. Uwielbiam nasze rodzinne wakacje. Do zobaczenia po powrocie.

Dorota Łosiewicz

Reklama | 1/0721/F

PGNiG

3. NAJCENNIEJSZA POLSKA MARKA

wg rankingu dziennika Rzeczpospolita



MARKA GODNA ZAUFANIA

PGNiG to jedna z najcenniejszych polskich marek, wysoko oceniana w wielu prestiżowych rankingach.

Cieszymy się uznaniem naszych partnerów biznesowych, odbiorców indywidualnych i kontrahentów zagranicznych.

Zapewniamy bezpieczeństwo energetyczne Polski poprzez stałe, niezakłócone dostawy gazu ziemnego.

eprasa.pl 3c57561b6e

Kłopoty protegowanego Angeli Merkel



Bułgaria

Już drugie, licząc od kwietnia, przedterminowe wybory w Bułgarii nie przyniosły przełomu. Centroprawicowy GERB, kierowany przez byłego premiera Bojko Borisowa, zdobył 23,7 proc. głosów (w kwietniu 26,2 proc.), a jego główny rywal, nowa formacja Jest Taki Naród, założona przez showmana i muzyka Sławi Trifonowa, 23,9 proc. (poprzednio 17,7 proc.). Do parlamentu dostało się ogółem sześć formacji. Niezależnie od tego, jak potoczą się niełatwe negocjacje koalicyjne, a nie można wykluczyć, że Bułgaria na wzór Izraela pójdzie za kilka miesięcy do kolejnych wyborów, jedno jest pewne – nikt nie chce się porozumieć i rządzić razem z byłym premierem Bojko Borisowem, którego polityczna gwiazda zbladła w wyniku serii skandali korupcyjnych i oskarżeń o nadużywanie władzy.

W maju Atanas Atanasow z antykorupcyjnej formacji Demokratyczna Bułgaria powiedział publicznie, że Bojko Borisow przed kwietniowymi wyborami zgodził się na podsłuchiwanie telefonów przeszło 30 polityków opozycji. Nielegalne podsłuchy zaczęły się jesienią ubiegłego roku po tym, jak przez Bułgarię przeszła fala antykorupcyjnych protestów zwróconych przeciw ówczesnemu premierowi i jego formacji GERB. Niedługo potem znany posiadacz ziemski Swietosław Ilchowski opowiedział publicznie o całym systemie wymuszania łapówek przez polityków GERB, w tym sztabek złota, a w czerwcu Kirił Petkow, minister gospodarki w przejściowym rządzie Stefana Janewa, ujawnił, że niewielki kontrolowany w całości przez GERB Bułgarski Bank Rozwoju udzielił ośmiu firmom zaprzyjaźnionym z byłym obozem władzy kredytów o łącznej wartości 500 mln euro. Wreszcie w czerwcu wybuchła kolejna, jeszcze większa afera korupcyjna po tym, jak amerykańskie władze podjęły bezprecedensową w stosunku do obywateli państwa UE decyzję o objęciu sankcjami trzech Bułgarów – oligarchy Wasiła Bożkowa i dwóch byłych urzędników państwowych, w tym kontrolującego niemałą część bułgarskiego rynku medialnego Deliana Pejewskiego, a także kilkadziesiąt kontrolowanych przez nich firm w związku z aferami korupcyjnymi.

Zdaniem komentatorów portalu politico.eu Borisow, którego ugrupowanie wchodzi w skład Europejskiej Partii Ludowej, był zawsze lojalny wobec kanclerz Merkel i dlatego mógł liczyć na pobłażliwość Berlina i Brukseli. Teraz jednak, gdy Angela Merkel odchodzi z czynnej polityki, jego polityczny czas najwyraźniej też się kończy.

Marek Budzisz

Fot. Andrzej Stwarczyński

Gorąco w Hawanie

Kuba

Ciągnący się bez końca kryzys gospodarczy, pandemia COVID-19 i największe protesty od 1994 r. – ostatnie tygodnie na Kubie są bardzo gorące. Na ulicach Hawany pojawiły się transparenty z napisami „wolność" i „precz z dyktaturą". Demonstranci śpiewali „Patria y Vida" („Ojczyzna i życie"), piosenkę afrokubańskich raperów z Miami, której tytuł jest otwartym uderzeniem w komunistyczny slogan „Ojczyzna albo śmierć", z jakim Fidel Castro i Che Guevara szli po władzę pół wieku temu.

W wyniku trwających kilka dni protestów zginęła – do chwili zamknięcia tego numeru tygodnika – jedna osoba. Do tragedii miało dojść w poniedziałek 12 lipca. Jak relacjonował jeden z mieszkańców Hawany, tego dnia na ulice stolicy wyszły setki ludzi wykrzykujących takie hasła jak: „Precz z komunizmem", „Wolność dla mieszkańców Kuby", „Nie mamy lekarstw, potrzebujemy jedzenia". Protestujący zaczęli rzucać kamieniami w funkcjonariuszy bezpieczeństwa, a ci odpowiedzieli ogniem.

Kubański reżim twierdzi, że demonstracje są dziełem kontrrewolucjonistów finansowanych z Ameryki, którzy wykorzystują frustrację z powodu kryzysu gospodarczego, w dużej mierze spowodowanego – jak podkreślają władze – trwającym od 60 lat amerykańskim embargiem handlowym.

Wydarzenia na wyspie budzą szczególny niepokój na Florydzie, gdzie mieszka duża diaspora kubańska. Nic więc dziwnego, że problem ten szybko nabrał tam politycznej wagi. Doradca prezydenta USA ds. bezpieczeństwa narodowego Jake Sullivan ostrzegł władze Kuby przed użyciem przemocy wobec pokojowych demonstrantów. Ale konserwatywne amerykańskie media natychmiast wypomniały lewemu skrzydłu demokratów milczenie. Co prawda czołowy socjalista tego obozu Bernie Sanders (w latach 80. zasłynął opowieściami o dobrobycie w Związku Sowieckim) zaapelował do kubańskiego rządu o respektowanie prawa do protestów, ale od razu wezwał też Biały Dom do zniesienia embarga na produkty z Kuby. Nie słychać za to głośnych protestów tzw. The Squad, czyli kongresmenek Ilhan Omar, Alexandrii Ocasio-Cortez i Rashidy Tlaib, które są zwykle pierwsze w „obronie wolności". Jak widać, komuniści rozpędzający manifestantów jakoś im nie przeszkadzają.

Łukasz Adamski



Fot. Fernando Medina/Shutterstock.com

eprasa.pl 3c57561b6e



RPA

Prezydent za kratami

Podczas trwających ponad tydzień zamieszek, które wybuchły w dwóch południowoafrykańskich prowincjach – stołecznym Gautengu oraz położonym na wschodnim wybrzeżu KwaZulu-Natalu – do ostatniej środy zginęły 72 osoby, są też setki rannych i aresztowanych. Przyczyną rozruchów było aresztowanie byłego prezydenta kraju Jacoba Zumy.

79-letni Zuma sprawował urząd od 2009 do 2018 r. Został skazany na 15 miesięcy więzienia za obrazę sądu. Były prezydent, na którym ciążą poważne zarzuty korupcyjne, nonszalancko nie stawiał się na wezwania sądu i oskarżał swoich następców o powrót do praktyk z czasów apartheidu. „Fakt, że zostałem skazany na więzienie bez procesu, powinien wywołać szok u każdego, kto wierzy w wolność i praworządność" – powiedział Zuma przed aresztowaniem.

Oczywiście postępowanie w sprawie korupcji trwa dalej, tyle że Zuma nie będzie już mógł dłużej uchylać się od udziału w procesie. Byłemu prezydentowi zarzuca się, że podczas swoich dziewięcioletnich rządów stworzył korupcyjny układ, którego filarami był on sam, członkowie jego rodziny oraz trzej biznesmeni pochodzący z Indii, bracia Atul, Ajay i Rajesh Guptowie.

Guptowie mieli wejść w rodzaj biznesowej symbiozy z byłym prezydentem i jego rodziną. Zatrudnili kilku członków rodziny Zumów – w tym prezydenckiego syna Duduzane. Dzięki temu zyskali bezpośrednią kontrolę nad wieloma urzędami państwowymi, w tym nad ministerstwami finansów, zasobów naturalnych i przedsiębiorstw publicznych, a także nad agencjami rządowymi odpowiedzialnymi za pobór podatków. W kręgu bezpośrednich wpływów indyjskich biznesmenów znalazł się też państwowy nadawca SABC, narodowy przewoźnik lotniczy South African Airways, państwowy przewoźnik kolejowy Transnet oraz gigant energetyczny Eskom, jedna z największych firm tego typu na świecie. Pracownicy tych urzędów i firm zeznali w śledztwie, że byli bezpośrednio instruowani przez Guptów, aby podejmować decyzje korzystne dla braci. Podporządkowanie było nagradzane pieniędzmi i awansami, natomiast nieposłuszeństwo karano zwolnieniem. Odpowiednie decyzje personalne podejmował sam prezydent Zuma, do którego kompetencji należało m.in. powoływanie dyrektorów przedsiębiorstw państwowych i szefów organów ścigania. Dzięki temu – zdaniem Davida Lewisa, dyrektora wykonawczego Corruption Watch, organizacji pozarządowej z Johannesburga – prezydent mógł ułatwiać interesy Guptom. Oczywiście nie za darmo.

Zuma podporządkował sobie również cały aparat rządzącego w RPA Afrykańskiego Kongresu Narodowego (ANC). To właśnie ci ludzie, niezadowoleni ze zmian wprowadzanych przez obecnego prezydenta Cyrila Ramaphosę, mają być głównymi inspiratorami rozruchów w obronie Zumy. Prezydent Ramaphosa określił zamieszki jako „największe od chwili upadku apartheidu". Bo choć od tamtej pory upłynęło już 27 lat, sytuacja w RPA jest ciągle bardzo napięta.

Konrad Kołodziejski

Fot. 360b/Shutterstock.com

Sudan Południowy

Zmarnowana dekada

Sudan Południowy 9 lipca obchodził 10-lecie swojego istnienia. Nowe państwo powstało na skutek referendum i oddzielenia się od Sudanu. Mieszkańcy południa, gdzie dominowali animiści i chrześcijanie, byli bowiem szykanowani przez islamską i arabską większość z północy. W rezultacie kraj rozrywany był przez nieustanną wojnę domową, która doprowadziła do śmierci prawie 2,5 mln osób i ucieczki ponad 4 mln. Zakończenie zbrojnego konfliktu w 2011 r. powitano z nadzieją, że do regionu zawita wreszcie pokój. Przyszłość nowo powstałego państwa, uwolnionego od jarzma muzułmańskiej metropolii, rysowała się w jasnych barwach, tym bardziej że w Sudanie Południowym znajdowało się 75 proc. sudańskich pól naftowych.

Zamiast pokoju zaczęła się jednak nowa wojna domowa, tym razem między dwoma największymi grupami etnicznymi: Dinkami i Nuerami. Jej rezultat to – jak dotąd – 400 tys. zabitych, 1,5 mln uchodźców i 2,1 mln przesiedleńców wewnętrznych. W 2019 r. prezydent Salva Kiir z plemienia Dinków i wiceprezydent Riek Machar z plemienia Nuerów podpisali porozumienie, co spowodowało, że podczas audiencji w Watykanie Franciszek padł im do stóp i ucałował buty, ale nie zahamowało to konfliktu. Obie strony nadal walczą o władzę i kontrolę nad roponośnymi terenami, przez co 7,7 mln obywateli 11-milionowego kraju boryka się z kryzysem humanitarnym. 10-lecie niepodległości nie stało się więc okazją do hucznego świętowania, lecz raczej do gorzkich refleksji.



Przypadek Sudanu Południowego pokazuje, jak trudno jest utrzymać integralność państwa podzielonego między zwalczające się ludy, a jeszcze trudniej zbudować wspólnotę, z którą utożsamialiby się wszyscy obywatele. W tej chwili nie da się tam stworzyć nawet jednej wspólnej armii, ponieważ każde znaczące plemię ma swoje własne wojsko, które nie chce się podporządkować obcym. Jaka wobec tego będzie przyszłość? Mówi Pismo: „Nie może się ostać dom wewnętrznie podzielony".

Grzegorz Górny

Fot. punghi/Shutterstock.com

eprasa.pl

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Troglodyci w togach



Dominik Zdort

Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej (TSUE) usiłuje podważyć ustawy przyjęte przez polski parlament i decydować, kto może orzekać w polskim systemie sprawiedliwości. Właściwie można by się pośmiać, że jakiś brukselski politruk chce się w nasze sprawy wtrącać. Wszak były już precedensy. Niemiecki Federalny Trybunał Konstytucyjny w Karlsruhe w maju 2020 r. wyśmiał orzeczenie TSUE (sprawa dotyczyła finansów), wprost odrzucając ingerencję w sprawy wewnętrzne Niemiec.

„Karlsruhe jest wzorem dla sądownictwa wielu państw narodowych. To, że strażnicy konstytucji podważają orzecznictwo Luksemburga, sprawia, że w ten sposób dają zły przykład innym narodowym sądom, zgodnie z mottem: jeśli Niemcy postawili się sędziom z Luksemburga, to my też możemy. Polacy i Węgrzy mogą poczuć się na nowo usprawiedliwieni w swoim oporze przeciwko wyrokom TSUE" – komentowała wtedy przerażona „Süddeutsche Zeitung".

Tyle że w Unii Europejskiej obowiązuje niepisana zasada: co wolno Niemcom, to nie wam, Polakom. Niemców będzie Bruksela pokornie błagać o zmianę stanowiska, Polsce usiłuje narzucić (ze wsparciem samych Niemiec i grupki niesympatycznych zaprzańców z krajowej opozycji) swoją wolę siłą. Na razie pewnie finansową, bo przecież UE armii poważnej nie ma i raczej nie zajmie Wrocławia ani Poznania. Chociaż, jakby poszło na ostro, to kto wie... Niemcy, po oddaniu nam za symboliczne parę euro całej swojej pancernej armii, zaczęli odbudowywać wojsko, ciekawe, przeciw któremu ze swoich sąsiadów.

Ale to tylko przydługi wstęp. Bo chciałem napisać o polskim sądzie w Gryficach, który właśnie stwierdził, że słowo „wypier...ać" (w oryginale bez kropek) na transparencie niesionym przez demonstrantów z tzw. Strajku Kobiet nie jest nieprzyzwoite, i uniewinnił osoby, które ów obrzydliwy transparent niosły. To imponujące, że gryficki sąd uznał, iż ma kompetencje tak ogromne, jak wielki językoznawca Józef Stalin, ma więc prawo postanowić, jakie słowo jest ładne, a jakie nieprzyzwoite. I może wydać wyrok, który formalnie otwiera drzwi chamstwu, wulgarności i zbydlęceniu życia publicznego.

Jeśli ktoś potrzebował argumentu za tym, że polskie sądy wymagają oczyszczenia i ucywilizowania, to gryficcy prostacy w togach, niemający szacunku dla języka i kultury, ich dostarczyli. A jak powinniśmy oceniać europejski trybunał, który broni takich troglodytów?

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl



BRONISŁAW WILDSTEIN

O prawie, kłamstwie i niepodległości



W miniony czwartek Trybunał Sprawiedliwości UE wydał „wyrok", zgodnie z którym Izba Dyscyplinarna polskiego Sądu Najwyższego jest niezgodna z prawem unijnym. Ogłoszony został on w momencie, w którym polski Trybunał Konstytucyjny zadeklarował, że na wniosek premiera Morawieckiego 3 sierpnia wyda orzeczenie w kwestii interwencji TSUE w polski porządek prawny. Ostatni werdykt tego sądu bije wszelkie rekordy szybkości, gdyż ledwie dzień wcześniej jego wiceprzewodnicząca w trybie „zabezpieczenia" zażądała zablokowania polskiej Izby Dyscyplinarnej. TK uznał tego typu posunięcia za niezgodne z polskim porządkiem prawnym. Tempo postępowania TSUE daje do myślenia.

Dotychczasowe wyroki TK jednoznacznie przyjmują dominację konstytucji nad wszelkimi innymi aktami prawnymi w naszym kraju, a ona przyznaje polskiemu sądowi konstytucyjnemu ostatnie słowo w podstawowych kwestiach ustrojowych. Powinniśmy więc spokojnie czekać na orzeczenie, które zapadnie 3 sierpnia, ale jest ono już, zawczasu, kwestionowane przez totalną opozycję i jej medialnych rzeczników.

Oto Onet. „Trybunał Konstytucyjny ma zdecydować, czy i kiedy w Polsce przestrzegane będzie prawo unijne. Wniosek o uznanie wyższości nad nim polskiej konstytucji złożył do TK premier Mateusz Morawiecki, choć taki krok oznacza podważenie zasad, które Polska, wchodząc do UE, zaakceptowała. […] Nasze państwo zobowiązało się do tego, podpisując dwa kluczowe unijne traktaty – Traktat o UE oraz Traktat o Funkcjonowaniu UE.

Dokumenty te stanowią, że w sytuacji sprzeczności między prawem polskim a unijnym – zawsze pierwszeństwo ma prawo UE. […] Sytuacja jest jasna – albo zmieniamy polską konstytucję, by ją do prawa UE dostosować, albo próbujemy zmienić prawo Unii. Trzecią możliwością jest wyjście ze Wspólnoty. »Konsekwencją może być zawieszenie płatności dla Polski z budżetu UE i z funduszu odbudowy«" – pisze Onet, cytując Fundację Batorego.

Wszystko tu jest kłamstwem i manipulacją może poza groźbą, że UE zechce nam zablokować fundusze, ale wtedy znaczyło to będzie zupełne lekceważenie formalnych norm, które obowiązują w Unii.

Polski TK pod przewodnictwem Marka Safjana (obecnego sędziego TSUE) już w 2005 r. rozstrzygnął, że „konstytucja – z racji swej szczególnej mocy – pozostaje najwyższym prawem RP, w stosunku do wszystkich wiążących Rzeczpospolitą Polską umów międzynarodowych". W 2011 r., kiedy jego prezesem był Andrzej Rzepliński, ogłosił, że „prawo unijne nie może narzucać rozwiązań niezgodnych z polską konstytucją". Nie rządziło wtedy PiS, a ówczesne składy sędziowskie przywoływane są przez totalną opozycję (również medialną) jako sędziowskie wzory osobowe.

Traktaty, o których pisze Onet, dotyczą konkretnych spraw, a prawo unijne obowiązuje wyłącznie w ściśle określonych przez nie sferach. Onet w swoim ataku popada w paradoks, przyznając, że w wypadku sprzeczności między prawem unijnym a polskim należy zmienić polską konstytucję. Innymi słowy: wyrzucić ją na śmietnik, gdyż jeśli przestaje ona mieć moc zasadniczą, traci swoją rację bytu.

Problemy z TSUE, który per nefas usiłuje rozszerzyć swoje kompetencje, ma nie tylko Polska. W ostatnich kilkunastu miesiącach organy konstytucyjne Niemiec, Francji, Hiszpanii i Rumunii potwierdziły wyższość prawa krajowego nad unijnym, blokując tym zapędy sądu w Luksemburgu. W tym kontekście za wyjątkową bezczelność uznać można tekst w niemieckim dzienniku „Süddeutsche Zeitung": „Polska oficjalnie już nie chce uznawać wyroków Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej (TSUE) za wiążące. Oznacza to wyjście ze struktur prawnych UE" – pisze niemiecki dziennik, w którego kraju rola polityków w mianowaniu sędziów jest znacząco większa niż w Polsce i którego TK zażądał od TSUE, aby zablokował nieprawne jego zdaniem postanowienie KE.

Bohaterem niemieckiego dziennika staje się sędzia stanu wojennego Józef Iwulski, którego immunitet uchyliła Izba Dyscyplinarna Sądu Najwyższego. „Demontaż Iwulskiego może mieć związek z jego obecną działalnością; jest wybitnym obrońcą pozostałości państwa prawa w Polsce" – pisze warszawski korespondent gazety. Cóż, każdy ma bohatera, na jakiego zasłużył.

Problem jednak jest fundamentalny i dotyczy polskiej niepodległości. To samo TSUE, które kwestionuje prawo polskich polityków do uczestnictwa w wyborze polskich sędziów, równocześnie uznaje za właściwe wskazywanie sędziów przez premiera na Malcie. Nie sposób ukryć, że decyzje TSUE mają charakter wyłącznie polityczny, a z normami prawnymi mają niewiele wspólnego. Poddanie się ich dyktatowi oznacza abdykację z niepodległości. Jak zawsze przyozdobioną szlachetną retoryką.

Fot. Andrzej Wiktor

Autopromocja

eprasa.pl 3c57561b6e



Walizka Asi Burrill

fotografa







Od 17 lat mieszkam w Anglii i dla mnie prawdziwą atrakcją są wyjazdy do Polski, zwłaszcza że mogę się zobaczyć z rodziną, przyjaciółmi, a także nacieszyć bogactwem polskiej przyrody, której niejeden kraj europejski może nam pozazdrościć. Jeszcze 10 lat temu nie przypuszczałam, że moje podróże będą związane także z fotografią, z którą dekadę temu nie miałam nic wspólnego. Oprócz zdjęć modowych zainteresowałam się ślubami azjatyckimi – przepych i bogactwo barwnych kostiumów są prawdziwą ucztą dla każdego fotografa.



SPRZĘT

Od samego początku używałam nikona, którego cenię za większy zakres tonalny od konkurencyjnych aparatów. Dodatkowo niedawno przerzuciłam się na system bezlusterkowy, dzięki któremu aparat jest o niebo lżejszy, co dla takiej kobiety jak ja nie jest bez znaczenia. Obiektywy niestety dalej ważą, ale ich możliwości „malowania zdjęć" są bezcenne.



KARTY PAMIĘCI

Na jednym ślubie wykonuję około 1,5 tys. zdjęć, co wymaga odpowiednio dużej liczby nośników pamięci. Z tych fotografii następnie wybieram najlepszą pięćsetkę, którą osobiście edytuję dla młodej pary.



KOMPLET NA ŚLUBNĄ SESJĘ

Czarna bluzka, spodnie i buty. Są wygodne, ale – co najważniejsze – skromne, ponieważ na ślubie może być tylko jedna królowa – panna młoda.

Fot. Cristina Rossi Photography

eprasa.pl 3c57561b6e





KORALE OD MAMY

Wykonane z włóczki i „serca". Autorstwa mojej Mamy, mojej najlepszej przyjaciółki. Jest dla mnie jak kielich niekończącej się inspiracji i miłości. Jest królową mojego życia!



NAGRODA

W roku 2017 otrzymałam nagrodę The Best Asian Wedding Photographer. Uważam to za duży sukces, bo wygrałam, konkurując z wieloma uznanymi azjatyckimi fotografami. Oprócz walorów moich prac wzięto pod uwagę bardzo dobre referencje moich klientów, które były warunkiem uczestnictwa w tym prestiżowym konkursie.



ALBUMY

Kolekcjonuję albumy znanych malarzy, fotografów i projektantów. Prerafaelitów cenię za warsztat, kolorystykę i ustawienia modeli. Ich obrazy są niezmiernie inspirujące i kiedy mogę, to w swoich zdjęciach oddaję duszę tego nurtu. Alexander McQueen był wielkim projektantem mody, kocham jego ekstrawagancję, bogactwo ornamentów (tak jak w azjatyckich ślubach), przepych, a jednocześnie delikatność. Monica Bellucci, archetyp kobiety, nic dodać, nic ująć!

DRON

Sfotografowanie z lotu ptaka panny młodej stojącej na łące pokrytej kwiatami już nie wymaga wynajęcia helikoptera.





BUTY

Podążając za maksymą Marilyn Monroe: „Daj kobiecie właściwą parę butów, a zdobędzie cały świat", wybrałam szpilki i buty do górskich wędrówek. Zdobyłam już wiele szczytów, ale widzę kolejne na horyzoncie.

WEGANIZM

Od ponad czterech lat nie jem mięsa ani produktów odzwierzęcych. Czuję się świetnie, bo wegańskie dania dają mi komplet wartości odżywczych, mikroelementów i witamin, jednocześnie wiem, że nie przykładam dłoni do cierpienia naszych braci mniejszych. Kocham też gotować, bo to jest jak sztuka, tyle że dla oka i podniebienia! Dlatego w mojej walizce zawsze znajdzie się miejsce na awokado, banany i inne frykasy.



STRÓJ W GÓRY

Właściwy strój górski to warunek, bo w górach nie ma żartów. Profesjonalny taternik najpierw szanuje naturę, potem ją podziwia. Odpowiednie buty, przeciwdeszczowe spodnie, kurtki. I warstwy. To podstawa szczególnie przy kapryśnej brytyjskiej pogodzie.



KOSMETYKI

Używam tylko wegańskich kosmetyków, które nie zawierają żadnych składników pochodzenia zwierzęcego ani nie są testowane na zwierzętach.



Wysłuchał i zapisał
Michał Korsun

Fot. Asia Burrill, materiały prasowe Tropic

eprasa.pl 3c57561b6e

OGNIEM NA WPROST

Zielony Ład w Gdańsku



Pytanie za dziesięć punktów. Co zostało z najstarszej i największej palmy w północnej Europie – 180-letniego daktylowca? Prawidłowa odpowiedź: nic! Historia jest o tyle zaskakująca, że właśnie w parku Oliwskim zbudowano dla niego nową palmiarnię i wydano na tę budowlę kupę pieniędzy. Obecnie w szklanej konstrukcji, za blisko 30 mln zł, mieści się zeschnięta, zbutwiała, dawno obumarła roślina. Palma po prostu zdechła. Ludzie pytają: „Dlaczego władze miasta Gdańsk do tej pory nie zebrały się na odwagę i nie poinformowały mieszkańców, że inwestycja za 30 mln zł zakończyła się uśmierceniem bezcennej rośliny i kompletnym fiaskiem?". Na facebookowym trójmiejskim profilu Zielona Fala tak to skomentowano: „Wielkie pieniądze zmarnowano, niszcząc jednocześnie roślinę bezcenną w skali historii botaniki w Europie, warto wspomnieć, że cały łączny roczny budżet przeznaczany na zieleń w Gdańsku to zazwyczaj ok. 20 mln zł". Bezcenna palma przetrwała dwie wojny światowe, ale uschła pod rządami prezydent Aleksandry Dulkiewicz, która wszem wobec wychwala tzw. Zielony Ład, starając się, żeby był wyznacznikiem jej rządów. Znamienne.

A w Kielcach nieznany mężczyzna ukradł z kawiarni AleBabeczka przy ul. Solnej 4 kg lodów. Sprawa o tyle jest dziwna, że – jak widać na monitoringu – facet był łysy i ubrany w... różową sukienkę. „Podszedł do naszej lodówki – opowiada portalowi Kielce Nasze Miasto właścicielka kawiarni Aleksandra Chłodnicka – i ukradł całą bańkę lodów o smaku kinder bueno. Zabrał z sobą i uciekł". Sprawę zgłoszono na policję i delikwenta złapano. Daje to nadzieję na rychłe pociągnięcie złodzieja do odpowiedzialności karno-sądowej, tym bardziej że delikwent znany jest lokalnej policji. Jak się jednak okazało, prawdziwy problem leży gdzie indziej. Zwróciła na niego uwagę jedna z internautek, pisząc: „Adidasy nie pasują do tej sukienki! Albo sandałki albo szpilki". Wstydź się, chłopie.

Natomiast w San Francisco skrzyknęła się ponad setka homoseksualistów, tworząc chór. Oczywiście celem było nagranie teledysku i umieszczenie go na YouTubie. Tytuł piosenki został wzięty z refrenu i głosi: „Idziemy po wasze dzieci" („We're coming for your children"). Teledysk wywołał liczne protesty i został już usunięty z serwisu, jednak mimo to można obejrzeć krążące po internecie jego fragmenty. „Nawrócimy wasze dzieci. Kawałek po kawałku. Cicho i subtelnie. A wy prawie tego nie zauważycie. Możecie trzymać je z dala od imprez. Ostrzegać przed San Francisco. Kazać nosić ołowiane majtki. Nie obchodzi nas to. Nawrócimy wasze dzieci. Sprawimy, że będą uczciwe i tolerancyjne" – głoszą słowa piosenki. W odpowiedzi na krytykę chórzyści stwierdzają, że jest to „narracja pełna nienawiści i nietolerancji". Jak nie wyszło „cicho i subtelnie", bo nagranie trzeba było wycofać z serwisu, to od razu mamy „narrację pełną nienawiści i nietolerancji".

W języku niemieckim jest takie pojęcie: Schwarz fahren. Dosłownie oznacza ono „jazdę na czarno", czyli po naszemu na gapę. Hamburski Związek Transportu (HVV) właśnie usunął ze swojego słownictwa ten termin, bo jest on rasistowski i obraża ciemnoskórych. Wcześniej do podobnych wniosków doszły związki transportowe Berlina, Monachium i Hanoweru. Żeby było śmieszniej, niemieckie słowo „schwarz" w kontekście jazdy bez biletu pochodzi z jidysz (shvarts) i oznacza ubóstwo. Czyli wskazuje osoby, których nie było stać na bilet ze względu na brak pieniędzy. A teraz będzie „Fahren/innen ohne gueltigen Ticket" („Pasażer/erka bez ważnego biletu"). Od razu lepiej.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 3c57561b6e

Stop reklamowemu chaosowi



Marta Kaczyńska-Zielińska

Celem zapewnienia ładu przestrzennego i ochrony krajobrazu na podstawie ustawy krajobrazowej, obowiązującej od 11 września 2015 r., gminy mogą uchwalać uchwały krajobrazowe. Akty prawa miejscowego rad gmin mogą określić, gdzie i jakie reklamy można umieszczać, jakie mają mieć wymiary, a także z jakich materiałów budowlanych mogą być wykonywane. Gminy mogą pobierać opłatę za wiszące reklamy, żądać usunięcia istniejących reklam i egzekwować grzywny za umieszczanie nośników niezgodnych z uchwałą rady gminy.

Przytłaczająca większość gmin w Polsce nie wprowadziła uchwał krajobrazowych, a miasta, w których obowiązują tego typu akty prawne, tkwią w toku postępowań sądowych zainicjowanych przez podmioty, które kwestionują nowe regulacje prawne. Co ciekawe, część przedstawicieli jednostek samorządu terytorialnego, w których nie ma uchwał krajobrazowych, twierdzi, że nie uchwalono ich z uwagi na brak potrzeby uregulowania zasad zamieszczania reklam.

Ustawodawca, wprowadzając omawiane przepisy, kierował się ważnym interesem publicznym, na który składają się w szczególności dbałość o środowisko, krajobraz, ład przestrzenny. W orzecznictwie podkreślono, że ograniczenie praw właścicieli nieruchomości w zakresie ich przeznaczania jako powierzchnie reklamowe oraz praw przedsiębiorców w sferze prowadzenia przez nich działalności gospodarczej nastąpiło zgodnie z przepisem art. 22 Konstytucji RP.

Do Trybunału Konstytucyjnego wpłynęły dwa pytania dotyczące przepisów, dzięki którym gminy mogą żądać usunięcia legalnie postawionych nośników reklam po upływie okresu dostosowawczego. Według krytyków obecnie obowiązujących przepisów uchwały krajobrazowe nakazujące usuwanie istniejących, legalnie umieszczonych reklam naruszają zasadę ochrony praw słusznie nabytych, a także zasadę zaufania obywateli do państwa. W orzecznictwie podniesiono jednak, że okoliczność posadowienia reklamy zgodnie z przepisami prawa budowlanego nie wyklucza tego, że zaburza ona ład przestrzenny, skoro nie było to weryfikowane na gruncie przepisów obowiązujących przed 11 września 2015 r., które analizy wspomnianego aspektu nie wymagały. Strony postępowań sądowych przeciwne ograniczeniu możliwości wypełniania przestrzeni publicznej reklamami zarzucają samorządom naruszenie procedury wprowadzania w życie uchwał krajobrazowych.

Ministerstwo Rozwoju, Pracy i Technologii jest w trakcie opracowywania nowych przepisów odnoszących się do ładu przestrzennego, w których to zasady umieszczania reklam mają zostać ujęte w standardach urbanistycznych albo planach zabudowy, które zastąpią miejscowe plany. Nowe przepisy mają usprawnić wprowadzanie zasad ochrony przestrzeni publicznej przed inflacją reklam.

Przepisy dotyczące reklam w przestrzeni publicznej mają na świecie już przeszło wiekową historię, a potrzeba zapewnienia harmonii krajobrazu nie budzi zastrzeżeń. Np. we Francji wymiary i liczbę urządzeń reklamowych uwarunkowano liczbą mieszkańców danej gminy, a branża reklamowa musi postępować zgodnie z ogólnokrajowymi wytycznymi. W 2019 r. maksymalna roczna opłata za tablice reklamowe (w tym również wszystkie szyldy) o powierzchni mniejszej niż 50 mkw., dla miast o liczbie mieszkańców mniejszej niż 50 tys. wynosiła 15,70 euro za 1 mkw., a w mieście o liczbie mieszkańców większej niż 200 tys. – 31,40 euro. Z opłat zwolnione były reklamy wyborcze, szyldy lekarzy czy notariuszy. W Wielkiej Brytanii uregulowano centralnie zasady lokalizacji i wymiary najbardziej powszechnie stosowanych urządzeń reklamowych. We Włoszech i Hiszpanii zarządzanie reklamami pozostawiono w gestii ich włodarzy. W niektórych miastach w zamian za monopol na eksploatację określonej liczby nośników reklamowych podmioty z branży reklamowej zostały zobligowane do sfinansowania budowy systemu wypożyczalni rowerowych. W Paryżu w zamian za udostępnienie 1,8 tys. billboardów jedna z firm ustawiła w mieście automatyczne wypożyczalnie i udostępniła za niewielką opłatę 20 tys. rowerów.

REKLAMA



65/0621/F

eprasa.pl 3c57561b6e

Tomasz Grodzki – reformator i twórca

Tygodnik „Peryskop Parlamentarny” („PP”) odnotował kolejne osiągnięcie. W stałym cyklu krótkich rozmów „Bez tajemnic” uzyskał wywiad z marszałkiem Senatu prof. Tomaszem Grodzkim. Oto jego treść.



Jerzy Jachowicz

„PP”: Na początek gratuluję inicjatywy powołania przy Senacie nowej placówki naukowo-dydaktycznej o profilu uniwersyteckim, czyli Akademii Demokracji. Czy już wiadomo, kto stanie na czele uczelni?

TG.: Stoję przed trudnym wyborem. Chętnych jest kilku. Każdy ma wysokie kwalifikacje, ale rektorem może być tylko jeden. Jest to trójka zasłużonych dla polskiej demokracji wybitnych profesorów – Ireneusz Krzemiński, Marcin Matczak i Wojciech Sadurski. Każdy z nich zapewnił mnie osobiście, że niezależnie od powierzonego zadania pragnie się mocno włączyć w to przedsięwzięcie. Nie ukrywam, że pewnie zdecyduję się na prof. Ireneusza Krzemińskiego. Czy pan wie, że swego czasu prof. Krzemiński pozostawał aktywnym członkiem Kongresu Liberalno-Demokratycznego? I to w okresie, kiedy przewodniczącym partii był Donald Tusk? Przeszedł więc praktyczny szlif wdrażania demokracji w polskich uwarunkowaniach. To rekomendacja gwarantująca właściwe ukształtowanie modelu demokracji.

To fenomenalna analiza, panie marszałku.

No cóż, przychodzi to mi naturalnie... To właśnie przenikliwy namysł nad fatalnym stanem naszego MSZ rozpoczął marsz do budowy senackich przyczółków w najbardziej zaniedbanych obszarach życia. Stąd zdecydowałem się na powołanie przy Senacie Wyższej Szkoły Dyplomacji im. prof. Bronisława Geremka. Taki był początek. Teraz Akademia, a już przybiera realny kształt wyciągnięta dłoń Senatu do kultury.

Niemożliwe...

A jednak. Nasi eksperci pracują nad szczegółami Narodowej Sceny Senatu. Jej kierownictwo, co będzie ewenementem w skali dziejów światowego teatru, obejmą ojciec i syn – Jerzy i Maciej Stuhrowie. Pierwszym założeniem jest oparcie repertuaru wyłącznie na dramaturgii współczesnej. Jest nadzieja, że mimo obowiązków marszałka działalność Sceny zainauguruje mój monodram „Dylematy moralne i nie tylko”.

Koncertowo z Dwójką

Z Małgorzatą Tomaszewską, prezenterką i dziennikarką TVP, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Lato mamy wyjątkowo upalne. Z powodu zadań związanych z Wakacyjną Trasą Dwójki dla pani jest zapewne jeszcze gorętsze?

Małgorzata Tomaszewska: Zdecydowanie jest, ale po czasie pandemii, w którym byliśmy tak spragnieni artystycznych wydarzeń, teraz przede wszystkim bardzo się cieszymy. Z nadmiaru pracy również.

Ma pani już za sobą prowadzenie koncertu w Świnoujściu, co jeszcze w perspektywie?

Koszalin – w ostatni weekend lipca (to z Olkiem Sikorą) – i Augustów – w pierwszą niedzielę sierpnia. Tu współgospodarzem wieczoru będzie Tomek Kammel. Bardzo się cieszę, że właśnie te miasta znalazły się na mojej trasie. W Świnoujściu byłam po raz pierwszy, czekała tu na mnie m.in. przeprawa promowa. Jednak najważniejsze, jak zawsze, było spotkanie z publicznością. Ta w nadmorskich miejscowościach, gdzie od razu czuje się wakacyjny klimat, ma trochę więcej luzu, ale i w innych miastach, do których trafiamy, spotykamy wspaniałych ludzi. Są też fani, którzy jeżdżą z Wakacyjną Trasą Dwójki po całej Polsce. W kolejnych miejscach widzimy przed sceną znajome twarze. To fantastyczne.

Gdzie jeszcze będą koncerty?

Najbliższy w Koszalinie, a potem w Augustowie, Kielcach, Ostródzie, Chełmie i – na finał, 29 sierpnia – w Sopocie. Piękne jest w Wakacyjnej Trasie Dwójki, że dociera ona w różne regiony Polski. I wszędzie jest wspaniała atmosfera. Zapraszamy gorąco na te koncerty. I do oglądania „Pytania na śniadanie” również.



Fot. Natasza Mludzik/TVP

eprasa.pl 3c57561b6e

250

– tyle amerykańskich czołgów Abrams zakupił rząd dla polskiej armii.



232

– tyloma głosami w Sejmie dysponuje obecnie koalicja rządząca.

500

– tyle lat temu po raz pierwszy zabił na Wawelu dzwon Zygmunt.



„Więc się nie drzyj”

– odpisała Joanna Senyszyn (Nowa Lewica) Annie Marii Żukowskiej (także Nowa Lewica) na jej komentarz, że w polityce jest za dużo darcia mordy.



„Do końca roku powinienem odwiedzić wszystkie województwa i większość powiatów”

– powiedział Donald Tusk po ogłoszeniu, że udaje się na urlop.

„Być transseksualistą jest tym samym, co być osobą transrasową, ponieważ urodziłeś się w niewłaściwym ciele”

– powiedział Oliver vel Jimin, który czuje się Koreańczykiem urodzonym w ciele Anglika.

zebrał Jakub Maciejewski

Fot. Alexandros Michailidis/Shutterstock.com, Andrzej Wiktor, Shutterstock

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, JANUSZ ŻYCHOWICZ
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

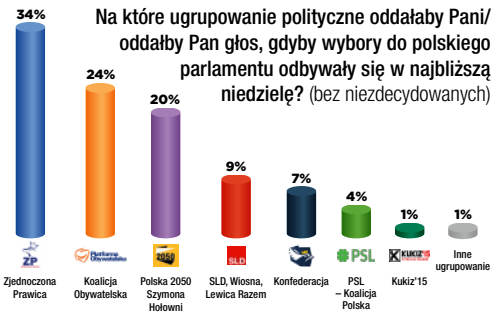
REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR x2, TOMASZ URBANEK/DDTVN/EAST NEWS, KAMIL PIKLIKIEWICZ/DDTVN/EAST NEWS, MATEUSZ JAGIELSKI/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK x5, MAARTEN HUISMAN/WTCSCHIPHOL.NL, SKYCONCEPT

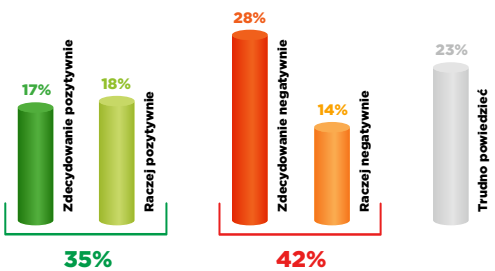
nasz sondaż

pracownia **Social Changes** dla wPolityce.pl

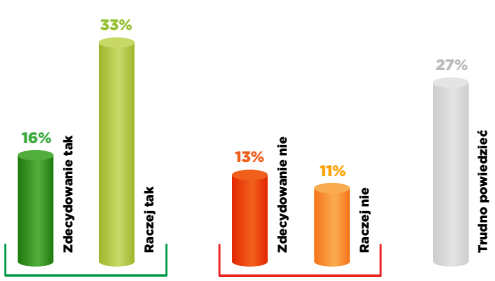
Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)



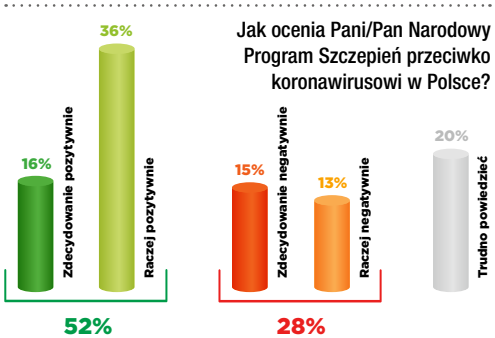
Jak ocenia Pani/Pan powrót Donalda Tuska do polskiej polityki?



Czy popiera Pani/Pan odbudowę Pałacu Saskiego w Warszawie, który został zniszczony (wysadzony) przez wojska niemieckie po upadku Powstania Warszawskiego w grudniu 1944 r.?



Jak ocenia Pani/Pan Narodowy Program Szczepień przeciwko koronawirusowi w Polsce?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1062.

Zakres czasowy badania 9–12 lipca 2021 r.

eprasa.pl 3c57561b6e



Od Urbana do „Amerykana”

Przez lata istnienia niezależnie od tego, kto stał na jej czele i kto ją finansował, telewizja TVN zawsze trzyma ostry kurs. Łamiąc często dziennikarskie standardy, zawsze jest po jednej stronie sporu politycznego. Dając widzom atrakcyjnie opakowaną propagandę, odwraca uwagę od tego, kto tym statkiem steruje



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Gdyby nie obecne polityczne wzmożenie wokół nowelizacji Ustawy o Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji, mało kto zastanawiałby się zapewne nad strukturą właścicielską grupy TVN. Tak samo jak niewiele osób, przełączając kanały w telewizorze, ma świadomość, że oglądając teoretycznie różne stacje, buduje oglądalność i nabija kasę jednemu koncernowi, na który w Polsce składa się aż 21 osobnych programów telewizyjnych. A już naprawdę garstka widzów wie, że spółka, która jest właścicielem tego medialnego giganta, ma swoją siedzibę w wirtualnym biurze na lotnisku w Amsterdamie i nie zatrudnia ani jednej osoby.

PRAWO DLA TVN

Nie ma dnia, by dziennikarze największej prywatnej stacji newsowej w Polsce i politycy opozycji nie grzmieli, że wprowadzane poprawki (już nazwano je „Lex TVN”) mają służyć „nałożeniu kagańca na niezależne media, które patrzą władzy na ręce”. „To nie jest ustawa wymierzona w TVN. Jej zapisy nie podważają możliwości funkcjonowania TVN. Jest tylko mowa o tym, że kapitał właściciela musi być z terenu Unii Europejskiej” – tłumaczył pilotujący ustawę poseł PiS Marek Suski w TV Republika.

Panika wśród sympatyków stacji z Wiertniczej bierze się stąd, że gdyby nowelizacja przeszła, musiałaby skończyć się pewna fikcja, z którą mamy do czynienia. Formalnie właścicielem grupy TVN jest bowiem firma Polish Television Holding B.V. zarejestrowana pod adresem Schiphol Boulevard Wtc, Schiphol 359 w Amsterdamie. W tym miejscu znajduje się najpopularniejszy holenderski port lotniczy, można tutaj także wynająć wirtualne biuro. Co jest w tej kwestii kluczowe – z adresem w kraju należącym do Europejskiego Obszaru Gospodarczego.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 3c57561b6e

Gdyby nowelizacja weszła w życie, musielibyśmy sięgnąć głębiej, a więc skonstatować, że kontrolująca wart miliardy złotych koncern medialny firma krzak jest własnością amerykańskich (a więc spoza EOG) potentatów z Discovery. A tego już nowe prawo by zabraniało.

Przepisy w nowym kształcie mają uniemożliwić przejęcie kontroli nad nadawcami „przez dowolne podmioty spoza Unii Europejskiej, w tym podmioty z państw stanowiących istotne zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa". Jeden z naszych rozmówców związany z obozem władzy mówi nam, że chodzi przede wszystkim o kapitały rosyjski, chiński i arabski, których na naszym rynku medialnym byśmy sobie nie życzyli. Polityk PiS: – Mimo że jest tu mowa o wrogich nam państwach, to nie da się ukryć, że amerykańscy faktyczni właściciele TVN także zostaliby objęci ustawą, która zakazywałaby im, nawet pośrednio, finansowania polskich mediów.

Konieczna byłaby zatem sprzedaż grupy TVN inwestorowi z Europy. Niekoniecznie z Polski, choć zakupem podobnym do nabycia Polska Press Grupa przez państwowy Orlen straszy dzisiaj opozycja. Juliusz Braun, członek Rady Mediów Narodowych i były prezes TVP za czasów PO: „Ustawa to wojna z USA, bo oznaczać będzie chęć wywłaszczenia lub przynajmniej wymuszenia sprzedaży przez Amerykanów wielkiej firmy, jaką jest TVN".

Ned Price, rzecznik Departamentu Stanu USA: „W silnych demokracjach wolna i niezależna prasa jest mile widziana". Bix Aliu, chargé d'affaires amerykańskiej ambasady w Polsce: „USA z rosnącym niepokojem obserwują procedurę związaną z koncesją TVN oraz nowy projekt zmian ustawy medialnej".

I tutaj na dobre rozpoczyna się ostry spór tych, którzy twierdzą, że to partia władzy chce przejąć kontrolę nad nieustannie krytykującymi ją dziennikarzami TVN, z tymi patrzącymi szerzej i zwracającymi uwagę, że przyznawana przez państwo polskie koncesja na nadawanie programu telewizyjnego to dobro rzadkie i nie można jej przerzucać jak worek ziemniaków po fikcyjnych spółkach. No i jest jeszcze w tej potrawie pikantna przyprawa polityczna – 26 września br. wygaśnie 10-letnia koncesja dla TVN24 i Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji zastanawia się, czy ją przedłużyć.

DOBRO NIE DLA KAŻDEGO

„Czasu robi się dramatycznie mało, my robimy wszystko, by tę procedurę zakończyć. W Sejmie jest projekt ustawy, zobaczymy, jak dalej będzie procedowany. My będziemy nad nim się w tej chwili pochylać i ewentualnie proponować jakieś jeszcze poprawki" – powiedział w Polskim Radiu Witold Kołodziejski, przewodniczący KRRiT. Wygląda to tak, jakby Rada czekała na Sejm. Ale czy się doczeka? Marek Suski mówił w Telewizji Republika, że przyszłość tego projektu

> Spółka, która jest właścicielem TVN, ma swoją siedzibę w wirtualnym biurze na lotnisku w Amsterdamie i nie zatrudnia ani jednej osoby

„rysuje się w barwach ciemnych, a może nawet i czarnych". „Jeżeli nawet we własnym obozie politycznym nie mamy poparcia dla takiego rozwiązania, to raczej uchwalić się go nie da" – mówił polityk, dodając, że jest „zdziwiony i zniesmaczony" oporem koalicyjnego Porozumienia Jarosława Gowina, którego politycy „chcą brylować w TVN i chcą tam być zapraszani".

Politycy Porozumienia piszą własną poprawkę. W dosyć buńczuczny sposób mówili o niej na konferencji w Sejmie Jan Strzeżek, wicerzecznik partii, i Lech Jaworski, były senator i były członek KRRiT: „Jako Porozumienie nie zgodzimy się na żadne rozwiązanie, które mogłoby ograniczyć funkcjonowanie mediów w Polsce". I dodawali, że swojego pomysłu nie będą z nikim z PiS konsultować. Chodzi o to, by zapis, że mediami w Polsce nie mogą zarządzać kraje „spoza EOG", zastąpić stwierdzeniem „spoza OECD", do którego należą także Stany Zjednoczone.

Jarosław Gowin zatrudnił do pisania opinii na temat własnego projektu prawników z Ministerstwa Rozwoju, Pracy i Technologii, którym kieruje. – Zdziwiło to kilka osób w resorcie, nasza praca powinna się teraz skupić na przygotowywaniu przepisów związanych z Polskim Ładem, a nie rozpraszać się na sprawy prywatnej wojenki wicepremiera – słyszymy od naszego informatora.

– Poprawki Gowina mają sens o tyle, że rzeczywiście dzięki nim zeszlibyśmy z linii strzału i odparli zarzut, że robimy coś przeciwko sojusznikom, a tak przecież należy traktować Stany Zjednoczone – opowiada osoba z otoczenia rządu. – Ale nie wiem, czy te rozwiązania nie stoją w sprzeczności z prawem europejskim. Jasno jest w nim mowa o możliwości posiadania więcej niż 49 proc. udziałów w mediach tylko przez podmioty z krajów z Europejskiego Obszaru Gospodarczego, nie ma mowy o OECD. Wygląda to więc na bicie piany, na kolejną demonstrację szefa Porozumienia, który znów walczy o to, by być postrzegany jako ten, który „cywilizuje kolejny niemądry pomysł koalicjantów" – mówi nasz rozmówca.

Rzeczywiście, to kolejny raz, gdy Porozumienie jest na kolizyjnym kursie z największą partią w ramach Zjednoczonej Prawicy.

HANDEL Z AMERYKANAMI

Kolejna osoba, z którą rozmawiamy, dodaje jednak między wierszami, że robiąc wyjątek dla Amerykanów, czyli de facto dla TVN, cel polityczny nie zostałby osiągnięty. Jaki cel? Wyraził to właściwie wprost Marek Suski: „Jeśli się uda tę ustawę przeprowadzić i jakaś część tych udziałów zostanie być może wykupiona też przez polskich biznesmenów, będziemy mieli jakiś tam wpływ na to, co się dzieje w tej telewizji" – powiedział polityk. Później ze swych słów się wycofał, ale mleko się wylało.

Bo w tej historii jedno jest jasne, nie ukrywają tego również przedstawiciele opozycji, TVN to coś więcej niż telewizja. To poważny gracz, punkt dystrybucji prestiżu i kształtowania światopoglądu oraz

eprasa.pl 3c57561b6e

sympatii politycznych. Bardzo nierównomiernie, jawnie wspierając jedną stronę sporu. „Przecież chodzi o to, by nasi widzowie oglądali zamiast »Na Wspólnej« serial »Na Nowogrodzkiej«, by »Milionerów« poprowadził pan Daniel Obajtek" – kpił w „Faktach TVN" Krzysztof Brejza, senator Koalicji Obywatelskiej. Żart umiarkowanie śmieszny, ale zwraca uwagę co innego, mówienie o „naszych widzach". To nie wszystko, Sławomir Neumann, poseł KO, na nieoficjalnym spotkaniu z wyborcami relacjonowanym przez media KOD mówił wprost o TVN „nasza telewizja", wspomniał również o „innych naszych liberalnych mediach".

W tym kontekście zabawnie brzmią słowa z wywiadu, którego Michał Samul, członek zarządu TVN i redaktor naczelny TVN24, udzielił Business Insider Polska: „Jesteśmy niezależni od wszelkich partii politycznych, ośrodków władzy. Nasza niezależność może kłuć w oczy". Może, ale jakoś nie kłuje.

Polityczna wyobraźnia dopuszcza oczywiście myśl, że PiS chciałoby utemperować natrętnego krytyka, ale chyba nie za wszelką cenę. Kolejny nasz rozmówca mówi o „elemencie handlu z Amerykanami". – Choć nie zdziwiłbym się, gdyby w tym wszystkim był również pewien element naszej złośliwości. Wy nam tak w kwestii Nord Stream, to my wam tak w sprawie TVN – słyszymy.

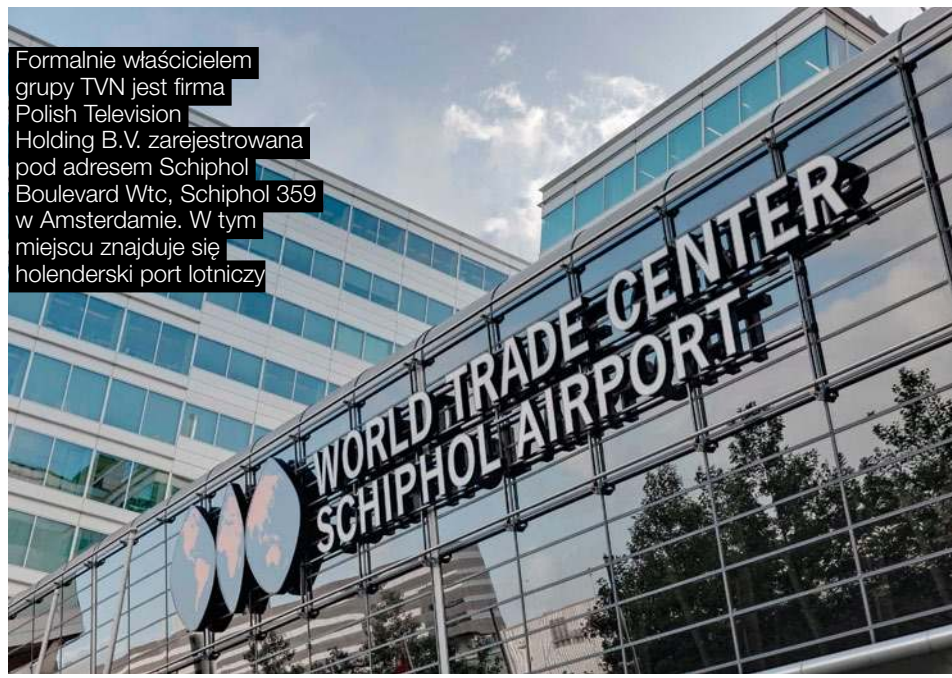
O wiele dalej, chyba o jeden most za daleko, szarżuje „Gazeta Wyborcza" w jednym z komentarzy łajając Jarosława Kaczyńskiego, który ma rzekomo „swą politykę przekupywania zastosować wobec światowego mocarstwa". Chodzi o zapowiadany zakup czołgów Abrams od rządu USA za 23,3 mld zł. „GW" przyznaje, że „taka jest cena bezpieczeństwa Polski" i 250 maszyn znacząco na to wpłynie, ale podrzuca też myśl, że w wiązanej transakcji ma być tak: my wydajemy u was fortunę na sprzęt wojskowy, wy nie protestujecie, gdy chcemy uciszyć wrogą wobec nas telewizję należącą do amerykańskiego koncernu.

KONCESJA ZOBOWIĄZUJE

Jeszcze jedna osoba, od lat zorientowana w rynku mediów, zwraca uwagę na zapisy w spornej obecnie koncesji dla stacji informacyjnej TVN24. I na obostrzenia, jakim jest obwarowane przyznanie przez państwo polskie rzadkiego dobra, czyli prawa do kontynuacji naprawdę intratnego biznesu medialnego w Polsce. – Telewizja publiczna ma obowiązek być obiektywna, a stacje prywatne są w poczuciu opinii publicznej z tego niejako zwolnione. Właśnie dlatego, że są prywatne. To pomylenie pojęć, w koncesji jest lakoniczny, ale niepozostawiający żadnego marginesu wymóg zachowania rzetelności i obiektywizmu. Gdyby spytać pierwszego lepszego przechodnia na ulicy, czy TVN24 taka jest, odpowiedź byłaby jasna: nie – opowiada nasz rozmówca.

Potwierdza to mec. Marek Markiewicz, były przewodniczący KRRiT. I zwraca uwagę na art. 18 Ustawy o radiofonii i telewizji, w którym są określone obowiązki nadawców telewizyjnych. Wszystkich. I państwowego, i prywatnych. – Wyraźnie został zakreślony obowiązek kierowania się polską racją stanu, dobrem społecznym czy poszanowaniem dla przekonań religijnych odbiorców, a zwłaszcza chrześcijańskiego systemu wartości – mówi mec. Markiewicz.

Obowiązkowa jest też transparentność właścicielska, a wszelkie wątpliwości mogą być podstawą do nieprzedłużenia albo wręcz odebrania koncesji. – Jeśli dziś ktoś z zewnątrz kontroluje dane medium, ale udaje, że ktoś inny jest właścicielem, to państwo może z tego tytułu uczynić pewne wyrzuty. To bardzo proste. Każdy przedszkolak rozumie, że będzie rozrabiał tylko w tych granicach, w jakich pani mu pozwoli – mówi były szef KRRiT.



Formalnie właścicielem grupy TVN jest firma Polish Television Holding B.V. zarejestrowana pod adresem Schiphol Boulevard Wtc, Schiphol 359 w Amsterdamie. W tym miejscu znajduje się holenderski port lotniczy

Fot. Maarten Huisman/wtcschiphol.nl

KTO TYM RZĄDZI?

Przed rokiem przewidywaliśmy w tygodniku „Sieci", że kurs TVN po odejściu Adama Pieczyńskiego (twórcy i dyrektora programowego TVN24, redaktora naczelnego „Faktów", wieloletniego członka ścisłych władz w Grupie TVN) wcale się nie zmieni. I się nie zmienił. Nawet kilka miesięcy później po kolejnej ważnej zmianie na szczytach koncernu, gdy z funkcji szefowej Discovery Polska i członka rady nadzorczej TVN odeszła Katarzyna Kieli. Jedną z jej ostatnich aktywności była odpowiedź na list otwarty oburzonych pracowników koncernu, którzy zarzucali jej „tchórzliwe, wstydliwe zachowanie niegodne top-managera amerykańskiej korporacji". Chodziło o jej zaszczepienie się poza kolejnością (wraz m.in. z Edwardem Miszczakiem – dyrektorem programowym TVN) na samym początku Narodowego Programu Szczepień.

eprasa.pl 3c57561b6e

Kto po tych roszadach personalnych na górze jest kluczową osobą, pilnującą linii stacji? – Jeśli chodzi o TVN24, to na pewno Michał Samul. Pracuje przy Wiertniczej od samego początku. Został tam perfekcyjnie wychowany i przygotowany do wychowywania innych. W „dużym" TVN zaś skończyła się pewna epoka, bo wpływy Miszczaka są już mocno ograniczone, właściwie czeka tylko na ścięcie – słyszymy od osoby z wieloletnim doświadczeniem w stacji. – Discovery niespecjalnie nawet musi tego interesu pilnować, bo przecież linia telewizji jest całkowicie zbieżna z linią prezesa koncernu z USA, idealnie odpowiada „wartościom" jądra demokratów, czyli amerykańskiej lewicy – dodaje nasz rozmówca.

Szef Discovery David Zaslav jest jednym z najpotężniejszych ludzi na rynku mediów w USA. Wśród jego przyjaciół są m.in. Lloyd Blankfein (b. szef banku Goldman Sachs), Jeff Zucker (prezes CNN) Georgette Mosbacher (ponoć to on stał za jej dyplomatyczną karierą w Polsce, nie dziwi, że pani ambasador tak dbała o interesy TVN), w golfa zaś gra z Johnem Stankeyem (szefem telekomunikacyjnego giganta AT&T). Wywodzi się z rodziny nowojorskich Żydów, jego babka mieszkała w Warszawie (wyjechała do USA tuż przed wybuchem wojny), a on sam uczestniczył w 70. rocznicy wyzwolenia obozu w Auschwitz. Jest członkiem Komitetu Wykonawczego Fundacji Shoah i chętnie angażuje się – osobiście, biznesowo i antenowo – w przedsięwzięcia upamiętniające Holokaust i „walczące z nienawiścią", w co przecież tak znakomicie wpisał się słynny materiał TVN o czających się w polskich lasach faszystowskich bojówkach.

Inny z jego bliskich kompanów, Steven Spielberg, cieszy się, że panowie będą teraz mieli do siebie bliżej. Dwa miesiące temu Zaslav kupił bowiem rezydencję należącą wcześniej do Roberta Evansa, producenta filmowego z Hollywood (ma na koncie m.in. „Ojca chrzestnego" czy „Chinatown").

Jeśli dojdzie do skutku zapowiedziana fuzja Discovery z WarnerMedia, Zaslav stanie się także szefem m.in. CNN, HBO czy wytwórni Warner Bros. Choć trudno to sobie wyobrazić, znajdzie się jeszcze wyżej w hierarchii menedżerów na amerykańskim rynku mediów.

Jak większość topowych biznesmenów Zaslava mniej interesują powiązania jego kontrahentów, a bardziej możliwości pomnażania dzięki nim swego majątku. Chyba tak należy tłumaczyć współpracę Discovery w Rosji z Jurijem Kowalczukiem, nazywanym „osobistym bankierem Władimira Putina" (od 17 lat jest szefem Banku Rosji).

Putin właśnie na Discovery wskazał w jednym z wywiadów, mówiąc o swojej ulubionej stacji telewizyjnej. David Zaslav zaś cieszył się z tego w rozmowie z „The Hollywood Reporter" w 2012 r.

> Panika wśród sympatyków stacji z Wiertniczej bierze się stąd, że gdyby nowelizacja ustawy o KRRiT przeszła, musiałaby się skończyć pewna fikcja, z którą mamy do czynienia

„MY JUŻ SĄ AMERYKANY"

Przejście TVN pod zarządzanie zza wielkiej wody nastąpiło w 2015 r., gdy koncern został kupiony przez Scripps Networks. Formalnie Amerykanie dokonali tego poprzez spółkę Southbank Media Ltd. (zarejestrowaną w Wielkiej Brytanii, czyli wówczas w UE). Kupiła ona za 584 mln euro należącą do ITI i Canal+ spółkę N-Vision B.V.7 (zarejestrowaną w Amsterdamie), a także przejęła dług w wysokości 856 mln euro. Ta ostatnia bezpośrednio i pośrednio (poprzez wspomnianą na początku Polish Television Holding B.V. z siedzibą wirtualną w Amsterdamie) kontrolowała TVN.

W 2007 r. koncern Scripps kupiło Discovery (za 14,6 mld dol.) i tak stało się właścicielem Grupy TVN. Portfolio tego jednego gracza na polskim rynku telewizyjnym jest imponujące: TVN, TVN24, TVN24 BIS, Eurosport 1 i Eurosport 2, HGTV, TLC, Food Network, Travel Channel, TVN Turbo, Discovery Channel, Discovery Science, Discovery Historia, Discovery Life, DTX, ID, TVN Style, TVN Fabuła, TTV, TVN7, Metro. Aż 21 kanałów w ofercie polskich sieci kablowych plus adresowane do Polonii ITVN oraz ITVN Extra.

Taki jest stan na dziś. Ale najciekawsze są dawne dzieje TVN, a dokładnie ITI. W tej historii, w której wciąż jest mnóstwo znaków zapytania, przeplatają się potężne pieniądze, największa z afer gospodarczych ostatnich dekad, cywilne i wojskowe peerelowskie służby, cała armia dzieci komunistycznych notabli brylujących na antenach TVN i propagandowe mistrzostwo Polski.

Firma ITI (International Trading and Investment) została założona w 1984 r. przez nieżyjącego już Jana Wejcherta, od 1976 r. tajnego współpracownika Służby Bezpieczeństwa o pseudonimie Konarski, oraz Mariusza Waltera (TW „Mewa" w latach 1983–1989). Wejchert już od 1968 r. wielokrotnie wyjeżdżał na Zachód (jak ujawnili D. Kania, M. Marosz i J. Targalski, autorzy książki „Resortowe dzieci. Media", w sprawie wydania mu paszportu interweniowały organa PRL – m.in. kontrwywiad SB i członkowie rządu), jego interesy (m.in. z firmą mieszkającego w RFN wuja) miały akceptację komunistycznych władz. W III RP zdyskontował swoją uprzywilejowaną pozycję i natychmiast wskoczył na listę najbogatszych Polaków, szybko wchodząc też do „klubu miliarderów".

Walter zaś był w Polsce Ludowej gwiazdą telewizyjną. Jako szef popularnego Studia 2 otrzymał nawet w 1979 r. Nagrodę Ministra Spraw Wewnętrznych (12 tys. zł) z takim uzasadnieniem: „Poszczególne redakcje »Studia 2« systematycznie uwzględniają w swoich programach tematykę umacniania ładu i porządku publicznego. Szereg audycji jest bezpośrednio poświęconych działalności resortu spraw wewnętrznych, eksponując osiągnięcia MO i SB w walce z przestępczością i prezentując sylwetki funkcjonariuszy". Minister w przemówieniu dodawał: „Zachodnie ośrodki dywersyjno-szpiegowskie kontynuują

eprasa.pl 3c57561b6e

wrogie działania wymierzone przeciwko interesom pokoju i socjalizmu. Jesteśmy świadomi obowiązków. Charakter ich wynika z roli, jaką powierzyła nam partia. We wzbogacaniu naszych osiągnięć wy, laureaci, odgrywacie czołową rolę".

Nieco później, w stanie wojennym, Jerzy Urban pisał do szefa MSW Czesława Kiszczaka: „Mariusz Walter nadaje się na głównego konsultanta, jakiegoś szefa programowego i TV – jednym słowem nie kierownika pionu propagandy, lecz główną siłę koncepcyjno-fachową. [...] Walter to najzdolniejszy w ogóle redaktor telewizyjny w Polsce, który przedstawia tow. Mieczysławowi Rakowskiemu i mnie sporo interesujących koncepcji ogólnopolitycznych i propagandowych" (cytaty za książką „Resortowe dzieci. Media").

ITI początkowo zajmowało się produkcją chipsów, ale szybko uzyskało koncesję na sprowadzanie do Polski elektroniki oraz dystrybucję kaset wideo. Ten biznes, ciężka praca rąk Waltera i Wejcherta miały zaowocować stworzeniem medialnego giganta.

Ale jest i druga wersja tego spektakularnego sukcesu. Szczegółowo opisał ją Stanislas Balcerac, biznesmen z Luksemburga, kiedyś mniejszościowy udziałowiec ITI, zmuszony do odsprzedania swoich akcji, a później tropiący powiązania i niejasne pochodzenie środków obu panów W.

Według Balceraca za bazę do powstania TVN posłużyła inna spółka, założona w 1988 r. (przez szwajcarskiego adwokata i jego sekretarkę, we władzach szybko znaleźli się Walter i Wejchert) ITI Holdings SA, której kapitałem zakładowym miały być akcje spółki ITI Panama, powstałej w 1983 r. – jak sama nazwa wskazuje – w Ameryce Środkowej. Dalej – według Balceraca – tropy mają prowadzić do „matki wszystkich afer", w której chodziło o wyprowadzenie setek miliardów złotych z Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego.

Dyrektor FOZZ Grzegorz Żemek zeznał w swoim procesie nie tylko, że Jan Wejchert miał współpracować ze służbami wojskowymi w PRL (według badającego tę sprawę prof. Sławomira Cenckiewicza, chodziło „tylko" o służby cywilne), lecz również, że w drugiej połowie lat 80. uczestniczył w zakładaniu za granicą firmy, która pełniłaby funkcję konia trojańskiego, czyli wprowadzała agentów „na obszar na Zachodzie w dziedzinie mediów". Wskazywał na ITI, działające wcześniej pod nazwą Cantal.



Szef Discovery David Zaslav jest jednym z najpotężniejszych ludzi na rynku mediów w USA. Wywodzi się z rodziny nowojorskich Żydów, jego babka mieszkała w Warszawie, wyjechała do USA tuż przed wybuchem wojny

Fot. EPA / ANDREW GOMBERT / PAP

> Discovery niespecjalnie musi tego interesu pilnować, bo przecież linia telewizji jest całkowicie zbieżna z linią prezesa koncernu z USA, idealnie odpowiada „wartościom" amerykańskiej lewicy – twierdzi nasz rozmówca

Za wiązanie ITI z komunistycznymi służbami oraz aferą FOZZ medialny koncern w 2007 r. pozwał byłego szefa komisji weryfikacyjnej WSI Antoniego Macierewicza. Późniejszy szef MON sprawę prawomocnie wygrał. Jednym ze świadków Macierewicza był właśnie Balcerac. W październiku 2011 r. złożył on w Sądzie Okręgowym w Warszawie zeznania, w których opisał proceder wyprania pieniędzy FOZZ (prawie 20 mln dol.) przez spółki ITI Panama i ITI Holdings SA Luksemburg. Czy prawdziwy? Balcerac w 2015 r. złożył do prokuratury zawiadomienie w tej sprawie. Słuch po nim jednak zaginął.

TVN zawsze miał swoje wielkie i małe tajemnice – czy chodzi o genezę biznesu, czy obyczajową aferę z największą gwiazdą w roli głównej. Skutecznie je skrywając, wymaga transparentności od innych. Pozując na bezstronną, stacja sama de facto stała się jednym z najsilniejszych ośrodków politycznych w Polsce. Daleko odeszła od tego, do czego się zobowiązała, przyjmując koncesję. Dziś wykorzystuje wszelkie zasoby, by ją odnowić. Tylko to pozwoli jej dalej wpływać na umysły Polaków i mnożyć pieniądze.

eprasa.pl 3c57561b6e



Pakiet Komfort od Pekao – pomoc w codziennym życiu z Kontem Przekorzystnym

Bank Pekao rozwija paletę korzyści w ramach oferty kont. Przy współpracy z PZU wdrożył nowoczesne rozwiązanie zapewniające pomoc i bezpieczeństwo w codziennym życiu. Pakiet Komfort daje klientom możliwość realizacji bezpłatnych natychmiastowych płatności oraz m.in. ubezpieczenia transakcji zakupów internetowych czy pomoc w razie awarii bądź kradzieży w domu

Pakiet Komfort to w Banku Pekao nowy element w ramach oferty kont osobistych dla klientów indywidualnych, przygotowany we współpracy z PZU SA. Produkt składa się z dwóch części – Pakietu Express Elixir oraz bezpłatnego dla klienta w całym okresie ochrony Pakietu Ubezpieczeń. W ramach pierwszej składowej, w zależności od wariantu Pakietu Komfort, klient otrzymuje określoną liczbę poleceń przelewów natychmiastowych do innego banku do wykonania w miesiącu. W ramach drugiej części Pakietu Komfort, tj. bezpłatnego dla klienta ubezpieczenia Twoja Ochrona, może on zostać objęty ubezpieczeniem o różnicowym zakresie w zależności od wybranego wariantu. Pakiet Komfort jest dostępny dla klientów Banku Pekao w trzech wariantach: Standardowym, Złotym i Platynowym.

W ramach Promocji na Start Pakiet Komfort jest całkowicie bezpłatny przez pierwszych sześć miesięcy od jego aktywacji. Po tym okresie Pekao pobiera zryczałtowaną opłatę za Pakiet Express Elixir, gdzie pojedynczy przelew jest nawet o kilka złotych tańszy niż ten wykonany poza Pakietem.

– Konto Przekorzystne Banku Pekao zostało uznane w tym roku za najlepszy rachunek w Polsce w rankingu Złotego Bankiera. Mimo tego nie zatrzymujemy się w jego rozwoju. Od teraz klienci zyskają jeszcze więcej korzyści z Kontem Przekorzystnym. Rozszerzamy je o nowość – Pakiet Komfort. Chcemy zapewnić naszym klientom wygodę każdego dnia, poprzez podanie pomocnej ręki w codziennych, nieprzewidzianych sytuacjach. Tak, aby klienci mogli się skupić na tym, co dla nich ważne – mówi Wojciech Werochowski, wiceprezes zarządu Banku Pekao SA, nadzorujący Pion Bankowości Detalicznej.

– Pakiet Komfort to rozwiązanie, które mogliśmy wdrożyć, dzięki naszej współpracy z największym w kraju ubezpieczycielem. Dzięki nowej ofercie dajemy klientom ochronę, np. w zakresie transakcji podczas zakupów online, i komfort, kiedy trzeba natychmiast przelać pieniądze. Zapewniamy również wsparcie m.in. w przypadku kradzieży torebki czy telefonu komórkowego, a w wariantach szerszych również pomoc dziewięciu różnych fachowców w razie awarii w domu, np. hydraulika, elektryka, ślusarza czy informatyka – dodaje przedstawiciel banku.

– Strategia Grupy PZU na lata 2021–2024 zakłada dynamiczne rozwinięcie współpracy z Bankiem Pekao. Ubezpieczenie PZU uzupełnia jeden z wiodących produktów bankowych, jakim jest konto osobiste. Zakres został opracowany z myślą o szczególnych potrzebach klientów banku. Wspólnie chcemy stworzyć unikatową ofertę łączonych produktów ubezpieczeniowo-bankowych. Pakiet Komfort rozszerza portfolio tego typu rozwiązań dostępnych w banku – podkreśla Małgorzata Sadurska, członek zarządu PZU.

W ramach Pakietu Komfort Standardowego klient może wykonać dwa przelewy natychmiastowe, a także otrzymuje ubezpieczenie zakupów przez internet oraz rzeczy osobistych. W ramach wariantu Złotego pakietu jego posiadacz może wykonać trzy przelewy natychmiastowe w ciągu miesiąca oraz zyskuje ochronę jak przy Pakiecie Komfort Standardowym, wzbogaconą o ubezpieczenie Pomoc w domu. Osoba z Platynowym Pakietem ma do dyspozycji cztery przelewy natychmiastowe, a jej ochrona jest szersza o OC w życiu prywatnym.

Pakiet Komfort, ze względu na różnorodność elementów, z których się składa, odpowiada na potrzeby osób niemal w każdym wieku. Badania przeprowadzone wśród klientów na etapie przygotowania produktu pokazały, że ubezpieczenia cieszą się dużym zainteresowaniem. Spośród nich szczególne uznanie zyskały dwa: ubezpieczenie Pomoc w domu oraz OC w życiu prywatnym. Patrząc na wiek respondentów, młodsi, tj. w wieku 18–24 lata, w większości skupili swoją uwagę na Ubezpieczeniu zakupów przez internet. Natomiast u badanych w wieku 25–34 lata ubezpieczenie rzeczy osobistych oraz natychmiastowe przelewy Express Elixir budzą większe zainteresowanie niż wśród pozostałych grup wiekowych.

Pakiet Komfort można uruchomić nie tylko do nowych kont, lecz również do posiadanego konta w Banku Pekao. Klienci zrobią to wygodnie w bankowości elektronicznej, aplikacji PeoPay oraz w oddziale.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 71/0521/F

eprasa.pl 3c57561b6e

Widmo kierownika



STANISŁAW JANECKI

Powrót Donalda Tuska dla opozycji może się okazać większym problemem niż jego brak w polskiej polityce

Gdy Donald Tusk był premierem, nazywano go kierownikiem. Przede wszystkim dlatego, że tak jak kierownicy z czasów minionych nie znosił sprzeciwu. Z kierownikiem trzeba było wszystko uzgadniać albo mieć jego milczące przyzwolenie. Albo antycypować, co by zrobił czy powiedział, a on potem te antycypacje by akceptował lub nie. I tylko kierownik miał prawo być wściekły, pokazywać humory, napiętnować. Bardzo rzadko natomiast kierownik okazywał łaskę.

Stan w lipcu 2021 r. jest taki, że Tusk chce być znowu kierownikiem, tylko nie Platformy Obywatelskiej, lecz całej opozycji. I to chce być kierownikiem jeszcze bardziej bezczelnym oraz władczym, niż był do sierpnia 2014 r. Przed tą datą robił, co chciał tylko z liderami Polskiego Stronnictwa Ludowego – Waldemarem Pawlakiem, Januszem Piechocińskim i Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem (za rządów Tuska nie był on jeszcze szefem PSL). Jak na Tuska w roli superkierownika będą teraz reagować pozostałe ugrupowania opozycyjne oraz ich liderzy? Co Tusk jest w stanie zrobić z opozycją i w jakiej roli wobec niej wystąpi?

DESTRUKTOR

W 2019 r., gdy tylko kilka miesięcy dzieliło Donalda Tuska od końca kadencji jako przewodniczącego Rady Europejskiej, dawał on do zrozumienia, że gdyby wrócił do polskiej polityki, to tylko jako kierownik w stosunku do całej opozycji. I 3 maja 2019 r. przygotowano grunt do powrotu, tylko wszystko zepsuł nadgorliwy Leszek Jażdżewski, zapowiadający wystąpienie Donalda Tuska. Faktycznie Jażdżewski zrujnował plan powrotu Tuska, przykrył jego wystąpienie swoją agresywną i kompletnie niedyplomatyczną przemową, a przynajmniej o dwa lata powrót opóźnił. I wszystkie plany się posypały, czyli zostały odłożone o całą kadencję. Po falstarcie 3 maja 2019 r. odbyły się bowiem wygrane przez Prawo i Sprawiedliwość wybory europejskie (26 maja 2019 r.), wygrane przez tę partię wybory parlamentarne (13 października 2019 r.) oraz wygrane przez Andrzeja Dudę wybory prezydenckie (28 czerwca i 12 lipca 2020 r.). Rezultaty tych wyborów były dla PiS rekordowe (przy rekordowej frekwencji), co kierownika postawiło w jeszcze trudniejszej sytuacji, a nawet kwestię jego powrotu zawiesiło. Dlatego wrócił dopiero 3 lipca 2021 r. Tylko wrócił w momencie, gdy po stronie opozycji powszechnie kwestionowano sens tego powrotu i układano polską politykę opozycyjną bez kierownika. To sprawiło, że nie mógł dłużej czekać, bo to układanie mogłoby zajść za daleko. A układali się Rafał Trzaskowski, jego grupa w PO oraz wspierający go samorządowcy, czyli Wspólna Polska (Borys Budka też się układał jako stronnik prezydenta Warszawy, tylko okazał się potem piątą kolumną), Szymon Hołownia i jego Polska 2050, Włodzimierz Czarzasty i Lewica, Władysław Kosiniak-Kamysz i Koalicja Polska. I oni dość zgodnie twierdzili, że kierownik Tusk nie jest im do niczego potrzebny. Co szczególnie ważne, mówił tak wiceprzewodniczący PO Rafał Trzaskowski, który już się witał z gąską jako depozytariusz 10 mln głosów, które dostał w drugiej turze wyborów prezydenckich. Wspierający Trzaskowskiego prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak zaledwie kilka tygodni przed faktycznym powrotem Tuska twierdził, że kierownik nie tylko opozycji nie pomoże, lecz będzie wymarzonym prezentem dla PiS. Dlatego Trzaskowski z prezydentami miast tworzyli ruch Wspólna Polska, który miał być platformą jednoczenia opozycji na wybory parlamentarne w 2023 r.

Gdy 3 lipca 2021 r. kierownik wrócił, w kilka dni Wspólna Polska została wysadzona w powietrze, Trzaskowski zdegradowany z roli przyszłego lidera opozycji, a prezydenci miast zwasalizowani. 14 lipca 2021 r. Jacek Jaśkowiak wygłaszał już hymny pochwalne pod adresem kierownika i udawał, że kilka tygodni wcześniej nie kwestionował sensu zrobienia dla Tuska miejsca w „nowej" polskiej polityce. Trzaskowski robi dobrą minę do złej gry, gdyż nie wie, co robić. Nie jest w stanie się pozbierać po tym, jak w błyskawicznym tempie kierownik wytrącił mu z rąk wszystkie atuty. A Budka, który zależał od Trzaskowskiego jako przewodniczący PO, już właściwie zapomniał, kim jest jego najcenniejszy wcześniej zasób. A jeszcze zostawiają go kolejni prezydenci miast, po prostu przyłączając się do silniejszego. Prezydent Warszawy nie jest na tyle naiwny, żeby sądzić, iż kierownik uzna jego rolę lidera i będzie robił wszystko, żeby to Trzaskowski był kandydatem na premiera albo prezydenta Polski. Choć w PO panuje już triumfalistyczny duch i prawie wszyscy uznali, że Tusk jest znowu kierownikiem (a nawet superkierownikiem), Trzaskowski wcale się z nową swoją rolą nie oswoił ani nie pogodził. Na razie może udawać, że uznaje prymat i władzę Tuska, ale im bliżej będzie wyborów, tym bardziej będzie musiał pokazać, że jeszcze coś znaczy, nawet w opozycji do Tuska, bo w przeciwnym razie stanie się tylko pionkiem. Tylko pozornie powrót kierownika zawiesza wewnętrzne wo-

Fot. Alexandros Michailidis/Shutterstock.com

eprasa.pl 3c57561b6e

jenki w PO, gdyż pokój jest taktyczny. Różne frakcje w Platformie muszą okazywać entuzjazm z powodu powrotu kierownika, skoro jej notowania rosną. I muszą głosić chwałę kierownika, co robi nawet jego „odwieczny" wróg Grzegorz Schetyna. To jednak tylko wymuszona przez okoliczności gra. Gdy PO umocni się w roli lidera opozycji i zacznie mieć naturalny mandat do stawiania warunków pozostałym partiom opozycyjnym, wrócą stare podziały i animozje. I musi dojść do jakiejś próby sił miedzy Tuskiem a Trzaskowskim. Jeśli nie dojdzie, będzie po Trzaskowskim. W krótkiej perspektywie powrót kierownika wszystkim odpowiada, bo Platforma się wzmacnia. Z czasem kierownik będzie jednak demonstrował nie pokorę i wolę współpracy, tylko swoją siłę, bo zawsze to robił, o czym się przekonali Andrzej Olechowski, Maciej Płażyński, Zyta Gilowska, Jan Rokita, Paweł Piskorski, Jarosław Gowin czy Grzegorz Schetyna. Z tego grona tylko Schetyna przetrwał, ale pozbawiony stanowisk i wpływów, nawet na Dolnym Śląsku. U kierownika się nie wraca, gdy ktoś zostanie odtrącony. Musi to wiedzieć Rafał Trzaskowski. Dlatego czeka go konfrontacja z Tuskiem. I dlatego do czasu wyborów w 2023 r. w PO bardzo wiele może się skomplikować i pójść nie tak, jak sobie zwolennicy kierownika i on sam wyobrażają. Przed wyborami PO będzie więc miała wewnętrzne problemy i to może nawet większe niż przed powrotem kierownika. Głównie dlatego, że zacznie on korzystać ze swojej władzy.

STRACH HOŁOWNI

Po 3 lipca 2021 r. najważniejsi politycy opozycji spoza Platformy patrzą na to, jak kierownik Tusk postąpił z Ewą Kopacz, z Bartoszem Arłukowiczem, z Rafałem Trzaskowskim, wreszcie

z Borysem Budką. I potraktował ich absolutnie instrumentalnie, zupełnie się nie licząc z kwestiami godnościowymi i honorowymi. Borys Budka, jako akuszer powrotu Tuska, z pozycji lidera został zdegradowany do funkcji kapciowego kierownika, a co najwyżej pomocnika. Przed powrotem Tuska było kilku równorzędnych liderów w Platformie, po jego powrocie liczy się tylko on – i zawsze tak było, gdy przewodził. Jeśli komuś okaże łaskę, to ten ktoś awansuje, ale nigdy nie będzie znał dnia ani godziny. Podobnie Tusk traktował w latach 2007–2014 najważniejszych polityków z koalicyjnego PSL. Dlatego powrót kierownika, czyli akcję wywrotową w PO, pilnie obserwowali przede wszystkim Szymon Hołownia i Michał Kobosko z Polski 2050, gdyż oni mają najwięcej do stracenia. I akcja wywrotowa kierownika ich przeraziła, co zapewne wpłynie na strategię porozumiewania się z nim. Kobosko zaczął mówić o tym, że Tusk chce tylko reperować zepsutą Platformę, czyli poprawiać „starą" politykę, a on z Hołownią są w zupełnie innym miejscu, czyli tworzą „nową" politykę. Innymi słowy, Kobosko zakwalifikował kierownika do kategorii politycznych dziadersów i do przeszłości, która nie ma przyszłości. To pierwsza tak stanowcza reakcja jednego z liderów Polski 2050, gdyż tuż po powrocie kierownika Szymon Hołownia wyraźnie się do niego łasił, a nawet skarżył, że czeka na telefon od Tuska, a tu zero kontaktu.

Trzeba było zaledwie kilku dni, żeby Hołownia z Koboską zrozumieli, że były premier jako superkierownik jest dla nich i ich ugrupowania śmiertelnym zagrożeniem. Tym bardziej że jego powrót już ich kosztował odpływ około 5 proc. zwolenników. Kierownik potraktował liderów Polski 2050 „z buta", żeby zademonstrować swoją siłę. I przez umyślnych przekazał Hołowni, że jeśli ten szybko zadeklaruje wolę współpracy, dostanie lepsze warunki niż wtedy, gdy będzie do tego zmuszony, np. spadkiem poparcia w sondażach poniżej 10 proc. Wtedy Polskę 2050 czeka los Nowoczesnej. Hołownia i Kobosko nie chcą dać się pożreć, a w najlepszym wypadku zwasalizować, więc ich otwartość na propozycje kierownika nie będzie wielka. Oczywiście zapewne będą udawać zainteresowanie jakąś formą wielkiej koalicji, ale bez zobowiązań. A jednocześnie będą czekali na wyczerpanie się mitu Tuska, żeby w odpowiednim momencie wypomnieć mu zombizację polskiej polityki, czyli powrót do tego, co już było, i to wyłącznie w wersji zombie, czyli politycznych żywych trupów. Szansa na namówienie Polski 2050 do współpracy, czyli podporządkowania się kierownikowi jest więc niewielka, choć Hołowni przed wyborami strach może zajrzeć w oczy, ale wtedy Polska 2050 nie byłaby już znaczącą siłą. Jeśli zachowa kilkanaście procent poparcia, nie podda się kierownikowi.

PRZEMOCOWY RODZIC I ROZŁAMOWIEC

Donald Tusk uważa, że najłatwiej może zwasalizować Polskie Stronnictwo Ludowe. Dlatego że w przeszłości już to robił. Dlatego że w sondażach partia Kosiniaka-Kamysza jest słaba. I dlatego że sam lider PSL ma wobec Tuska kompleks syna przemocowego rodzica. Ale PSL nie po to budowało Koalicję Polską, żeby przyznać, iż ta inicjatywa to klęska. Sam Kosiniak-Kamysz może i by kierownikowi uległ, ale natrafi na opór w PSL i Koalicji Polskiej. W PSL istnieje pamięć traktowania przez dawnego koalicjanta „z buta", zwalania na niego czarnej roboty (przejęcie środków z OFE, podniesienie wieku emerytalnego), co wizerunkowo trzeba było potem odrabiać latami. Z kolei ci politycy, którzy dołączyli do PSL, mają w pamięci apodyktyczny i bezwzględny sposób traktowania przez kierownika, nawet gdy dotyczył on ich rywali w PO. Koalicja Polska nie była skłonna do politycznych mariaży, gdy przywództwo PO było słabe, to tym bardziej nie będzie, gdy wrócił kierownik ze swoimi autokratycznymi nawykami, więc partnerstwo byłoby iluzoryczne. Na początku zapewne będą ogólnikowe deklaracje, że wszyscy powinni dążyć do tego samego celu, czyli odsunięcia PiS od władzy, ale nie na warunkach kierownika i pod jego butem. A po cichu w Koalicji Polskiej będzie oczekiwanie na to, że Tusk nie okaże się na dłuższą metę rozwiązaniem problemów, lecz ich pogłębieniem, co z Koalicji Polskiej czyniłoby znowu alternatywę, zarówno dla polityków PO, jak i dla wyborców tej partii. Można się więc spodziewać ostrożności Koalicji Polskiej, a ostatecznie odrzucenia tego, co zaproponuje kierownik.

Lewicę Donald Tusk od czasu powrotu traktuje tak, jakby nie istniała. Głównie dlatego, żeby nie potwierdzać przesunięcia PO na lewo, skoro na dzień dobry sam kierownik zadeklarował, że partia pozostanie tam, gdzie była. Z liderem Lewicy Włodzimierzem Czarzastym kierownik rozmawiać nie zamierza. Ale rozmawia z tymi, którzy chcą Czarzastego pozbawić pozycji lidera. I kompletnie mu nie przeszkadza, że to starzy komuniści w rodzaju Leszka Millera, Włodzimierza Cimoszewicza, Marka Belki czy Joanny Senyszyn. Gdyby Czarzastego udało się odsunąć, na czele Lewicy mógłby stanąć ktoś pragmatyczny i skłonny do romansu z kierownikiem, PO oraz resztą opozycji. Nagrodą miałyby być posady, za którymi wielu polityków Lewicy tęskni od 16 lat i frustruje się, że są poza ich zasięgiem. Ale taki manewr osłabiłby i podzieliłby Lewicę, czyli nie zostałaby ona całkiem wyeliminowana jako polityczny rywal. Część poszłaby z PO i kierownikiem, a część grałaby na tym, że jest prawdziwą lewicą, w odróżnieniu od koniunkturalnych zdrajców. Plan kierownika wobec Lewicy nie byłby wtedy sukcesem.

Donald Tusk jest też w stanie prowadzić różne gry i zabawy z Konfederacją, wykorzystując ich rynkową „wiarę" i niechęć do PiS, ale nawet on wie, że poleganie na Konfederacji to rosyjska ruletka. Wygląda więc na to, że przez jakiś czas kierownik może funkcjonować jako najważniejszy polityk opozycji, że będą deklaracje dobrej woli, lecz z czasem wszyscy uczestnicy zaczną dostrzegać istotę strategii kierownika, czyli wasalizacji kogo się da, wykańczania najzdolniejszych rywali i orientowania się wyłącznie na siebie. Jeśli w tym czasie mit Tuska mocno osłabnie, na co się zanosi, powrót kierownika okaże się dla PO, a więc i całej opozycji większym problemem niż jego brak.

eprasa.pl 3c57561b6e



Wielka manipulacja Tuska

Donald Tusk obiecał, że nie odbierze Polakom programu 500+. Przeprosił również za podniesienie wieku emerytalnego. Ale jednocześnie stwierdził, że „rozdawnictwo jest zabójcze dla nas wszystkich", a rząd Zjednoczonej Prawicy określił mianem „3D", czyli „dług, daniny i drożyzna". Który Tusk jest zatem prawdziwy? Ten obiecujący zachowanie sztandarowego programu PiS, czy ten krytykujący „rozdawnictwo"? Ten godzący się na miliardowe transfery społeczne, czy ten oskarżający rząd PiS o rosnący dług publiczny?



KAMIL KWIATEK

Zdaniem publicysty Rafała Wosia deklaracja Donalda Tuska jest potwierdzeniem tego, że „PiS lepiej zna się na gospodarce niż liberałowie". Ale czy były premier rzeczywiście zmienił zdanie na temat programów społecznych wprowadzonych przez Zjednoczoną Prawicę? Tusk najwidoczniej próbował sprawić wrażenie, że lata spędzone na europejskich salonach zmieniły jego liberalne przekonania.

Świadczyć o tym mogą jego zaskakujące słowa o tym, że rząd Ewy Kopacz przygotowywał program „podobny do 500+". Problem w tym, że nie ma żadnych śladów po takim projekcie. Mówiła o tym w telewizji wPolsce.pl minister rodziny i polityki społecznej Marlena Maląg. Ale może to jedynie „pisowska retoryka"? Może o programie słyszał któryś z ministrów w rządzie Ewy Kopacz? Marek Sawicki, były minister rolnictwa i rozwoju wsi, w rozmowie z Markiem Pyzą w „Kwadransie politycznym" w TVP1 powiedział, że „nie pamięta tej propozycji i takiego zdarzenia". Polityk PSL przyznał, że takim rozwiązaniom sprzeciwiał się ówczesny minister finansów Jacek Rostowski, który przekonywał, jak powiedział Sawicki, że „piniędzy nie ma i nie będzie na tego typu działania". Tę wypowiedź byłego szefa resortu finansów akurat znamy doskonale. Ale i sama premier Ewa Kopacz pytana o słowa byłego premiera nie potrafiła odpowiedzieć, o jaki projekt mogło mu chodzić.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 3c57561b6e



JAKIE INTENCJE MA TUSK?

Czy Donald Tusk tę całą historię po prostu wymyślił? A jeśli tak, to w jakim celu? Musiał przecież wiedzieć, że dziennikarze natychmiast zaczną weryfikować jego słowa. Czy stały za tym jakieś konkretne intencje, a może to zwykły polityczny błąd? Zapytałem o to politologa z Uniwersytetu Warszawskiego prof. Rafała Chwedoruka.

– Problem jest głębszy i nie można redukować go do kwestii PR-owych. Wynika on z tego, że sam elektorat opozycyjny – w tym nawet istotna część elektoratu Platformy Obywatelskiej – jest istotnie podzielony w kwestii programu 500+. Trzon tego elektoratu to wyborcy integralnie liberalni, bardzo mocno rynkowi i bardzo niechętni wobec tego świadczenia – podkreśla politolog. Jednocześnie zauważa, że ostatnie lata pokazały, że aby wygrać z obozem Jarosława Kaczyńskiego, nie wystarczy „zmobilizować tych, co zawsze".

Czy deklaracja Tuska jest więc próbą sięgnięcia po tych wyborców, którzy być może zagłosowaliby na opozycję, gdyby byli tylko pewni, że ta nie zabierze im świadczeń, które wprowadziła Zjednoczona Prawica? Platforma będzie musiała balansować w sprawie programu 500+. To jednak nie będzie łatwe, bo – jak zauważa prof. Chwedoruk – PO przez lata nie wypracowała skutecznej strategii w tej kwestii. Nie dziwi więc, że Tusk z jednej strony mówi o „niebezpiecznym rozdawnictwie", a z drugiej strony, że 500+ zostaje. – To trochę próba powtórzenia strategii, która w kwestiach kulturowych towarzyszyła Platformie do czasów premier Ewy Kopacz – tłumaczy politolog.

CZY TUSK RZECZYWIŚCIE SIĘ ZMIENIŁ?

Jeden z komentatorów lewicowej „Krytyki Politycznej", który publikuje pod pseudonimem Galopujący Major, w komentarzu pt. „Wrócił stary, nagi Tusk", stwierdza, że lata, które były premier spędził na salonach europejskich, w ogóle go nie zmieniły. „Tusk oświadczył, że 500+ i wszystko, co władza dała, zostanie zachowane. Skoro więc PiS robi zło w każdej właściwie sprawie, to chyba 500+ też jest złem, a jak jest złem, to czemu Tusk chce owo zło zostawić? [...] Powie ktoś, że to łapanie za słówka, ale to nie jest żadne łapanie za słówka, tylko typowe platformerskie zaplątanie, bycie za, a nawet przeciw. Obserwowaliśmy tę ideologiczną pulpę przez lata i w pierwszym wystąpieniu Tusk tylko ją potwierdził. Zresztą w swoim przemówieniu wspominał też o drożyźnie, długu publicznym, rozdawnictwie, co znowuż wydaje się zabawne w zestawieniu z zachowaniem 500+. Bo właściwie to nie wiem, czy Tusk będzie ciął wydatki, żeby ratować nas przed tym okropnym długiem, czy jednak będzie zostawiał zdobycze socjalne PiS" – czytamy w komentarzu „Majora". To trafna ocena wystąpienia Tuska. Podobne odczucia miało zresztą wielu innych komentatorów, i to nie tylko tych niechętnych byłemu premierowi.

> Każdy, kto by chciał odebrać 500+, będzie przez miliony ludzi traktowany jako ktoś, kto zagraża. Chodzi więc o to, aby nie odstraszać sobą. Donald Tusk jest dzisiaj w stanie powiedzieć wszystko, co będzie potrzebne – ocenia prof. Ryba

Czy więc Donald Tusk, który nigdy nie ukrywał, że jest liberałem, a zaledwie dwa lata temu przyznał, że nie żałuje niewprowadzenia 500+, zmienił swoje nastawienie? Przypomnijmy kilka jego wypowiedzi z czasów, gdy był jeszcze premierem, i porównajmy z tym, co mówił ostatnio.

Chyba najbardziej znana wypowiedź Tuska na temat programu 500+, który wtedy jeszcze funkcjonował jako obietnica wyborcza, pochodzi z 2014 r. Na konferencji prasowej ówczesny premier pytał, gdzie są „zakopane w Polsce miliardy, które można porozdawać ludziom", dodając, że jeżeli ktoś wie, to „nie powinien z tym zwlekać". Dodał również, że gdyby udało się wprowadzić taki program, to „byłby najszczęśliwszym premierem w Europie". Jak te słowa mają się do jego wypowiedzi z grudnia z 2019 r., gdy w TVN przyznał, że „nie żałuje, że nie wprowadził 500+", a polskie rodziny straszył, że choć będą miały „500 zł w kieszeni", to nie pozwoli im to na wyleczenie swojego dziecka. Jak jego obecna deklaracja o gotowości do kontynuowania takiego programu ma się do jego słów o władzy, „od której wymaga się odpowiedzialności nie za rok najbliższy i wynik, i swoją popularność, ale przynajmniej o perspektywę 10 lat"? Czy Tusk deklarując, że „nic co dane, nie zostanie zabrane", nie dba właśnie o „najbliższy rok, wynik wyborów i swoją popularność", a nie o „perspektywę przynajmniej 10 lat"? W końcu, jak były premier chce sfinansować ten program, skoro jego zdaniem rządy PiS to „dług, daniny, drożyzna"? Czy ma jakiś inny pomysł, czy też będzie „powiększał dług i daniny"? Tusk nie przedstawił odpowiedzi na to pytanie, a powinien, skoro sam nigdy nie ukrywał, że pieniądze, które obecny rząd przeznacza na program 500+, powinny trafić gdzie indziej. W przywołanej wcześniej rozmowie w TVN podkreślił, że „Polska musi teraz inwestować niewyobrażalne pieniądze w zdrowie, edukację i ochronę środowiska", dodając, że „trzeba mądrzej wydawać pieniądze". Jeżeli wtedy trzeba było „mądrzej wydawać pieniądze", to czy w dobie globalnego postcovidowego kryzysu gospodarczego nie należy robić tego jeszcze mądrzej? Taki wniosek można wysnuć z wypowiedzi Tuska. Zestawie-

Fot. Fratria

eprasa.pl 3c57561b6e



nie tych wypowiedzi pokazuje, że Tusk zależnie od sytuacji mówi co innego. To jednak nie powinno nas dziwić.

Prof. Mieczysław Ryba, politolog z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, zwraca uwagę, że w czasach gdy Tusk był premierem, sytuacja na rynku medialnym pozwalała mu bez żadnych konsekwencji składać obietnice, które później zmieniał albo o których zapominał. – Donald Tusk zawsze był podobny, tylko dzisiaj ma trudniejsze warunki medialne, bo kiedy wygłaszał różne sprzeczne rzeczy i składał obietnice, które później zmieniał (przypomnijmy, że mówił, że wiek emerytalny nie zostanie podniesiony, aby później go podwyższyć), to nie mając za sobą krytycznych wobec siebie mediów, mógł mówić, co chciał. Dzisiaj dziennikarzom jest niezwykle łatwo wykazać nieścisłości w tym, co mówi były premier – podkreśla w rozmowie z tygodnikiem „Sieci" politolog.

Dlaczego więc dziś nowy stary lider Platformy Obywatelskiej składa deklaracje, które tak mocno kontrastują z tym, co mówił wcześniej? Powód jest banalny. – Każdy, kto by chciał odebrać 500+, będzie przez miliony ludzi traktowany jako szkodnik, jako ktoś, kto zagraża. Chodzi więc o to, aby nie odstraszać sobą. To jest główny cel tej wypowiedzi. Donald Tusk jest dzisiaj w stanie powiedzieć wszystko, co będzie potrzebne. Jak trzeba, to będzie popierał Martę Lempart i jednocześnie będzie mówił, że jest katolikiem – wyjaśnia prof. Ryba.

A JEDNAK ZMIANY?

Choć Donald Tusk zadeklarował, że 500+ nie zostanie odebrane, to w jego wypowiedziach padły słowa, które mogą sugerować, że były premier już kreuje narrację pod ewentualne zmiany. Po pierwsze, Tusk przyznał, że „być może ten system jest za prosty, że korzystają z niego milionerzy". Odebrać milionerem, a przy okazji np. osobom, które nie pracują? Zwłaszcza że w Szczecinie narzekał na „nieustanny przetarg na nieodpowiedzialne obietnice, które składają się na przekonanie, że pieniądze są oderwane od pracy". Liberałowie przecież wielokrotnie mówili, że program 500+ sprawia, że matki nie chcą pracować.

Po drugie, zastanawiające są słowa o inflacji. Tusk podkreśla, że trzeba zrobić wszystko, aby ta nie wydrążyła 500+. A gdy inflacja się utrzyma, czy to nie będzie argument do zmiany programu? W końcu Tusk powiedział również, że nie jest winą ludzi, że „ktoś rządzi tak, że zaczyna brakować pieniędzy". To zadziwiające słowa, bo nikt w ostatnim czasie nie mówił, że brakuje środków na wypłatę 500+. Dlaczego były premier o tym powiedział? Łatwo można sobie wyobrazić, że opozycja, przejmując władzę, ogłasza, że budżet państwa świeci pustkami i nie ma pieniędzy na transfery społeczne. Czy to niemożliwe? Możliwe, zwłaszcza że – jak mówi prof. Chwedoruk – Platforma już niedługo może mieć problem z programem 500+. – Będzie polegał na tym, że emocje dotyczące polskiej polityki będą narastały wokół 500+. To będzie temat mocniej bipolaryzujący niż wcześniej i w trochę innych proporcjach. Oczywiście większość obywateli nie będzie chciała likwidacji ani odejścia od tego typu polityki, ale jednocześnie przybędzie wyborców, a za nimi polityków, którzy głośno i publicznie będą mówić, że nie chcą programu 500+ – przewiduje politolog. – Nakładają się na to zmiany demograficzne, choć młodsze roczniki są demograficznie słabsze od pokoleń w średnim i starszym wieku, to jednak z naturalnych powodów będą odgrywały coraz większą rolę w życiu społecznym, a tam odsetek postaw liberalnych, także w podejściu do gospodarki, będzie dużo większy – dodaje.

Jedno się jednak u byłego premiera nigdy nie zmieniło. Tusk nigdy nie potępił drwin liberalnych elit z beneficjentów programów socjalnych. Pamiętamy przecież doskonale wypowiedzi celebrytów, którzy narzekali, że nie mogą spokojnie wypocząć nad polskim morzem, bo po tym, jak uruchomiono program 500+, rodziny wielodzietne w końcu mogły pojechać na wakacje. Nigdy również nie potępił głosów płynących z bliskiego mu środowiska politycznego, które drwiło z milionów Polaków głosujących na PiS rzekomo tylko dlatego, że dostały „pincet".

Czego możemy się jeszcze spodziewać? „Na razie Donald Tusk nie mówi za wiele o swoich planach gospodarczych. A jeśli neoliberał, który rządził, nie mówi o planach, to istnieje duża obawa, że będzie realizował to, co uskuteczniał, gdy rządził. Czas władzy Donalda Tuska to podwyższenie wieku emerytalnego, brak transferów socjalnych, zamrożenie progu dochodowego do otrzymania pomocy społecznej, co odcięło od świadczeń wiele polskich rodzin" – prognozuje Piotr Ikonowicz w wywiadzie opublikowanym na portalu salon24.pl. I to chyba najtrafniejsza diagnoza tego, kim jest dzisiaj Donald Tusk.

eprasa.pl 3c57561b6e



Najwyższy czas na Pałac Saski

Stajemy się krajem coraz bogatszym i zasobniejszym i najwyższy czas, byśmy realizowali również ambitne inwestycje, ważne ze względów historycznych, prestiżowych, ale także funkcjonalnych. Musimy się wyzwolić z przekonania, że nie możemy prowadzić wielu inwestycji naraz, że musimy dokonywać wyborów: albo – albo. Odbudowa zachodniej pierzei placu Piłsudskiego nie wyklucza innych inwestycji. Nasi przodkowie w jeszcze trudniejszych warunkach odbudowywali świątynie, Stare Miasto w Warszawie, Zamek Królewski. Wiedzieli, że to jest ważne

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z senatorem Stanisławem Karczewskim, byłym marszałkiem Senatu, jednym z inicjatorów planu odbudowy Pałacu Saskiego

Dlaczego warto odbudować Pałac Saski?

Stanisław Karczewski: Odpowiem innym pytaniem – dlaczego do tej pory tego nie zrobiono? Już od dawna powinien stać, cieszyć mieszkańców Warszawy i turystów z Polski i zagranicy, być miejscem, w którym toczy się życie. Pamiętajmy: przed wojną plac Saski, a później Marszałka Józefa Piłsudskiego wraz z zabudowaną pierzeją zachodnią to było serce Warszawy.

Prawdziwe centrum?

Centrum, ale właściwie przede wszystkim serce. Spójrzmy na przedwojenne pocztówki, zdjęcia, na różnego rodzaju relacje, wspomnienia. Dziś to miejsce jest puste. Bez Pałacu Saskiego Warszawa wciąż jest okaleczonym miastem. Odbudowa będzie klamrą, która zamknie podnoszenie naszej stolicy z ruin. Wierzę, że przekonamy do tego projektu także tych, którzy dziś są sceptyczni.

W jaki sposób?

Ustawa jeszcze nie została przegłosowana, ale już trwają wstępne prace nad promocją projektu. Pokażemy, że powstanie miejsce piękne, magnetyczne,

eprasa.pl 3c57561b6e



wyjątkowe w skali europejskiej. Już niebawem pojawi się aplikacja, która osobie stojącej np. na placu Piłsudskiego pokaże, jak będzie wyglądał cały kompleks: Pałac Saski, Pałac Brühla i kamienice przy ul. Królewskiej.

Padają jednak argumenty, że Grób Nieznanego Żołnierza w obecnej formie, który chyba jednak cudem, a nie decyzją niemiecką ocalał w czasie wysadzania Pałacu Saskiego, jest mocno obecny w polskiej świadomości. Właśnie taki: osadzony we fragmencie kolumnady nieistniejącego już pałacu.

Mamy tego świadomość. I dlatego Grób Nieznanego Żołnierza pozostanie nietknięty; zostanie w taki sposób wkomponowany w całą konstrukcję, że z bliska widać będzie jego obecny kształt, a z daleka będzie tworzył spójną całość. Wszystkie nowe elementy będą oddzielone kilkunastocentymetrową przerwą.

Po zjednoczeniu Niemcy odbudowały m.in. kościół Marii Panny w Dreźnie, Pałac Miejski w Poczdamie, zamek królów pruskich w Berlinie, odbudowują także inne narody.

Odbudowa Pałacu Saskiego rzeczywiście wpisuje się w światowy trend. Te wszystkie przykłady udanych rekonstrukcji wzmacniają tylko nasze przekonanie, że można, trzeba i warto to zrobić. Warto też przypomnieć, że śp. prezydent Lech Kaczyński wyprzedził Niemców. Gdyby to, co zaczął jako prezydent Warszawy w 2004 r., zostało dokończone, Pałac Saski cieszyłby oczy już od ponad 10 lat.

Rzeczywiście, prace były już dość zaawansowane.

Tak, wykonano bardzo wielką pracę. Rozwiązano choćby sprawy własnościowe, dzięki czemu dziś cały ten teren należy do miasta. Przeprowadzono wykopaliska archeologiczne pod Pałacem Saskim, rozpisano przetarg, wybrano wykonawcę, zarezerwowano też środki. Niestety następczyni prezydenta Lecha Kaczyńskiego Hanna Gronkiewicz-Waltz uznała, że nas na to nie stać. Fundamenty zasypano, pieniądze rozeszły się na inne cele.

I dziś wielu mówi, że nadal nas nie stać, że są inne pilne potrzeby.

Stajemy się krajem coraz bogatszym i zasobniejszym i najwyższy czas, byśmy realizowali również takie ambitne inwestycje, ważne ze względów historycznych, prestiżowych, ale także funkcjonalnych. Musimy się wyzwolić z przekonania, że nie możemy prowadzić wielu inwestycji naraz, że musimy dokonywać wyborów: albo – albo. Odbudowa zachodniej pierzei placu Piłsudskiego nie wyklucza innych inwestycji. Nasi przodkowie w jeszcze trudniejszych warunkach odbudowywali świątynie, Stare Miasto w Warszawie, Zamek Królewski. Wiedzieli, że to jest ważne.

Po pandemii szczególnie mocno eksponowane jest hasło: dajcie te ponad 2 mld zł, dokładnie 2 mld 400 mln, na służbę zdrowia. Prezentuje się przy tym drastyczne zdjęcia zaniedbanych szpitali.

Rząd PiS zwiększył finansowanie służby zdrowia skokowo, w Polskim Ładzie zapowiedziano podniesienie wydatków do 7 proc. PKB. Na marginesie jako pracownik i organizator służby zdrowia dodam, że moim zdaniem same pieniądze nie wystarczą, jeśli jednocześnie system służby zdrowia nie zostanie uporządkowany. To się dzieje, próbowali robić to również nasi poprzednicy, co prawda nieudolnie, ale jednak też widzieli ten problem.

Wracając do Pałacu Saskiego: w tej sprawie znów trzeba było sięgnąć po specustawę. Innego rodzaju ścieżka nie wchodziła w grę? Jakie jest stanowisko władz Warszawy w tej sprawie?

Przyjęliśmy rozwiązania, które będą skuteczne. To już jest trzecie podejście. Najpierw, tuż po wojnie, Pałacu Saskiego nie chciały odbudować władze komunistyczne. Później sprawę podjął Lech Kaczyński. Teraz jest ustawa prezydenta Andrzeja Dudy, który w ten sposób kontynuuje dzieło swojego poprzednika. Myślę, że do trzech razy sztuka. A jeśli chodzi o stanowisko władz stołecznych, to rozmawialiśmy z władzami Warszawy i ten dialog będzie kontynuowany.

Czy jest szansa na ponadpartyjne poparcie tej sprawy w Sejmie i Senacie?

Bardzo na to liczę. Proszę wszystkich sceptyków o przemyślenie tej sprawy. To nie jest żadna fanaberia, to nie jest działanie partyjne, ale to jest przedsięwzięcie narodowe, które może nas wszystkich jednoczyć. Jest wiele dobrych sygnałów od polityków z różnych partii. Projekt odbudowy podoba się marszałkowi Grodzkiemu; to drugi raz, gdy się zgadzamy. Wcześniej mieliśmy to samo zdanie w sprawie szczepień przeciwko COVID-19.

Ale już kwestia mycia rąk was poróżniła.

[Śmiech] Nie tyle sama kwestia mycia rąk, ile sposób, w jaki należy to robić.

Formalnie obszar, na którym powstanie kompleks Pałac Saski, Pałac Brühla i kamienice przy Królewskiej, należy obecnie do miasta?

Tak. Skarb państwa przejmie własność, płacąc miastu odszkodowanie. W rozliczeniu zostanie uwzględniony także ratusz przy pl. Bankowym. Władze stolicy przejmą pomieszczenia, które obecnie zajmuje wojewoda. Ten z kolei otrzyma siedzibę w kamienicy przy Królewskiej. Dla miasta to będzie korzystne rozwiązanie.

Jeśli wojewoda wyprowadzi się z placu Bankowego, to miasto zapewne szybko usunie stojący tam pomnik śp. Lecha Kaczyńskiego?

Zadbamy o tę sprawę. Gdy będziemy podpisywali umowy, zabezpieczymy ten niewielki, symboliczny, ważny

eprasa.pl 3c57561b6e

pomnik. Przez długi czas było to jedyne upamiętnienie prezydenta Polski, a wcześniej Warszawy. To się Lechowi Kaczyńskiemu należy, tak jak należą mu się inne godne formy upamiętnienia.

Czyli można mówić o pewnego rodzaju porozumieniu z władzami Warszawy w sprawie odbudowy?

Nie słyszałem żadnej wypowiedzi, w której prezydent Rafał Trzaskowski wyraziłby publicznie poparcie dla odbudowy. Spodziewałem się przychylności. Dziwię się, bo przecież odbudowa doda splendoru Warszawie. Ale rozmawiamy. Realizacja takiej inwestycji w jakimś zwarciu będzie dużo trudniejsza. Nam nie chodzi o wojnę, ale o dobre efekty.

W 2014 r. „Gazeta Wyborcza" mocno popierała tę ideę, dziś pisze o „smrodzie politycznym", który rzekomo towarzyszy tej inwestycji. Czy tu nie chodzi o to, by niszczyć wszystko, co może Polaków łączyć, jednoczyć?

Tak, „Gazeta Wyborcza" wyraźnie atakuje odbudowę, chyba codziennie coś pisze na ten temat w tonie negatywnym. Choć przypomnę, że czytelnicy „Gazety Wyborczej" w sondażu dotyczącym potrzeb inwestycyjnych w Warszawie wysoko umieścili odbudowę Pałacu Saskiego. Ta idea wyprzedziła budowę kolejnej linii metra. To jest inwestycja, która dotyka dumy narodowej, dziedzictwa, tradycji, historii. To jest wzmocnienie polskiego fundamentu. Ideę odbudowy będą krytykować ci, którzy chcą Polaków skłócać, dzielić. A przecież po pandemii potrzebujemy jak nigdy spokoju, wspólnych działań w sprawach, które dodają nam optymizmu, które wzmacniają wspólnotę narodową.

Właściwie każda duża inwestycja wymaga przełamania potężnych oporów: czy to przekop Mierzei Wiślanej, czy to tunel pod Świną, czy to CPK. Za każdym razem ciężka wojna. Z czego to wynika?

Tak już w Polsce jest. Przyczyn jest wiele. Jest w tym polityka, jest być może i inspiracja zewnętrzna, ale także pewien brak wyobraźni, odwagi, śmiałości, ambicji. A przecież wielkość zawsze rodzi się z mocnego ducha.

Z badania pracowni Social Changes na zlecenie portalu wPolityce.pl wynika, że 49 proc. pytanych popiera odbudowę, a przeciw jest 24 proc. A więc wyraźna przewaga zwolenników. Ze szczegółowej analizy wynika, że przeciw są głównie wyborcy Koalicji Obywatelskiej.

To są skutki przekazu, który płynie ze strony „totalnej opozycji". Wszystko na nie, choćby to były najsłuszniejsze działania. Ale te wyniki są ogólnie bardzo optymistyczne. To zresztą wynika także z moich doświadczeń – gdy podczas spotkań mówię o tej sprawie, widzę duże wsparcie, nawet entuzjazm. Gdy premier wspomina o tym przedsięwzięciu, również w małych miejscowościach, także słychać oklaski. W sprawie Pałacu Saskiego rządząca w Warszawie Platforma miała mnóstwo czasu, by się wykazać. Dziś opozycja nie może mieć pretensji do naszego środowiska politycznego, że podjęło ten temat. Jestem wdzięczny prezesowi Jarosławowi Kaczyńskiemu, prezydentowi Andrzejowi Dudzie, także premierowi Mateuszowi Morawieckiemu i Piotrowi Glińskiemu za wielkie wsparcie tej idei. Dla mnie oczywiste jest, że sama odbudowa powinna być ponadpolityczna i mieć wymiar ogólnonarodowy.

W kontekście odbudowy Pałacu Saskiego nie sposób nie przywołać odbudowy Zamku Królewskiego; właśnie teraz obchodzimy 50. rocznicę od rozpoczęcia tego przedsięwzięcia. Pan pamięta, jak siedziba królów powstawała z ruin?

Oczywiście! Pamiętam spacery z moją mamą, która pokazywała mi ocalały fragment z oknem pokoju Stefana Żeromskiego. Rodzice dokładali się do zbiórek, kupowali cegiełki. Naprawdę się tym cieszyli, a ja wraz z nimi. Później często jeździliśmy patrzeć, jak rosną mury, jak budowla nabiera kształtów. Wierzę, że podobna atmosfera radości i dumy będzie towarzyszyła odbudowie Pałacu Saskiego.

Czy na odbudowę Pałacu Saskiego też będzie zbiórka publiczna?

Mamy zapewnione finansowanie z budżetu państwa, ale nie można wykluczyć innych form finansowania inwestycji.

Tego typu inwestycje bardzo często przekraczają założony budżet. Później budzi to duże emocje, pojawiają się pretensje, kłopoty. Czy tym razem wszystko zostało dobrze policzone?

Kalkulacja została przeprowadzona bardzo starannie i profesjonalnie. Wyliczona kwota uwzględnia spodziewany wzrost cen materiałów, robocizny, innych kosztów. Ten budżet ma więc w sobie pewną poduszkę bezpieczeństwa.

Wiele osób pyta: czy nie powinien płacić ten, kto zniszczył, a więc Niemcy?

Powinien. Jestem gorącym zwolennikiem reparacji. Pamiętajmy też, że finansowanie odbudowy przez państwo polskie nie oznacza, że ten rachunek nie może być wliczony do roszczeń. Odbudowa Pałacu Saskiego będzie też bardzo namacalnym przypomnieniem skali naszych strat wojennych. Uświadomi wielu Polakom, że ten pałac – i Pałac Brühla – zostały zburzone nie w czasie walk, ale długo po upadku Powstania Warszawskiego, w grudniu 1944 r. Niemcom chodziło o unicestwienie polskości, o całkowite zniszczenie Warszawy.

Pałac ma odbudować spółka celowa. Jak policzyły media, członkowie zarządu mogą zarabiać nawet 28 tys. zł miesięcznie brutto. Nie za dużo?

Trzeba znaleźć ludzi kompetentnych, którzy udźwignią bardzo dużą, niezwykle skomplikowaną inwestycję. Inwestycję zdecydowanie trudniejszą niż budowa Stadionu Narodowego. Tu m.in. wchodzi w grę dbałość o detale architektoniczne.

Czy odbudowa pałaców Saskiego i Brühla może rozpocząć szerszy program odbudowy zniszczonych zabytków? Na przykład w Płocku Niemcy rozebrali w 1940 r. piękny kościół św. Trójcy, będący wówczas siedzibą teatru. Takich miejsc są dziesiątki, może setki.

Jeśli odbudowa zachodniej pierzei placu Piłsudskiego w Warszawie będzie udana, a jestem przekonany, że tak będzie, to sądzę, że samorządy i państwo zaczną odbudowywać. Myśleliśmy o powołaniu instytucji przeznaczonej wyłącznie do odbudowy zniszczonych zabytków, która gromadziłaby doświadczenie techniczne, prawne, wokół której skupiliby się spe-

eprasa.pl 3c57561b6e

cjaliści. Być może spółka, która odbuduje Pałac Saski, stanie się zaczątkiem takiej specjalnej agencji? Ale to nie są jeszcze sprawy rozstrzygnięte.

Prawo i Sprawiedliwość obiecało odbudowę zamków piastowskich, ale sprawa, niestety, nie ruszyła z miejsca.

Wszystkiego naraz nie da się zrobić. Odbudujmy Pałac Saski, później będzie łatwiej z kolejnymi przedsięwzięciami.

Kto będzie prawnym właścicielem odbudowanych gmachów? I co w nich będzie?

Pałac Brühla zostanie przeznaczony na siedzibę Senatu RP, a kamienica przy ul. Królewskiej pod dawnym numerem 6 na siedzibę wojewody mazowieckiego, pozostała olbrzymia powierzchnia, czyli głównie Pałac Saski, będzie należała do Ministerstwa Kultury z przeznaczeniem na działalność edukacyjną i kulturalną. Pałac Saski ma być przestrzenią otwartą, tętniącą życiem, mieszczącą instytucje kultury, organizacje pozarządowe, miejsce, które swoją atrakcyjnością przyciągnie turystów. Będzie filia Muzeum Historii Polski, prezentująca w pigułce nasze dzieje. Taką wystawę będzie można pokazać delegacjom składającym kwiaty pod Grobem Nieznanego Żołnierza. Upamiętnieni zostaną także Fryderyk Chopin, który mieszkał w Pałacu Saskim siedem lat, oraz Maria Skłodowska-Curie, która na świecie rzadko jest kojarzona z Polską. W pałacu znajdzie się też miejsce dla Polonii, być może Muzeum Polonii. W jednej z kamienic powstanie też coś w rodzaju sceny letniej. Obok będzie miejsce na restaurację, cukiernię, bo tam właśnie mieściła się przed wojną słynna cukiernia Lesslów.

Przed wojną w Pałacu Saskim mieścił się Sztab Generalny, a w Pałacu Brühla swoją siedzibę miało MSZ. Pomysł umieszczenia tych instytucji w siedzibach historycznych jednak upadł?

Tak. Pytaliśmy się wojska, ale nie jest ono zainteresowane. MSZ także nie.

W jakiej technologii będzie odbudowywany cały kompleks? Czy to będzie odtworzenie starych technologii? Mury będą z cegieł czy z betonu?

Fasada będzie ścisłym odzwierciedleniem wyglądu budynków z 31 sierpnia 1939 r. Elewacja zostanie wiernie odtworzona z wykorzystaniem identycznych materiałów budowlanych. Na pewno nie będzie plastikowych okien. Wnętrza będą jednak nowoczesne i dostosowane do współczesnych potrzeb z zastosowaniem innowacyjnych i ekologicznych technologii. Będzie to swego rodzaju połączenie historii i nowoczesności. Podczas pierwszych prac archeologicznych w 2007 r. znaleziono liczne artefakty, które obecnie znajdują się w wielu miejscach w Warszawie, ale będą wykorzystane i odpowiednio wkomponowane. Podobnie jak te, które dopiero można znaleźć pod Pałacem Brühla.

> Odbudowa Pałacu Saskiego będzie bardzo namacalnym przypomnieniem skali naszych strat wojennych. Uświadomi wielu Polakom, że ten pałac został zburzony nie w czasie walk, ale długo po upadku Powstania Warszawskiego, w grudniu 1944 r. Niemcom chodziło o unicestwienie polskości, o całkowite zniszczenie Warszawy

Niewątpliwie cenną i ciekawą atrakcją będzie ścieżka historyczno-dydaktyczna, która powstanie w zabytkowych piwnicach dworu Jana Andrzeja Morsztyna. Odkryte w 2007 r. i wpisane do rejestru zabytków będą nie tylko zachowane, lecz interesująco i atrakcyjnie wyeksponowane.

A co z drzewami, które rosną na terenie, na którym mają stanąć pałace i kamienice?

Inwestor wszystkie je przesadzi. One rosną nad sklepieniami piwnic, więc ukorzenienie ich nie jest zbyt głębokie. Z pewnością dbałość o wierność historyczną odbudowy będzie równa z dbałością o zagospodarowanie zieleni.

Czy odbudowane pałace nie zablokują szlaków komunikacyjnych, także tych pieszych?

Będzie swobodne przejście z ogrodu Saskiego na plac Piłsudskiego przez kolumnadę. Nie będzie żadnych ogrodzeń. Wszystkie obiekty będą ogólnodostępne. W planach jest wybudowanie parkingów podziemnych zarówno pod Pałacem Brühla, jak i kamienicami. Możliwe jest również, choć nie wchodzi to w zakres inwestycji, wybudowanie parkingów pod placem Piłsudskiego i pod placem Teatralnym, na czym zależy władzom miasta. Dodam, że przez cały czas trwania prac budowlanych Grób Nieznanego Żołnierza – narodowe sacrum, miejsce święte dla Polaków – będzie dostępny. Tak by mogły się tam odbywać uroczystości państwowe.

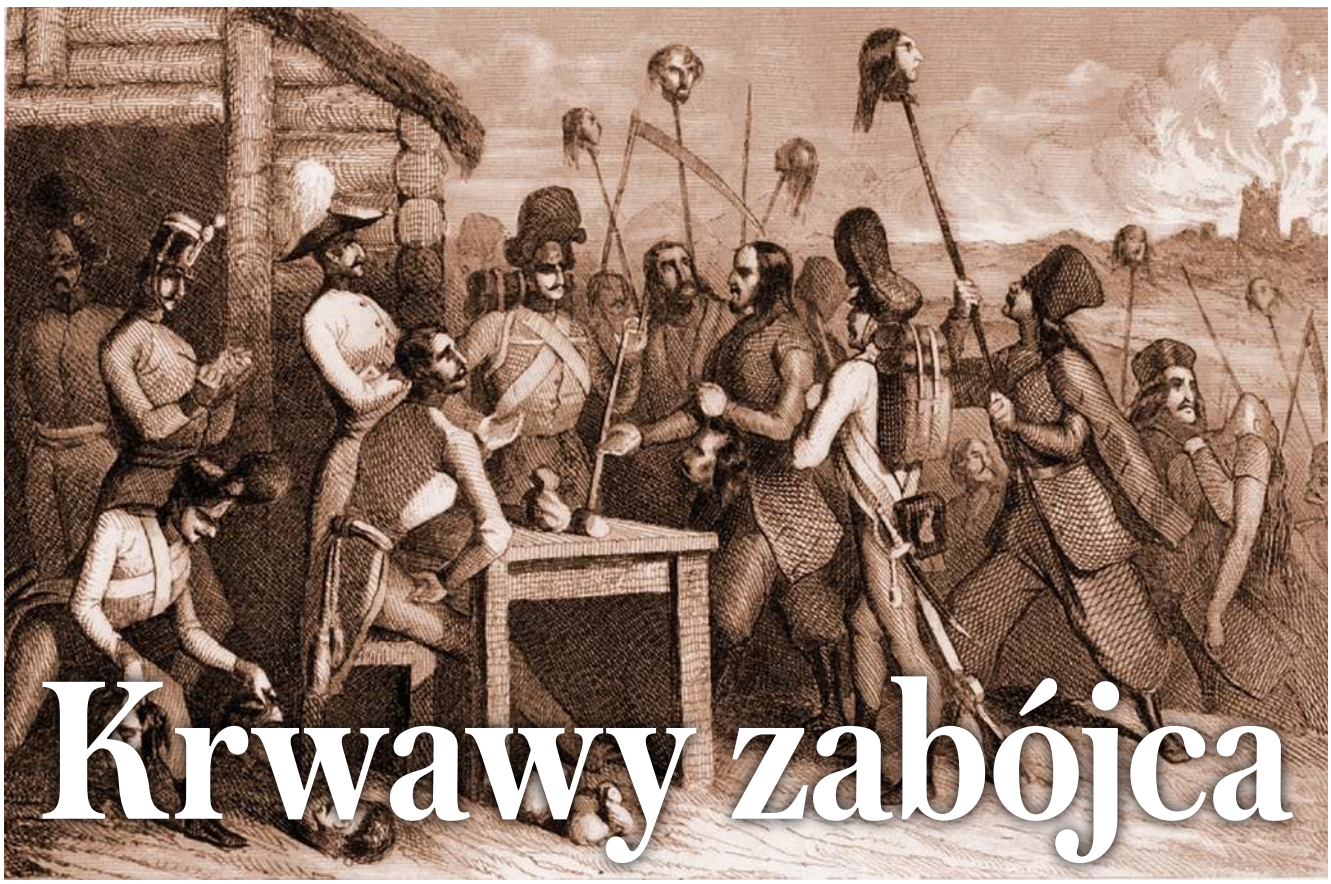
Czy możliwe jest ponowne przeniesienie pomnika ks. Józefa Poniatowskiego, który dziś stoi przed Pałacem Prezydenckim, a przed wojną stał na dziedzińcu Pałacu Saskiego?

Sądzę, że nie. Ustawa zabezpiecza nienaruszalność Grobu Nieznanego Żołnierza, krzyża papieskiego, pomników Józefa Piłsudskiego i Lecha Kaczyńskiego oraz pomnika Ofiar Katastrofy Smoleńskiej.

Pan był marszałkiem Senatu. W przyszłości Senat ma się przenieść do Pałacu Brühla. Nie lepiej być blisko Sejmu, głównego ośrodka władzy?

Dziś Senat ma bardzo złe warunki lokalowe, a wszystkie pomieszczenia należą do Kancelarii Sejmu. To taka „przylepka" Sejmu. Właściwie wszyscy byli marszałkowie szukali pomysłu, co z tym zrobić. Rozbudowa budynków przy ul. Wiejskiej nie wchodzi w rachubę. A czy Senat powinien być blisko Sejmu? Sądzę, że to mu raczej szkodzi. Z mojego doświadczenia i intuicji wynika, że pewne oddalenie służyłoby spokojniejszej zadumie i refleksji nad sprawami państwa.

eprasa.pl 3c57561b6e



Fot. Ilustrowane Kuryer Codzienny

Krwawy zabójca – nowy idol III RP

Obrzydzanie polskości zaczynało się od atakowania warstwy szlacheckiej. Komuniści próbowali podmienić mit szlachty na mit zdrowego chłopstwa. Co jednak kryje się za fascynacją elit III RP przywódcą jednego z najbrutalniejszych epizodów w polskiej historii – Jakubem Szelą? Dlaczego galicyjska rabacja staje się mitem założycielskim nowej polskości?



JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Podczas zeszłorocznych wyborów prezydenckich furorę w liberalnej części społeczeństwa zrobił spot wyborczy „Gniew młodych”. Miał być to jedynie spot profrekwencyjny, ale jego wymowa była jednoznacznie antypisowska, skoro potępiała rzekomą homofobię, sugerowała, że władza promuje nienawiść i ignorancję, że niszczy planetę (klimat). Prawie wszystkie wypowiedzi zawierały wulgaryzmy, wyrzuty, roszczenia. Kolejne młode twarze układały litanię pogardy. „O moim życiu zdecydują ludzie, których za kilka lat tu nie będzie, a ja zostanę z tym całym g...wnem, z tą Polską ch...jową, nadającą się tylko do tego, żeby z niej spi...rdalać” – słuchamy tyrady w oficjalnym spocie profrekwencyjnym wyprodukowanym przez organizacje pozarządowe.

eprasa.pl 3c57561b6e

Problem nie polega na przekleństwach czy na kilku deprecjonujących Polskę frazach – ale na rozbudowywanej machinie wymazywania Polski ze społecznej tożsamości. Nieprzypadkowo młodzi ludzie podczas protestów Strajku Kobiet wypowiadali się dla mediów, że są np. „przeciwko niepodległości Polski". Nieprzypadkowo idole młodzieży tak często odcinają się od Polski, a w najpopularniejszych wśród młodzieży mediach społecznościowych – TikToku – entuzjazm wzbudzają użytkownicy budujący obraz naszego kraju jako totalnie beznadziejnego. Można powiedzieć, że w duszach poważnej części Polaków pobrzmiewa motto Donalda Tuska, że „polskość to nienormalność". Elity III RP w bardzo konkretny sposób budują ten fałszywy obraz obrzydliwej Rzeczypospolitej.

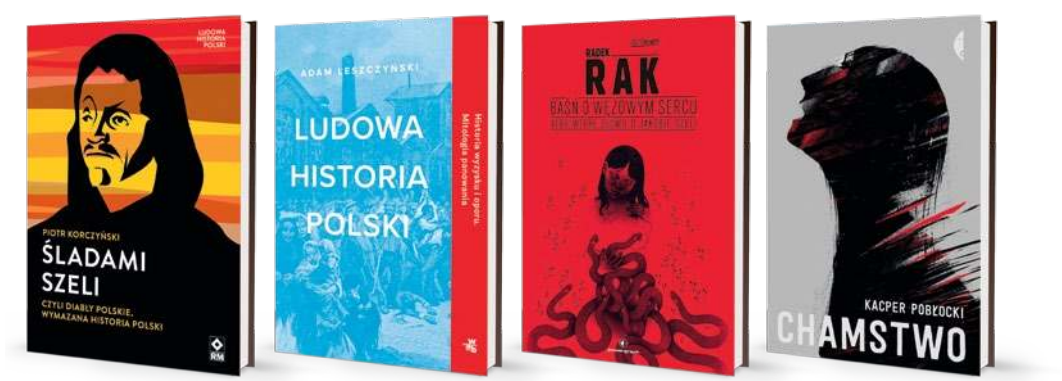
KRWAWE CHAMSTWO NA OŁTARZE

Literaci i intelektualiści, politycy i wielu innych przedstawicieli inteligencji proponują w swojej aktywności ucieczkę od polskości. Taką tezę postawił prof. Andrzej Nowak w wywiadzie dla tygodnika „Sieci". „Jeżeli udowodnimy, że istotą polskości jest chamstwo, wcale nie wyzwoleńcze, tylko brudne, śmierdzące, to uda się przyspieszyć proces rozstawania się z polskością" – tłumaczył historyk. Na fundamencie tego spostrzeżenia warto zbudować kolejne obserwacje, bo właśnie oto w salonowej kulturze nadeszła fascynacja najbardziej prymitywnymi aspektami polskości – rabacją, marginesem społecznym, patologiami.

Do rangi narodzin narodu polskiego urasta rabacja galicyjska – chłopski zryw z 1846 r., sprowokowany przez cesarskich urzędników, który obrócił się przeciwko polskiej szlachcie i przeciwko powstaniu krakowskiemu. Tylko w ciągu dwóch lat na rynku wydawniczym ukazały się cztery książki pełne fascynacji przywódcą barbarzyńskiego powstania – Jakubem Szelą. Ten chłopski lider posłużył Austriakom do zorganizowania wiejskiej rewolty, która okrutnie rozprawiała się z ziemianami, a tak krwawe sceny znęcania się i torturowania szlachty powtórzyły się dopiero podczas rzezi wołyńskiej 1943 r. Dlaczego Szela miałby być bohaterem? W PRL przedstawiano go jako wyraziciela walki klasowej, który przeciwstawiał się wyzyskowi. Dla współczesnych autorów fascynacja chłopem ze Smarzowej związana jest także z pewnym rodzajem jego okrucieństwa i zdegenerowania.

Jednym z inspiratorów tych zachwytów jest prof. Adam Leszczyński, historyk i publicysta „Gazety Wyborczej". To jego książka „Ludowa historia Polski" stwarza konkretne zachęty do badania, już nawet nie tyle niższych stanów społecznych, ile raczej ich permanentnej niedoli. Rzecz jasna chłopstwo nie miało lekkiego życia w Rzeczpospolitej, ale autorzy spod znaku „Gazety Wyborczej" nie wpisują tego w kontekst europejskich realiów tamtych czasów, z lektury ich prac można odnieść wrażenie, że Polska była jakimś haniebnym wyjątkiem. Nie przeczytamy tam o masakrach wojny chłopskiej w Niemczech (1524–1526), nie przeczytamy o pańszczyźnie, która obejmowała pół Europy, nie zapoznamy się z fanatycznym okrucieństwem wobec żołnierzy pruskiej armii ani o rosyjskiej służbie wojskowej, która trwała ćwierć wieku (!) i robiła z człowieka życiowy wrak. Z takich lektur można odnieść wrażenie, że to Polska była jakoś szczególnie okrutna – w niepamięć idą opisy z książki Janusza Tazbira o okrucieństwie w nowożytnej Europie z obrazowymi opisami np. młodego króla Ludwika XIV, który w dzieciństwie bawił się w podpalanie kociąt zamkniętych w wiklinowym koszu. Nie – autorzy te przejawy brutalnej wyższości jednych nad drugimi widzą tylko nad Wisłą. To tutaj ma być najbardziej obrzydliwie. Leszczyński w zachwycie nad Szelą jako ofiarą pańszczyzny przytacza źródła, w których okrutnik Szela występuje wręcz jako filozof: „Gdy mordował i pastwił się nad swojemi ofiarami, wtedy jeszcze występował jako moralista i mściciel".

Przywódca rabacji jest także ikoną książki Piotra Korczyńskiego „Śladami Szeli, czyli diabły polskie". Autor swobodnie wędruje po historii Polski, zwłaszcza XIX-wiecznej, łącząc jej wydarzenia ze swoimi osobistymi poglądami – np. gdy młody szlachcic Jakub mści się na zdrajcach ojczyzny, autor przyrównuje jego „szaleństwo" do walki... żołnierzy wyklętych. Historyk wybrał sobie za temat akurat te mroczniejsze epizody z polskich dziejów, ale drwiąco odwołując się do mitów narodowych czy kreując się na sprawiedliwego dziejopisa, który nie ulega lukrowanej wersji polskiej przeszłości. Cały stan polskości przedstawia jako panoramę zjaw, odciętych głów i ciemnych chłopów – objawiających się nawet w działaczach Solidarności, którzy w latach 80. mają wierzyć, że huba na drzewie przybrała twarz Jezusa i zniszczyła wóz milicyjny. „Polskość to nienormalność" – unosi się nad tymi dziełami przesłanie Donalda Tuska.



Również książka Kacpra Pobłockiego „Chamstwo" przedstawia Rzeczpospolitą jako kraj, w którym szlacheccy sadyści znęcają się nad zdegenerowanymi chłopami. Panowie chłopów wyzyskują, biją, właściwie to okradają,

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 3c57561b6e

rozpijają, chłopki uwodzą, gwałcą – ciemiężony lud nie jest tu jednak z wydania peerelowskiego. Czasy bierutowsko-gomułkowskie rysowały obraz „klasy chłopskiej” jako zdrowego trzonu narodowego przeciwko zepsutej szlachcie. U autorów roku 2021 szlachta jest nadal obrzydliwa, ale chłopi nie są już szlachetną nadzieją, ale równie obrzydliwą grupą społeczną. I znów razi ten brak kontekstu – autorzy zapominają zarówno o tym, że szlachta i arystokracja, brutalna i bezwzględna, istniała na dworach królów francuskich, w kortezach hiszpańskich, u południowoamerykańskich Kreoli, u niemieckich książątek, którzy siłą nawracali poddanych, gdy im się zachciało zmienić wyznanie, u monarchów szwedzkich goniących mężczyzn na kraje Europy w imię ekspansyjnych planów. Z tez i przekonań autorów wynika, że tylko ta polskość miała cechy zacofania, niewoli, pogardy.

Autorzy bagatelizują też cywilizacyjne zasługi szlacheckie, jakby nie rozumieli znaczenia prób znoszenia pańszczyzny przez np. Andrzeja Zamoyskiego (już w XVIII w.), kresowego ziemiaństwa sprowadzającego nowe technologie rolnicze na prowincje, o edukowaniu chłopów i włączania ich do wspólnoty narodowej przez katolickie pielgrzymki, sanktuaria, lektury (Sienkiewicz!). Jako lewicowcy ci historycy nie przyznają się do tego, że nacjonalista Dmowski cenił chłopstwo bardziej niż szlachtę, że na wsi widział potencjał odrodzenia narodowego, a także, że szlachta chłopów inspirowała, od wzorców kulturalnych i moralnych aż po stroje – że wiejska sukmana była uboższą wersję kontusza. W wizji Leszczyńskich, Pobłockich, Korczyńskich nienawiść i pogarda są tak wyssane z mlekiem matki jak u Grossa czy Grabowskiego antysemityzm.

Kolejnym dowodem budowania Jakuba Szeli jako ikony polskości – obrzydliwej, pogardliwej, barbarzyńskiej – jest ostatnia Nagroda Nike. „Baśń o wężowym sercu albo wtóre słowo o Jakóbie Szeli” Radosława Raka do obrazu chłopstwa dodaje cały zestaw fantastycznych i mrocznych postaci. Taka pojedyncza książka mogłaby pozostać tematem do omówienia jako ciekawy przypadek łączenia literatury historycznej z fantastyką – jako że ostatnie lata przynoszą szelomanię, kult rabacji i „chamstwa” wśród elit, można się spodziewać, że taki wizerunek spłynie wkrótce do wiecznie napompowanych pogardą dla polskości odbiorców lewicowo-liberalnych treści. Lewicowa aktywistka Hanna Zygulska już składała czytelnikom swoich mediów społecznościowych życzenia z okazji „rabacji”. Podkreślmy – życzenia z okazji rzezi szlachty. Wyobrażacie sobie państwo, jakie byłyby reakcje, gdyby ktoś składał życzenia z okazji pogromu Żydów czy podpalenia zboru protestanckiego w studenckiej bójce z XVII w.? Ale przecież Polaków wolno ośmieszać, zohydzać, nawet wybijać i torturować, a takie wydarzenia upamiętniać i z ich powodu składać sobie życzenia.

Lewicowa aktywistka Hanna Zygulska już składała czytelnikom swoich mediów społecznościowych życzenia z okazji „rabacji”. Podkreślmy – życzenia z okazji rzezi szlachty


Jakub Szela

ZOHYDZANIE POLSKOŚCI

Autorzy prac na temat niższych klas społecznych popełniają jeszcze jeden błąd – opisując XIX-wiecznych Polaków, zupełnie pomijają to, że Polska przecież nie istniała. Późne zniesienie pańszczyzny w Austrii i jeszcze późniejsze w Rosji odbywało się przy pielęgnowaniu przez zaborców wszystkich patologicznych relacji społecznych. Nie wiemy, jak postępowałoby państwo polskie, które od Konstytucji 3 maja zaczęło już – także stanową – modernizację. Z jednej strony „Wyborcza” zachwala wiek XIX jako modernizację naszych ziem przez oświeconych sąsiadów, z drugiej – wszystko, co złe, przypisuje zniewolonym przecież Polakom. Historycy salonu pretensjonalnie twierdzą, że walczą z mitami, z upiększoną historią Polski, która ma być rzekomo formułowana przez prawicowych historyków. Tylko że i to jest nieprawdą. Dawni autorzy rozliczali ustrój szlachecki, rozbiory, słabości Rzeczypospolitej, współcześni piszą o kolejnych błędach narodowych dziejów („Dzieje Polski” Andrzeja Nowaka zawierają i wielkie chwile historii, i np. szlacheckie nadużycia). Istnieją i prawicowi autorzy, tacy jak Ziemkiewicz czy Zychowicz, którzy wyciągają z naszej przeszłości kolejne – prawdziwe bądź nie – grzechy. Lewica walczy więc z propagandystami wyobrażonymi, z historykami, których nie ma. Jest za to pławienie się we wszystkich najgorszych epizodach historii, jest próba odmalowania Polaków tak, by budzili autentyczny wstręt.

Fot. Polonia.pl

Reklama | 36/0721/F

eprasa.pl 3c57561b6e

WIELKIE CHWILE, WSPÓLNE EMOCJE



TOTALIZATOR SPORTOWY

NAJWIĘKSZY MECENAS SPORTU I KULTURY

#WielkieChwile

LOTTO POLSKA
SPONSOR GENERALNY

TOTALIZATOR SPORTOWY

65 LAT TOTALIZATORA SPORTOWEGO

eprasa.pl 3c57561b6e



Prezydentura to wielka samotność

To miał być wywiad wspomnieniowy, spotkaliśmy się bowiem na wieczorze autorskim Marcina Wikły dotyczącym książki „Operacja Duda 2020. Tajemnice kampanii". Dokładnie rok po drugiej turze wyborów prezydenckich i wyczerpującej drodze do reelekcji, która naznaczona była wieloma politycznymi meandrami, wróciły wspomnienia tego trudnego czasu. Rozmowa z gościem honorowym, prezydentem Andrzejem Dudą, przerodziła się w szczerą opowieść nie tylko o przygodach z kampanijnego szlaku i wątpliwościach dotyczących przełożenia wyborów korespondencyjnych 10 maja. Była mowa także o samotności w polityce, wsparciu rodziny, przyczynach milczenia pierwszej damy i sile modlitwy, która pomaga przetrwać najtrudniejsze kryzysy

eprasa.pl 3c57561b6e

Z prezydentem RP Andrzejem Dudą rozmawiają Marzena Nykiel, redaktor naczelna portalu wPolityce.pl, Jacek Karnowski, redaktor naczelny tygodnika „Sieci”, i Krzysztof Skowroński, prezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich

Jak pan ocenia książkę „Operacja Duda 2020. Tajemnice kampanii”?

Andrzej Duda: W sferze faktów, wydarzeń i ich przebiegu ta książka jest absolutnie stuprocentowo prawdziwa. Jeżeli mogę mieć w niektórych momentach inny punkt widzenia, to nie wobec faktów, ale raczej ich rozumienia, interpretacji. Mam po prostu inną wiedzę niż pan redaktor.

Jak doszło do tego, że dziennikarz znalazł się tak blisko zaplecza tej kampanii?

To była moja decyzja, ale zaznaczam, że nie była ona łatwa. Dudabus to jest bardzo specyficzne miejsce. To jest kampania, tam są łzy, tam jest krzyk, czasem lament, bardzo często pretensje, wściekłość, żal. Różne rzeczy, które dzieją się na zapleczu bardzo poważnych wydarzeń i są związane z ogromnymi emocjami. Ludzie są w emocjach, mówią sobie nieraz bardzo przykre rzeczy. I robi się tak, by dziennikarze absolutnie takich rzeczy nie widzieli. Nie znałem dobrze pana redaktora, ale czytałem to, co napisał, i nie ukrywam, że miałem zaufanie do redakcji. Stwierdziłem więc ryzyk-fizyk, niech ktoś, kto zna się na sztuce dziennikarskiej, zobaczy, jak naprawdę to wygląda. Że to nie jest pudrowane, zbytnio eleganckie. Kampania ma swoją specyfikę i w tej książce jest ona oddana świetnie. W efekcie przyniosło mi to więc naprawdę dużą satysfakcję.

Mówi pan o specyfice kampanii, to był rzeczywiście czas nasycony emocjami. Czy to była najtrudniejsza kampania, w której pan uczestniczył?

Może państwa zaskoczę, ale nie. Była rzeczywiście bardzo trudna, trudniejsza od tej w 2015 r., ale dla mnie najtrudniejszą kampanią, w jakiej brałem udział, były wybory do europarlamentu w 2014 r. Dlatego, że miałem wówczas na swoich barkach odpowiedzialność za całość kampanii i za wynik całej formacji politycznej. Nigdy wcześniej się tym nie zajmowałem. Wtedy nauczyłem się jednego, że kampania wymaga nieprawdopodobnej odporności psychicznej. Że trzeba trzymać nerwy na wodzy i absolutnie nie dać się sprowokować. Dlatego później było mi znacznie łatwiej. Ktoś inny zastanawiał się nad strategią, a ja się mogłem skupić na tym, co w pewnym sensie jest moim żywiołem. Czyli na spotkaniach z ludźmi. I na rozmowach. Bo ja lubię ludzi i lubię drogę. Bycie więc w dudabusie i spotkania z Polakami sprawiały mi przyjemność.

> Dla mnie byłoby pewnie lepiej, gdyby żona udzieliła jakiegoś ładnego, ciepłego wywiadu dla jakiejś sympatycznej gazety i ludzie zobaczyliby, jaką ten Duda ma fajną żonę. Ale nie chcę mojej żony narażać na żadne przykre odczucia, bo nie jest osobą zaangażowaną w politykę. Nie i koniec

Który moment była dla pana najtrudniejszy?

Trudnością tej ostatniej kampanii było to, że tych spotkań było tak mało. Przez to, że pełniłem urząd prezydenta i ze względu na kwestie mojej ochrony, liczba spotkań była znacznie ograniczona. Nie można było, jak pięć lat wcześniej, być na ośmiu, dziewięciu wiecach dziennie. Ale najtrudniejszy był moment, gdy ważyła się kwestia wyborów 10 maja. Bardzo trudno było przewidzieć, co będzie w ogóle, zbliżała się pandemia, zbyt wiele było zmiennych i niewiadomych, by być spokojnym. Obawa była ogromna.

Doszło wówczas do pęknięcia w Zjednoczonej Prawicy, która nie w całości była za tym, by te wybory odbyły 10 maja. Jak pan odbierał wówczas i jak odbiera dziś tę sytuację?

Wciąż z dezaprobatą słucham dyskusji na temat decyzji, by jednak przygotowywać te wybory na 10 maja w formie wyłącznie korespondencyjnej. Żeby była pełna jasność, ja koniec końców byłem przeciwnikiem wyborów korespondencyjnych. Nie chciałem ich, bo wszystko wskazywało, że – po pierwsze – będzie bardzo niska frekwencja, że zostaną po prostu zbojkotowane. A po drugie – że będą to wybory wyszydzone i przede wszystkim może nie będą mogły być uznane za ważne. W takich wyborach nie chciałem wziąć udziału, z żadnym wynikiem. Nie chciałem wygrać przy 15-procentowej frekwencji. Uważałem, że swoją pracą i służbą w pierwszej kadencji nie zasłużyłem sobie, by mieć taką drugą. Szczerze mówiąc, wolałem jej nie mieć i pozostać przy satysfakcji z tego, co zdziałałem dla Polski przez pięć lat.

Jak przebiegały polityczne negocjacje w tym czasie?

Pamiętam bardzo dobrze taką długą rozmowę, którą przeprowadziłem w pewien sobotni poranek z Jadwigą Emilewicz i Jarosławem Gowinem. Według mnie miała ona zasadniczy wpływ na dalsze wydarzenia, choć wcześniej o niej nie mówiłem i nie wiedział o niej nikt poza jej uczestnikami. To było, zanim jeszcze zapadły decyzje w obrębie Zjednoczonej Prawicy, co dalej z tym robić. Zgodziliśmy się wówczas, że w tej formule wyborów 10 maja być nie może. Ale powiedziałem również twardo, że muszą się one odbyć w takim terminie, by prezydent mógł być zaprzysiężony 6 sierpnia, gdy upływała moja kadencja. To była dla

Fot. Jakub Szymczuk/KPRP

eprasa.pl 3c57561b6e

mnie sprawa fundamentalna konstytucyjnie. Żeby państwo w tej głęboko nienormalnej sytuacji funkcjonowało od tej strony normalnie.

Czy rozmawiał pan o tym z prezesem Jarosławem Kaczyńskim?

Jarosław Gowin powiedział, że ma upoważnienie do tej rozmowy od przywódców całej koalicji rządzącej. Chciał rozmawiać oczywiście ze swojego punktu widzenia, ale jasno dał do zrozumienia, że treść naszych ustaleń zostanie natychmiast przekazana na spotkaniu szefów partii.

Książka „Operacja Duda 2020. Tajemnice kampanii", choć przecież znamy przebieg wydarzeń, rozwija się jak historia sensacyjna. Pełno zwrotów akcji i emocji, także politycznych, ale przede wszystkim bardzo ludzkich. Czy miał pan poczucie, że na tym kampanijnym szlaku walczy pan o osobisty los, że decyduje się pana przyszłość i to jak zostanie pan zapamiętany przez historię?

To jest oczywiste, że człowiek na wszystko, nawet w kampanii wyborczej, patrzy ze swojego, trochę ambicjonalnego punktu widzenia. Jestem jak każdy z państwa, mam swoje odczucia, cele, poglądy. W ubiegłym roku miałem 48 lat, to młody wiek jak na polityka i prezydenta. Przegrać w takim wieku, to... nie jest miłe. W ogóle porażka nie jest miła. Dlatego z pewną wyrozumiałością patrzę na prezydentów, którym reelekcja się nie udała.

Poza Aleksandrem Kwaśniewskim, który reelekcję uzyskał już w pierwszej turze, i przy zwycięstwie Lecha Wałęsy nad Stanisławem Tymińskim wybory prezydenckie zazwyczaj rozstrzygały się małą różnicą. Był pan na to przygotowany, że w 2020 r. też tak będzie?

Byliśmy na to przygotowani. Mówię w liczbie mnogiej, bo prawda jest taka, że nikt wyborów sam nie wygrywa. Miałem swój sztab i doradców i jeden z nich od początku mi mówił, że wygram te wybory po bardzo ciężkiej pracy i dużym wysiłku o włos. Bo taka jest w tej chwili Polska, tak jest podzielona. Problem polegał na tym, że mój elektorat nie był początkowo zmobilizowany, a elektorat przeciwnika był bardzo nastawiony na to, by prezydenturę mi odebrać. Kwestią zasadniczą była mobilizacja moich wyborców, co miało dać nieznaczną, ale jednak przewagę. Pracowałem w tej kampanii z takim założeniem i z dużą rezerwą podchodziłem do sondaży, które dawały mi zwycięstwo w pierwszej turze. Nie można było dać się zwieść suflowanym przez niektóre media kłamstwom, że nie ma co iść na wybory, bo Duda i tak je wygra.

> Co kogo obchodzi to, że prezydent siedzi za biurkiem godzinami, że ma mnóstwo dokumentów do przeczytania i decyzji do podjęcia. Codzienne konsultacje i narady nie trafiają na czołówki gazet. Wtedy pojawiają się czasem głosy, że prezydent nic nie robi. Robi, ale tego po prostu nie widać

Wygrał pan różnicą 422 tys. głosów. To dużo, ale i niedużo.

Mówiło się o „niewielkiej różnicy". Rzeczywiście, przy skali ponad 10 mln głosów to niewiele. Ale musimy sobie uświadomić, że tyle mniej więcej wynosi populacja Szczecina, sporego polskiego miasta. A poza tym głosy o nieprzekonującym zwycięstwie, bo i takie się pojawiały, wypowiadali chyba ludzie, którzy nie rozumieją, że to jest demokracja i tutaj wystarczyłby jeden głos przewagi. Jeden.

W książce zwraca uwagę opis samotności pana prezydenta, mimo bycia wśród bardzo wielu osób. Jak pan sobie radził w takich momentach?

Mój kolega, przyjaciel prezydenta Lecha Kaczyńskiego, pan minister Maciej Łopiński na samym początku, gdy obejmowałem urząd po zwycięstwie w 2015 r., powiedział do mnie, że prezydentura to wielka samotność. Możesz mieć ministrów, doradców, wszystkich dookoła, ale na samym końcu zostajesz sam w gabinecie. Masz przed sobą dokumenty i musisz podjąć decyzję. Pamiętaj, że na ustawach figuruje tylko jeden podpis. Tylko jedno nazwisko. Prezydenta. I te decyzje często nie są łatwe. Ale powiem państwu, bardzo szczerze, że mam ogromne oparcie w moich najbliższych. W mojej żonie Agacie, w córce Kindze, ogromne oparcie także w moich rodzicach. Ja się z nimi oczywiście nie dzielę tego typu problemami, bo nimi nikt nie powinien być obarczany, ale oni po prostu są ze mną. A poza tym, jestem człowiekiem, który się modli. Ktoś może się z tego śmiać, ale to jest jego problem. Po prostu się modlę. Nasz Ojciec Święty Jan Paweł II mówił podobno: „Ja się modlę i się nie przejmuję". Chciałbym tak samo. Wtedy łatwiej przychodzi myśl, że dam sobie radę. I, jak państwo widzicie, daję sobie radę. Choć czasem są trudne momenty, bardzo trudne, ale wierzę, że jakaś opieka Opatrzności jest nad tym, co ja robię. To jest dla mnie bardzo ważne i daje bardzo dużo siły.

Rozmawiamy dokładnie rok po dniu, w którym rozegrała się druga tura wyborów. Wtedy też podczas wieczoru wyborczego w amfiteatrze w Pułtusku wysłuchaliśmy bardzo dosadnego, szczególnie wobec mediów, przemówienia pańskiej żony, pierwszej damy. Co pan wówczas czuł?

Czułem, że dla mojej żony to nie było łatwe. To była jej absolutnie świadoma decyzja, od momentu gdy została pierwszą damą, że nie będzie udzielała żadnych wywiadów ani wypowiedzi medialnych poza oficjalnymi wystąpieniami w ramach swoich obowiązków. Rozmawialiśmy o tym niejednokrotnie, jej stanowisko było nieprzejednane, ale dla mnie zrozumiałe. Powiedziała mi: stopień manipulacji jest tak ogromny, że się na to po prostu nie godzę i nie będę w tym

eprasa.pl 3c57561b6e

brała udziału. Dla mnie byłoby pewnie lepiej, gdyby żona udzieliła jakiegoś ładnego, ciepłego wywiadu dla jakiejś sympatycznej gazety i ludzie zobaczyliby, jaką ten Duda ma fajną żonę. Ale nie chcę mojej żony narażać na żadne przykre odczucia, bo nie jest osobą zaangażowaną w politykę. Widzę, jak manipuluje się moimi wypowiedziami, nie mam wątpliwości, że z jej słowami zrobiono by to samo. Agata wiedząc także, co wcześniej robiono z prezydentem Lechem Kaczyńskim i panią Marią Kaczyńską, stwierdziła, że się na to nie pisze. Nie i koniec. Podczas tego wieczoru wyborczego wyraziła na ten temat swoje zdanie i myślę, że będzie swoją decyzję podtrzymywała.

Panie prezydencie, za panem dopiero pierwszy rok drugiej kadencji, czy myśli pan już o tym, co będzie pan robił po prezydenturze?

Nie zaprzątam sobie tym głowy. Z prostego powodu, mam obawę, że mogłoby to mnie rozpraszać i zaszkodzić mojej służbie prezydenckiej. Człowiek jest tylko człowiekiem, niekoniecznie trzeba się poddawać wszystkim próbom. Robię to, co do mnie teraz należy. A co będzie potem, będziemy się martwić, gdy przyjdzie ten moment. Swoją drugą kadencję chciałbym zakończyć z podniesioną głową. I nawet nie chodzi o to, by różni ludzie na mnie nie krzyczeli ani nie obsypywali wyzwiskami, dzięki czemu zyskują medialny poklask. Takie rzeczy się dzieją, trudno. Ale dla mnie najważniejsze jest to, co czuję. Czy dobrze realizuję swoje zadanie. Mam poczucie, że tak. W zamknięciu pandemicznym miałem duży problem, bo specyfika funkcji prezydenckiej jest taka, że widać ją, gdy dzieją się wydarzenia na zewnątrz, międzynarodowo czy krajowo. Gdy nie ma relacji z uroczystości, spotkań na różnych szczeblach, wzajemnych wizyt prezydentów, to moja funkcja jest mało frapująca i mało kto się nią interesuje. Co kogo obchodzi to, że prezydent siedzi za biurkiem godzinami, że ma mnóstwo dokumentów do przeczytania i decyzji do podjęcia. Codzienne konsultacje i narady nie trafiają na czołówki gazet. Wtedy pojawiają się głosy, że prezydent nic nie robi. Robi,



Wieczór autorski Marcina Wikły prowadził Krzysztof Ziemiec

Fot. PAP/Andrzej Lange

ale tego po prostu nie widać. Szczególnie w czasie pandemii zrobiliśmy wiele dobrego i mam wrażenie, że to był dobrze przepracowany czas. To jest moja codzienność. A co będzie potem? Mam wyższe wykształcenie, nawet doktorat, wiele rzeczy w życiu robiłem. Jestem zdrowy, mam dwie ręce. Poradzę sobie.

> Jestem człowiekiem, który się modli. Ktoś może się z tego śmiać, ale to jest jego problem. Po prostu się modlę. To jest dla mnie bardzo ważne i daje bardzo dużo siły

Ale jest jeszcze problem uzależnienia od polityki.

To prawda, tym się trochę martwię. Co będzie, Andrzeju, kiedy przyjdzie ten dzień, gdy kompletnie nikt nie będzie się tobą interesował? Nikt nie będzie pytał, co ty o czymś sądzisz, bo nie będzie to miało żadnego znaczenia. Trzeba się na to przygotowywać, by nie oddalić się od rzeczywistości. W latach 2006–2007 byłem wiceministrem sprawiedliwości, miałem wtedy 34–35 lat. Może wynagrodzenie nie było wysokie, więcej zarabiałem wcześniej jako prawnik, ale był splendor sprawowanej funkcji. Robiłem rzeczy, które uważałem za ważne, adrenalina, ciągle coś się działo. No i miałem te wszystkie dodatkowe elementy związane ze służbą ministerialną, m.in. samochód z kierowcą, który dowoził mnie z Dworca Centralnego, gdy przyjeżdżałem do pracy do Warszawy z Krakowa. Gdy zostałem po wyborach zdymisjonowany, to jeszcze przez jakiś czas przyjeżdżałem, by zakończyć sprawy formalne. I miałem taki moment, gdy staję przed dworcem i rozglądam się, gdzie jest mój samochód?! A tu nie ma. Pomyślałem sobie: O, Andrzej! Taki młody człowiek, tak krótko pełniłeś tę funkcję i już masz takie wielkopańskie nawyki? Ukarałem się wtedy i poszedłem do ministerstwa na piechotę. By wyplenić z siebie takie poczucie ważności, któremu w różnym stopniu, ale ulega chyba każdy człowiek, który pełnił jakąś funkcję. Na swoją obronę powiem jednak, że skoro mam tego świadomość, to może nie jest ze mną jeszcze tak źle. [śmiech]

Cała rozmowa na kanale YouTube/TelewizjawPolsce

eprasa.pl 3c57561b6e

Polacy na genetycznym archipelagu

Genetyczny portret Polaków – jak określają go członkowie zespołu realizującego projekt Nasze Genomy – został sporządzony. Czy teraz wiemy już o sobie wszystko?





PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Podczas realizacji programu Nasze Genomy, największych dotychczas tego typu badań w Polsce, zespół naukowców przebadał genomy, czyli materiał genetyczny czy też zestaw genów, ponad tysiąca osób w wieku od 2 do 98 lat, tworząc – jak to określono – „genetyczny portret Polaków". Niemal 90 proc. badanych osób nie było spokrewnionych z innymi uczestnikami projektu, co podnosi wiarygodność wyników.

Rezultaty potwierdziły wcześniejsze ustalenia, na przykład, że jesteśmy grupą jednorodną, z zaznaczoną odrębnością. Mamy przy tym wiele podobieństw z resztą Europejczyków, chociażby to, że ponad 40 proc. Polaków pochodzi z najczęstszej na naszym kontynencie żeńskiej linii genetycznej H. Ustalanie linii genetycznych opiera się na badaniach DNA zawartego w mitochondriach komórek. Jest ono przekazywane przez kobiety, a ponieważ wykazuje bardzo małą zmienność w czasie, umożliwia cofnięcie się do pokoleń, które żyły dziesiątki tysięcy lat temu. Innymi słowy, nasze mitochondrialne DNA nie różni się od tego, jakie znajdowało się w mitochondriach komórek kobiet, od których pochodzimy, a które żyły długo przed tym, zanim miało się skończyć zlodowacenie.

Siedem europejskich żeńskich linii genetycznych, jakie zostały wyróżnione już we wcześniejszych badaniach, określono obrazowo jako „pramatki Europy" i obdarzono imionami. Najdawniejszą obecność najliczniejszych dziś na kontynencie przedstawicieli wspomnianej linii H, a więc potomków Heleny (jak nazwano tę pramatkę), stwierdzono na terenach dzisiejszej południowej Francji ok. 20 tys. lat temu. Pozostałe „pramatki" to Urszula (najstarsza europejska linia genetyczna, obecna była już 45 tys. lat temu na terenie Grecji, wywodzi się z niej ok. 20 proc. Polaków), a także Jaśmina (10 proc. Polaków), Tara (9 proc.) i znacznie mniej licznie reprezentowane w Polsce i Europie linie Xenia, Katarzyna i Velda.

Podczas badań ustalono też, że aż 98 proc. polskiej populacji wykazuje największe podobieństwo z subpopulacją GBR, określaną jako brytyjska, i subpopulacją CEU, obejmującą potomków Europejczyków zamieszkujących stan Utah. Z ciekawostek wiadomo też, że wśród Polaków zauważana jest zwiększona częstość występowania jasnych włosów, piegów i łysienia u mężczyzn.

SONDOWANIE OCEANU

Badania genetyczne mają w sobie coś z sondowania oceanu, w którym dotychczas nie udało się ani określić położenia dna – nie mówiąc o pobraniu z niego próbek, ani ustalić chociażby bardzo ogólnego zarysu brzegów, nie wiemy nawet, gdzie teoretycznie mogłyby się znajdować.

A może ten przestwór nie ma końca? Przecież życie, mające swój początek w Bogu, wykracza poza to, co ziemskie i ograniczone jakimiś ramami. Cóż, niezależnie od tego aspektu, nawet w sensie naukowego biologicznego poznania nic nie wskazuje, żebyśmy byli w pobliżu brzegów oceanu. Co jakiś czas jednak udaje się pobrać próbkę, zbadać ją i zrobić maleńki krok w kierunku celu, jakim jest rozszyfrowanie informacji zapisanych w genomie – przede wszystkim w genomie ludzkim.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 3c57561b6e

POTĘGA INFORMACJI

Wizja poznania informacji genetycznej człowieka i idących za tym możliwości jest nad wyraz nęcąca. Doskonalenie ludzkich umiejętności na niemożliwą dotychczas skalę i wznoszenie naszych zdolności na niewyobrażalny poziom, leczenie nieuleczalnych chorób, wobec których jesteśmy bezradni – więcej nawet – przewidywanie ich zawczasu i zapobieganie, zanim jeszcze cokolwiek się zacznie, znaczne wydłużenie długości życia, odmłodzenie, niemal nieśmiertelność – to marzenia ludzi, których na razie nie można kupić za największy majątek. Na razie.

A wszystko zależne od bardzo prostego czynnika, od odpowiedniego ułożenia czterech zaledwie zasad azotowych: adeniny, tyminy, guaniny i cytozyny. Zasady azotowe łączą się w pary według jednej prostej reguły: adenina z tyminą, a guanina z cytozyną (tak wygląda to w DNA, w RNA zamiast tyminy jest uracyl).

Bardzo proste – bo tak w uproszczeniu próbujemy to sobie przedstawić. Kwas dezoksyrybonukleinowy, DNA, będący w swojej istocie kompletną informacją genetyczną (RNA jest jakby praktyczną instrukcją do realizowania zapisów DNA, to DNA kieruje syntezą RNA i za jego pomocą kieruje syntezą białek organizmów), zawiera 3 mld par zbudowanych z wymienionych czterech rodzajów zasad azotowych. 3 mld to dużo, jednak w samej liczbie kryje się zaledwie ułamek potęgi zapisu informacji genetycznej, która decyduje o tym, czy mamy do czynienia z geniuszem, z artystą, z człowiekiem skazanym na nieuleczalną chorobę, która ujawni się w dokładnie określonych okolicznościach i czasie, czy też z kimś o żelaznym zdrowiu, z osobą z zamiłowaniem do podróży lub do widoku zieleni, z kimś dobrze trawiącym tłuszcze lub preferującym dietę opartą na cukrach, informacji sprawiającej, że możemy oddychać, wykorzystując do tego tlen, że narządy zmysłów przekazują bodźce do mózgu, który wysyła polecenia do organów, że rozwijamy się z połączenia dwóch komórek i następnie możemy przekazać kolejnemu pokoleniu nie tylko taki sam plan budowy i zasady funkcjonowania, ale także wiele bardzo indywidualnych cech.

Gigantyczna liczba par zasad, choć robi wrażenie, nie wystarczyłaby, żeby zapisać tak wiele informacji. Rolę odgrywają także właściwości samych zasad, a także skomplikowana, przestrzenna struktura DNA, wzajemne interakcje poszczególnych elementów itp., itd. – znamy tylko niektóre czynniki sprawiające, że liczbę 3 mld należy podnieść do potęgi, żeby zyskać wyobrażenie o potencjale DNA – niezwykłego nośnika informacji, umiejącego w dodatku samodzielnie kierować swoją replikacją. Nie znamy wykładnika tej potęgi przenoszącej pojemność informacyjną DNA poza granice wyobraźni, z pewnością jednak jest to naprawdę duża liczba. Badając genom, mierzymy się więc z rzędem wielkości, jakimi operujemy przy opisie kosmosu. W dodatku te niemal nieskończenie wielkie zbiory są wyjątkowo wrażliwe: jedna zmiana najdrobniejszego elementu może zdecydować nie tylko o wyglądzie, lecz o życiu lub śmierci.

> Podczas badań ustalono, że aż 98 proc. polskiej populacji wykazuje największe podobieństwo z subpopulacją GBR, określaną jako brytyjska, i subpopulacją CEU, obejmującą potomków Europejczyków zamieszkujących stan Utah

WYŚCIG O PRAWA DO LUDZKICH GENÓW

Informacja to władza i najcenniejszy towar. Czy może być więc coś bardziej pożądanego niż informacja genetyczna będąca zapisem zarówno historii rodzaju ludzkiego, jak i życia jako takiego w ogóle, a także zapisem tego, co czeka każdego z nas w przyszłości i jednocześnie odpowiedzią, co zrobić, by była to przyszłość idealna.

Nic więc dziwnego, że zapoczątkowane w ubiegłym wieku w USA prace nad poznaniem ludzkiego genomu, m.in. nad opracowaniem sekwencji komplementarnych par zasad, zakrojone były na wielką skalę i miały dramatyczny przebieg. W pewnym momencie zapowiadało się, że pierwsze będą nie międzynarodowe, współpracujące zespoły naukowców, ale prywatna korporacja Celera Genomics, która groziła opatentowaniem praw do odczytu ludzkiego genomu.

Ostatecznie udało się temu zapobiec i odczyt genomu homo sapiens jest własnością całej ludzkości. Należy przy tym pamiętać, że mówiąc o sekwencji genomu, cały czas mówimy o odczycie obejmującym tylko pewien aspekt tego, co określa się jako informację genetyczną. Uwzględnijmy, że poznano 99 proc. genomu i założono błąd wielkości jednej setnej procent. Niewielki, jednak w przypadku 3 mld par zasad daje to 300 tys. możliwych błędów. A pamiętajmy, jakie konsekwencje może mieć jeden jedyny błąd w zapisie genetycznym.

Nie mamy jednak innej możliwości niż stawianie kolejnych kroków, nawet jeżeli są one niewielkie. Podobnie jak wojny przyspieszają postęp w pewnych dziedzinach, tak pandemia koronawirusa przyczynia się do postępu prac nad poznaniem genomu człowieka. Projekt Nasze Genomy jest jednym z projektów, które są obecnie realizowane w różnych krajach świata. Pomagając poznać czynniki genetyczne, decydujące o odporności i przebiegu ewentualnej choroby, jednocześnie korzystają ze znacznie większej liczby danych i chętnych do udziału ludzi, niż działoby się w normalnych okolicznościach. Przy okazji badań nad koronawirusem przyspieszają więc prace nad zgłębieniem ludzkiej informacji genetycznej w ogóle, nie tylko w odniesieniu do kwestii wirusa.

Oczywiście prace podporządkowane głównemu celowi siłą rzeczy dają mniej rzetelny obraz w innym zakresie: dobór osób, które biorą udział w badaniach, dokonany przez pryzmat pandemiczny, nie musi być ani nie jest całkiem reprezentatywny dla populacji. A jednak postęp się dokonuje. Kolejne małe etapy przybliżają nas do przemierzenia oceanu. Nigdy też nie wiadomo, który z małych kroków okaże się tym milowym.

eprasa.pl 3c57561b6e



Najdziwniejszy zamach stanu

Haitańskie media poinformowały o wielkiej liczbie łusek po wystrzelonych pociskach, które zaścielały ziemię między bramą a wejściem do rezydencji prezydenta, co miałoby świadczyć o intensywnej strzelaninie. Dlaczego zatem nikt nie został ranny?



MAREK BUDZISZ

Fot. Valerie Baeriswyl / AFP / EastNews

W tej historii nic nie jest pewne, a tragedia miesza się z groteską. Zacznijmy od wersji oficjalnej. W nocy 7 lipca 2021 r. do rezydencji 53-letniego prezydenta Haiti wdarła się grupa najemników, głównie Kolumbijczyków. Jovenel Moïse został zastrzelony w swojej sypialni, a jego żona Martine odniosła rany, ale jej życiu nie zagraża niebezpieczeństwo, przewieziona została do szpitala na Florydzie. Prezydent otrzymał 12 postrzałów, głównie w korpus, ale miejscowe media informują, że był również ponoć pobity, a może nawet torturowany.

I to właściwie wszystko, co w tej sprawie można powiedzieć bez stawiania pytań, choć nawet wiarygodność autopsji jest kwestionowana. W jaki sposób zamachowcy weszli do prezydenckiej rezydencji, która znajduje się na górzystych przedmieściach stolicy Haiti Port-au-Prince? Według oficjalnej wersji sterroryzowali strażników i podali się za agentów DEA, amerykańskiej agencji walczącej z przemytem narkotyków. Już na pierwszy rzut oka wydaje się dziwne, że nikt z niemal 30-osobowego oddziału prezydenckiej ochrony, w tym znajdujące się w posiadłości psy, nie został nawet ranny, a prezydenta Moïse'a znaleziono podziurawionego kulami w sypialni w rezydencji. Godzina dotarcia

eprasa.pl 3c57561b6e



zamachowców do rezydencji też nie jest pewna. Śledczy argumentują, że do zamachu doszło około 1 w nocy miejscowego czasu, ale świadkowie, których wypowiedzi relacjonuje kolumbijski dziennik „El Tiempo", mówią, że widzieli kilka vanów z nieznajomymi mężczyznami i dają sobie rękę uciąć, że zdarzyło się to około 2.30. Lokalne media poinformowały o wielkiej liczbie łusek po wystrzelonych pociskach, które zaścielały ziemię między bramą a wejściem do rezydencji, co miałoby świadczyć o intensywnej strzelaninie. Dlaczego zatem nikt nie został ranny?

WŁADZE WSKAZUJĄ WINNYCH

Steven Benoit, haitański polityk opozycyjny, powiedział po zamachu w jednej z lokalnych rozgłośni radiowych, że „prezydenta Moïse'a zastrzelili agenci jego ochrony, a nie Kolumbijczycy". Ci ostatni pojmani przez haitańską policję argumentują, że przybyli do rezydencji po to, aby aresztować prezydenta, ale z pewnością nie zabijać go. Zdziwienie budzi też to, że najwyraźniej nie mieli oni żadnego planu awaryjnego, a nawet opracowanego scenariusza ucieczki. Jedenastu zamachowców po wykonaniu swego zadania dostało się do znajdującego się niedaleko budynku wynajmowanego przez tajwańską misję dyplomatyczną i tam zostali pojmani, pozostali zabarykadowali się w innym budynku, w którym zostali otoczeni, a kilku próbowało się ukryć na dachach sąsiednich posesji. Nie wygląda to na misternie przygotowany przez „psy wojny" plan zamachu.

Jeszcze więcej wątpliwości pojawiło się po tym, jak haitańskie władze podały, że zamach zorganizował Christian Sanon, lekarz i pastor jednego z Kościołów baptystów, pochodzący z Haiti, mający tam również swój dom, w którym policja miała znaleźć 20 pudełek amunicji, ale na stałe mieszkający w Miami. Według oficjalnej wersji chciał on obalenia Moïse'a po to, aby samemu zostać prezydentem kraju. Dowodem na jego polityczne aspiracje jest umieszczony przez Sanona w 2011 r. filmik, w którym krytykował on haitańskie elity polityczne za korupcję i sprzeniewierzenie pomocy międzynarodowej, jaka dotarła na wyspę po tragicznym trzęsieniu ziemi, które zdarzyło się rok wcześniej. Miał wówczas powiedzieć: „Przyniosę nadzieję Haitańczykom", i to zdaniem miejscowej policji ma świadczyć o tym, że miał motyw, aby 10 lat później zorganizować zamach.

„The Miami Herald" dotarł do przyjaciół i znajomych Sanona, którzy charakteryzują go słowami „naiwniak" i człowiek, „któremu można wszystko wmówić", ale zarazem podkreślają, że nie skrzywdziłby muchy. Wątpliwości wzbudza też to, że rzekomy organizator spisku nie jest człowiekiem majętnym, jego firmy zawiesiły działalność już kilka lat temu, a on sam w 2013 r. ogłosił bankructwo. Skąd zatem wziął niemałe przecież pieniądze na zorganizowanie zamachu? Sanon był też postacią zupełnie nieznaną w haitańskim świecie polityki. Tygodnik „Time" przytacza anonimową wypowiedź jednego z przyjaciół Sanona, który miał powiedzieć dziennikarzom, że ten uwierzył ludziom, którzy przedstawili się mu jako wysłannicy amerykańskiego Departamentu Stanu i zaprezentowali plan obsadzenia go na prezydenckiej funkcji w Haiti. Jednak, jak dodał, Jovenel Moïse miał zostać aresztowany, a nie zamordowany.

Podobne wątpliwości pojawiają się w przypadku pozostałych, zdaniem władz, organizatorów zamachu. O współudział oskarżono Rodolphe'a Jaara i Josepha Badio, drobnych przestępców, przemytników, którzy w przeszłości współpracowali zarówno z haitańską policją antykorupcyjną, jak i z DEA. Z pewnością nie można ich zaliczyć do kategorii grubych ryb, ludzi którzy byliby w stanie zaplanować i sfinansować zamach na prezydenta. O ich roli w zamachu prócz tego, co upubliczniają haitańscy śledczy, nie można wiele powiedzieć, bo obydwaj zniknęli i są teraz intensywnie poszukiwani.

KOLUMBIJSCY NAJEMNICY

Z grupy 28 zamachowców schwytano 20, trzech zginęło, a pięcioro nadal jest poszukiwanych. Dwóch pojmanych to ludzie pochodzący z Haiti, mieszkający w Stanach Zjednoczonych tłumacze, którzy zostali wynajęci, jak zeznali, przez internet. Byli oni niezbędni, bo Kolumbijczycy mówią po hiszpańsku, a na wyspie językiem urzędowym jest kreolski i angielski. Największa, 20-osobowa, grupa najemników, jak poinformowali śledczy, dotarła na Haiti niemal miesiąc wcześniej przez „zieloną granicę" z sąsiednią Dominikaną i przyczaiła się w stolicy kraju. Zdaniem niektórych komentatorów już to, że pojawienie się 20 obcokrajowców, samotnych mężczyzn o wojskowym wyglądzie, umknęło uwadze, budzi zdziwienie.

Wątpliwości co do rzeczywistej roli pochodzących z Kolumbii najemników, w większości byłych wojskowych, z których jeden zidentyfikowany został jako podpułkownik, narastają po doniesieniach mediów. I tak portal Semana poinformował, powołując się na anonimowe źródła, że najemnicy zostali wynajęci po to, aby chronić prezydenta Moïse'a, który obawiał się zamachu zorganizowanego przez dotychczasowych współpracowników. Brytyjski „Guardian" przytacza

eprasa.pl 3c57561b6e

opinię byłego haitańskiego parlamentarzysty Alfredo Antoine'a, który powiedział, że jego zdaniem za zamachem stoją miejscowi oligarchowie, którzy obawiali się, iż prezydent pokrzyżuje ich interesy. Szef kolumbijskiej policji ujawnił na konferencji prasowej, że dysponuje pewnymi informacjami świadczącymi o tym, iż Dimitri Herard, jeden z dowodzących prezydencką ochroną, przed zamachem był w Kolumbii, a także w Panamie i Ekwadorze, i może mieć związki z wynajętymi najemnikami. Więcej na temat powodów podróży Herarda nie można się dowiedzieć, bo ten po zamachu zniknął.

To, że byli kolumbijscy wojskowi, przeszkoleni agenci służb specjalnych, przez lata walczący z miejscową lewicową partyzantką, a teraz po zawarciu pokoju znajdujący się bez pracy są do wynajęcia „tanio i natychmiast", jak napisał kolumbijski dziennik „El Tiempo", nie jest żadną tajemnicą. Już wcześniej amerykański „The New York Times" informował, że Kolumbijczycy walczą w Jemenie, Syrii i Libii. Trafiło tam 450 najemników wynajętych przez agencję z siedzibą w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Inni z byłych wojskowych przeszli na służbę karteli narkotykowych i grup przestępczych, które są też aktywne na Haitii. Zdaniem ekspertów wręcz kontrolują sytuację na wyspie, na której niemal 60 proc. obszarów to „no go zones" – strefy, gdzie miejscowe służby, w tym policja, nie mają obecnie wstępu. Określenie haitańskich sił porządkowych mianem „policja" jest zdecydowanie na wyrost. W istocie już od dawna mamy do czynienia ze skorumpowanymi i uzbrojonymi gangami, których członkowie noszący policyjne mundury walczą z sobą, konkurując o strefy wpływów.

KTO TU RZĄDZI?

W świetle tej narracji Haiti, wyspa nękana klęskami żywiołowymi, przestępczością, korupcją, a ostatnio również cierpiąca w wyniku COVID-19, jest państwem upadłym, w którym nie wiadomo, kto rządzi, a realną sytuację kontrolują grupy przestępcze. Trudno tej interpretacji odmówić racji. Zamordowany prezydent Jovenel Moïse od stycznia 2020 r. rządził krajem przy użyciu dekretów po tym, jak odmówił przeprowadzenia zaplanowanych wyborów, a parlament zredukował do 10 bliskich mu osób. W lutym tego roku odmówił ustąpienia z funkcji, argumentując, że pierwszy rok jego kadencji został „skonsumowany" przez władze tymczasowe i debaty związane z oskarżeniami o fałszerstwa wyborcze, w związku z tym – jak dowodził – powinien przez rok dłużej sprawować urząd. W świetle konstytucji funkcję tymczasowego prezydenta przejmuje premier, problemem jest jednak to, że obecnie na Haiti co najmniej trzy osoby uważają, że stoją na czele rządu. Dwa dni przed zamachem Moïse mianował Arela Henry, 71-letniego lekarza, na funkcję nowego, tymczasowego prezydenta w miejsce dotychczas sprawującego ten urząd Claude'a Josepha. Ten jednak nie uznał swojej dymisji i uważa się za legalnie urzędującego tymczasowego prezydenta. Jednak jego mandat jest słaby również z tego względu, że został on premierem w kwietniu, zdaniem wielu w sposób niezgodny z konstytucją i już po upływie kadencji zamordowanego prezydenta. Na dodatek ośmiu senatorów z kadłubowego parlamentu, którzy zachowali swą funkcję, uznało, że tymczasowym prezydentem ma być szef izby wyższej Joseph Lambert. Są też na Haiti tacy, którzy twierdzą, że w obliczu dyskusji na temat prawomocności obecnej konstytucji trzeba się odwołać do poprzedniej, która przewidywała, że funkcję tymczasowego prezydenta winien objąć prezes Sądu Najwyższego, ale ten zmarł na COVID-19 kilka tygodni temu. Sam sąd też został zdziesiątkowany po tym, jak Moïse w lutym odkrył wymierzony w siebie spisek, zawiązany przez sędziów, i aresztował 20 osób.

> Tu władza dosłownie leży na ulicy, rywalizują o nią grupy polityczno-kryminalne, a kraj pogrąża się w chaosie. Bez interwencji z zewnątrz prawdopodobieństwo opanowania sytuacji jest niewielkie

Ariel Henry, który uważa się za prawowitego tymczasowego prezydenta, powiedział dziennikarzom „The Washington Post", że Joseph jest nie tylko uzurpatorem, lecz również człowiekiem chcącym go zgładzić. W obawie o swoje życie zmienił on ochronę i przeniósł się w bezpieczne miejsce.

Po zabójstwie prezydenta wyspę ogarnęły protesty i demonstracje, do których organizowania wezwali wpływowi na Haiti szefowie lokalnych gangów, apelujący jak Jimmy „Barbecue" Cherizier do ludzi, aby ci „wzięli sprawiedliwość w swoje ręce". Chcąc stabilizować i tak już trudną sytuację, Joseph wezwał Stany Zjednoczone do przysłania na wyspę wojska, ale doprowadził tylko do wzrostu skali zamieszek, zresztą Waszyngton odrzucił tę prośbę.

W opinii ekspertów wypowiadających się w amerykańskich mediach Haiti przekształca się w drugą Somalię, no mans land, tyle że znajdującą się 800 mil od amerykańskich wybrzeży. W kraju nie ma już właściwie ani jednej działającej instytucji publicznej, na dodatek te, które pozostały, w wyniku wieloletnich machinacji pozbawione zostały demokratycznego mandatu.

Budzący wiele wątpliwości zamach na prezydenta Jovenela Moïse'a jest tylko kolejnym etapem cywilizacyjnej degradacji kraju, która zaczęła się od trzęsienia ziemi w 2010 r. Obecnie władza dosłownie leży na ulicy i rywalizują o nią grupy polityczno-kryminalne, a kraj pogrąża się w chaosie. Bez interwencji z zewnątrz prawdopodobieństwo opanowania sytuacji jest niewielkie. Problemem jest wszakże to, że obecnie żaden rząd na świecie, amerykańskiego nie wykluczając, nie ma ochoty wysyłać swoich oddziałów na Haiti, które staje się na naszych oczach kolejnym państwem upadłym.

eprasa.pl 3c57561b6e



Wolność słowa na opak

Trzeba uważnie śledzić bieg sporu Donalda Trumpa z globalnymi oligarchami medialnymi, gdyż – przypuszczalnie – jest to jeden z tych wielkich sporów, które na nowo zdefiniują zachodni ideał wolności słowa



JAN ROKITA

Formalnie ów spór sądowy został wszczęty 7 lipca przez popierającą Trumpa organizację non profit o nazwie America First Policy Institute (nazwa nawiązuje oczywiście do kluczowego hasła prezydentury Trumpa). Wytoczono go przed sądem federalnym USA dla okręgu Florydy Południowej w trybie tzw. pozwu zbiorowego, czyli w imieniu dużej grupy Amerykanów domagających się zakazu stosowania cenzury w mediach społecznościowych.

Pozwanymi są trzej najwięksi oligarchowie medialni: Zuckerberg, Dorsey i Pichai – czyli właściciele Facebooka, Twittera i Google'a. I już tylko przez sam ten fakt jest jasne, że ów proces nie będzie dotyczyć tylko Trumpa ani nawet tylko Ameryki, ale odbije się na zakresie wolności, jaką będzie się mogło na przyszłość cieszyć parę miliardów ludzi korzystających na co dzień z amerykańskich platform społecznościowych.

PIERWSZA POPRAWKA DO KONSTYTUCJI

Donald Trump, który jest inicjatorem i kluczową stroną w tym procesie, w taki

Fot. a katz/Shutterstock.

eprasa.pl 3c57561b6e



Fot. kovop58/Shutterstock, Ascannio/Shutterstock

sposób mówił o swych żądaniach procesowych podczas konferencji prasowej w stanie New Jersey: „Żądamy zakończenia zakazu cieni, zaprzestania wyciszania i wpisywania kogokolwiek na czarną listę, banowania oraz anulowania wpisów – czyli tych praktyk, które każdy z was tak dobrze zna". Po czym dodawał: „Dzięki temu procesowi stajemy w obronie wolności słowa wszystkich Amerykanów – republikanów, demokratów, niezależnych, wszystkich".

Jak łatwo się domyślić, bezpośrednim impulsem do procesu stał się sławny „ban na Trumpa", jaki największe media społecznościowe nałożyły na byłego prezydenta w ostatnich dniach jego urzędowania. Czyli zakaz korzystania z owych mediów, który – wedle ewidentnej intencji jego autorów – ma służyć dozgonnemu zablokowaniu możliwości kontaktu Trumpa z wyborcami, a tym samym wyeliminować go z życia publicznego, zaś Partii Republikańskiej utrudnić przyszły powrót do władzy. Ale w tle tej sprawy sądowej jest też podnoszona od lat przez amerykańską prawicę coraz bardziej otwarta i coraz bardziej bezceremonialna praktyka eliminowania idei konserwatywnych z obiegu publicznego przez oligarchów z branży Big Tech.

Gra toczy się o to, co w istocie znaczy w dzisiejszych realiach wolność słowa, gwarantowana sławną pierwszą poprawką do konstytucji, wedle której amerykańskiemu ustawodawcy nie wolno uchwalić żadnej ustawy, która by „ograniczała wolność słowa lub prasy".

Kiedy przeszło 200 lat temu uchwalano ów wiekopomny zakaz, będący fundamentem liberalnego porządku politycznego, nikomu nie mogło przyjść do głowy, iż pewnego dnia „wolność słowa" i „wolność prasy" (a mówiąc współcześnie – mediów) mogą się okazać wartościami jawnie z sobą konfliktowymi. Amerykańska tradycja prawna uznała, iż pierwsza poprawka zapewnia bezwzględną ochronę mediów przed regulowaniem zakresu ich swobody przez państwo. Można by powiedzieć, że to właśnie na rynku mediów przez dwa stulecia urzeczywistniał się najbardziej „libertariański" ideał wolnego rynku, wobec którego państwu wolno pełnić w najlepszym razie tylko funkcję nocnego stróża. Pod tym względem precedens o ogromnym znaczeniu stworzył wyrok wydany w roku 1974 przez Sąd Najwyższy USA, zgodnie z którym gazeta „Miami Herald" została uwolniona od obowiązku publikacji repliki kogoś, kogo brutalnie zaatakowała w swym artykule redakcyjnym. Dlaczego została uwolniona od czegoś, co wydawałoby się dziennikarską powinnością moralną? Bo sędziowie uznali, iż pierwsza poprawka zabrania prawodawcom „wymagania od mediów publikowania czegokolwiek, czego same nie chcą publikować".

WIDZIMISIĘ MEDIALNYCH OLIGARCHÓW

Pytanie, przed którym staje teraz amerykańskie sądownictwo, dotyczy w istocie tego, czy Facebook, Twitter i Google mają być nadal traktowane jako klasyczne media, czyli tak samo jak pół wieku temu gazeta „Miami Herald"? Jeśli tak, to znaczy, że Zuckerberg, Dorsey i Pichai mogą się uważać za faktycznych panów świata, gdyż tylko od ich widzimisię zależy to, co będą publikować, kogo zbanują, jakie poglądy dopuszczą, a jakich zakażą. Ich oligarchiczne widzimisię dotyczyć miałoby teraz już nie wąskiej grupy czytelników „Miami Herald" na Florydzie, ale miliardów ludzi na całym globie, którzy nie mają ani realnych szans, aby przerzucić się na „inną gazetę", ani też nie są w stanie zrezygnować z korzystania z platform społecznościowych, które stworzyły faktyczny globalny kartel.

Zupełnie tak, jakby ojcowie założyciele USA w swej świętej naiwności uchwalili pierwszą poprawkę po to właśnie, aby 200 lat później zapewnić Zuckerbergowi, Dorseyowi i Pichaiowi chronioną konstytucyjnie tyranię, na podobieństwo znienawidzonych przez twórców Ameryki XVIII-wiecznych

eprasa.pl 3c57561b6e

europejskich władców absolutnych, arbitralnie określających, co prasie wolno pisać, a co jest zakazane i represjonowane. Byłby to wyjątkowo szyderczy paradoks amerykańskiej historii.

Takie rozumienie pierwszej poprawki – jak się zdaje, przeważające dziś wśród amerykańskich prawników – prowadzi do częstej prognozy, iż Trump ten proces o wolność słowa przegra. W cyfrowym magazynie „XGen" można przeczytać odezwę skierowaną do byłego prezydenta, zaczynającą się od słów: „Trump! Twoja wolność słowa kończy się na progu mediów społecznościowych". Prawniczka z New York Law School prof. Nadine Strossen broni poglądu, iż „media społecznościowe mają absolutne prawo wyrzucić z platformy każdego, kogo zechcą". Po czym jednak przyznaje, że „wielu Amerykanów jest wstrząśniętych, gdy dowiadują się, że pierwsza poprawka chroni nas tylko przed rządem".

Chodzi właśnie o to, że jeśli w imię wolności mediów państwo nie może bronić wolności słowa przed zamachem na tę wolność ze strony kartelu medialnych oligarchów, to znaczy, iż pierwsza poprawka staje się „tarczą i mieczem umożliwiającym zaprowadzenie cenzury" . Tak twierdzi nie bez racji prof. Alan Dershowitz z Harvardu, który dodaje, że „wielu Amerykanów chce zrobić coś, aby zmienić to, co uważają za niemożliwe do utrzymania, i stąd właśnie wziął się pozew Trumpa". Jak widać, wolność słowa na opak ma w Ameryce silnych sojuszników, ale pozew Trumpa symbolizuje silny wobec niej sprzeciw, zwłaszcza w kręgach konserwatywnych Amerykanów.

PRAWNICZE STARCIE

Nie najlepszą prognozą jest jednak niedawny przypadek ustawy stanowej „o zakazie cenzury w mediach społecznościowych", jaką w maju uchwalił stanowy Kongres Florydy, z inicjatywy konserwatywnego gubernatora Rona DeSantisa. Przewidywała ona, że za zbanowanie polityka ubiegającego się o jakiś urząd stanowy wielkie platformy społecznościowe zapłacą grzywnę 250 tys. dol., w przypadku polityka lokalnego – 25 tys. Co więcej, na mocy ustawy prokurator stanu Floryda mógł ścigać karnie inspiratorów i sprawców tego rodzaju cenzury. DeSantis oparł swój projekt nie na czym innym, jak na gwarancji wolności słowa zawartej w pierwszej poprawce. Jednak 30 czerwca (czyli dzień przed wejściem w życie ustawy) niejaki sędzia Hinkle z sądu okręgowego w stanowej stolicy Tallahassee jednoosobowo wydał „postanowienie zabezpieczające" (skąd my to tak dobrze znamy?), uchylające wejście w życie nowego prawa. Portal Vox informował, że od początku rozprawy sędzia Hinkle „nie krył się ze swą pogardą dla tego prawa", twierdząc, że jego istotą jest „chęć powstrzymania wielkich mediów liberalnych" (co – jak wiadomo – w USA oznacza media o światopoglądzie lewicowym).

> Gra toczy się o to, co w istocie znaczy w dzisiejszych realiach wolność słowa, gwarantowana sławną pierwszą poprawką do konstytucji, wedle której amerykańskiemu ustawodawcy nie wolno uchwalić żadnej ustawy, która by „ograniczała wolność słowa lub prasy"

Jak łatwo się domyślić, podobnie jak gubernator DeSantis, oburzony cenzurą stosowaną przez Facebooka i Twittera, sędzia Hinkle również powołał się na... pierwszą poprawkę, która jego zdaniem zabrania państwu instruowania Zuckerberga czy Dorseya, co im wolno, a czego im nie wolno cenzurować w należących do nich mediach. Nam w Polsce trudno nie zauważyć, że ustawa DeSantisa o zakazie cenzury w mediach społecznościowych to kropka w kropkę to samo, co polska wolnościowa „ustawa Ziobry", o której projekcie głośno było na początku roku, jednak obecnie w rządzie Morawieckiego słuch o niej zaginął, bez objaśnienia jakichkolwiek tego powodów. Tyle tylko, że rzecznik DeSantisa zapowiada, że „gubernator odwołuje się i nadal walczy o wolność słowa przeciw dyskryminacyjnej cenzurze Big Tech". Minister Ziobro zaś tajemniczo zamilkł w tej kluczowej dla wolności sprawie.

Niewykluczone, że wcześniej czy później pozew Trumpa, który jest w istocie prawdziwym testem pierwszej poprawki, dotrze do rozstrzygnięcia w Sądzie Najwyższym USA. Rozstrzygnięcie takie będzie musiało dotyczyć kwestii fundamentalnej: jakiej w istocie politycznej wartości broni pierwsza poprawka? Czy jest to swoboda ekspresji wolnych ludzi – to znaczy mówienia, pisania, publikowania i wyrażania własnych poglądów przez obywateli? Czy też górująca nad nią kapitalistyczna wolność wielkiego biznesu medialnego, który w imię rynkowego ideału może robić, co chce, nawet jeśli przybiera postać oligarchii czy monopolu?

Gdyby się okazało, że będzie to rozstrzygnięcie na rzecz praw obywateli, to byłby to w Ameryce przełom umożliwiający narzucenie koncernom Big Tech demokratycznych gwarancji zakazu cenzury. Jeśli jednak (jak się dziś raczej oczekuje) zapadłoby rozstrzygnięcie na rzecz interesów medialnych oligarchów, byłby to nieuchronnie mocny cios w ideę wolności, sprawiający w efekcie, że ludzie spragnieni wolności słowa przestaliby już spoglądać na Amerykę z dawną nadzieją. Umocnieni w swoim kraju oligarchowie podjęliby zapewne jeszcze bardziej zdeterminowane niźli dotąd próby narzucenia całemu zachodniemu światu, w tym zwłaszcza sądom i trybunałom Unii Europejskiej, tej samej logiki prawnej, którą uznały sądy amerykańskie. Tym sposobem wykluwałby się globalny sojusz oligarchów medialnych i sędziów, zapowiadający nieuchronny zmierzch epoki liberalnej i powolny koniec pięknej idei wolnego świata.

eprasa.pl 3c57561b6e

Kosmiczny biznes

Podczas kryzysów bogaci stają się jeszcze bogatsi, a biedni – biedniejsi. Potwierdzeniem tej tezy jest rozwój turystyki kosmicznej. Tydzień temu swój dziewiczy lot odbył Richard Branson, a tuż po nim poleci w kosmos Jeff Bezos. Obaj miliarderzy przekonują, że wyprawa w kosmos jest spełnieniem ich marzeń z dzieciństwa. Być może, ale przede wszystkim to forma kampanii promocyjnej, dzięki której zamierzają zarobić kolejne miliony dolarów





KONRAD KOŁODZIEJSKI

Przestrzeń kosmiczna na naszych oczach przestaje być wyłącznie domeną rywalizacji między państwami i zaczyna być źródłem dochodów prywatnych firm. Za pionierów kosmicznego biznesu można uznać trzech miliarderów: Elona Muska, Jeffa Bezosa i Richarda Bransona. Należąca do pierwszego z nich firma SpaceX już w maju zeszłego roku wysłała na orbitę dwóch astronautów i przymierza się właśnie do stałej współpracy z NASA. Jeżeli jednak chodzi o turystykę kosmiczną, to palma pierwszeństwa należy do firmy Virgin Galactic, będącej własnością Richarda Bransona.

11 lipca Brytyjczyk wsiadł na pokład specjalnie skonstruowanego samolotu kosmicznego VSS Unity i wzniósł się wraz z pięcioma innymi osobami na wysokość 85 km. Doświadczył tam stanu nieważkości i podziwiał kosmiczną panoramę Ziemi. Branson wyprzedził w ten sposób zaledwie o dziewięć dni ostatniego z trzech kosmicznych biznesmenów: założyciela firmy Amazon Jeffa Bezosa, który planuje własny lot kosmiczny w przypadającą we wtorek, 20 lipca, 52. rocznicę lądowania załogi Apollo 11 na Księżycu. Przy czym Bezos, w odróżnieniu od Bransona, zamierza polecieć wyżej – aż do wytyczonej na wysokości 100 km linii Kármána, uważanej przez Międzynarodową Federację Lotniczą (FAI) za umowną granicę przestrzeni kosmicznej. Dokona tego na pokładzie kapsuły Blue Origin wyniesionej przez rakietę New Shepard.

PIĘĆ MINUT NIEWAŻKOŚCI

Branson i Bezos zdecydowali się osobiście uczestniczyć w lotach kosmicznych organizowanych przez ich firmy, przy czym Jeffowi Bezosowi, oprócz czterech innych osób, towarzyszyć będzie jeszcze brat Mark. Obaj miliarderzy przekonują, że lot w kosmos jest spełnieniem ich marzeń z dzieciństwa. Być może, ale przede wszystkim to forma kampanii promocyjnej, dzięki której zamierzają zarobić kolejne miliony dolarów. Po locie Bransona kurs akcji Virgin Galactic, które w grudniu 2020 r. były warte po 40 dol. każda, wzrósł aż dwukrotnie, choć specjaliści twierdzą, że to wciąż zbyt mało, aby sfinansować wszystkie inwestycje niezbędne do pełnego rozruchu podniebnego biznesu.

Kosmiczna firma Bransona powstała w 2004 r., gdy Brytyjczyk przejął należącą do amerykańskiego konstruktora Burta Rutana firmę Scaled Composites.

Fot. Blue Origin

eprasa.pl 3c57561b6e



Fot. Virgin Galactic

To właśnie Rutan wymyślił i zbudował samolot kosmiczny wynoszony w powietrze przez nosiciela. Zainteresowany tym pomysłem Branson kupił firmę Rutana i zainwestował w budowę większego samolotu kosmicznego (pierwowzór był jednoosobowy) tak, aby oprócz załogi można było zabrać w podróż kilku pasażerów. W ten sposób, po wielu latach testów różnych prototypów, powstał obecny VSS (Virgin Space Ship) Unity, którym 11 lipca Branson odbył swoją podniebną podróż.

Za lot w pobliże przestrzeni kosmicznej Richard Branson jeszcze niedawno kazał sobie zapłacić 250 mln dol. Teraz stawka wzrosła z powodu wyższych kosztów i przekracza już 300 mln. Mimo to chętnych na trwającą godzinę kosmiczną przejażdżkę nie brakuje. Branson poinformował, że ma już 600 rezerwacji, w tym od znanych gwiazd i celebrytów, wśród których znaleźli się m.in. aktor Tom Hanks i piosenkarka Lady Gaga. Kolejne bilety, już za wyższą cenę, będą sprzedawane po wakacjach, gdy zostaną zakończone ostatnie loty testowe.

Jak ma wyglądać taki lot za ćwierć miliona dolarów lub więcej, widzieliśmy 11 lipca w internecie. Najpierw samolot kosmiczny VSS Unity z sześcioma osobami na pokładzie został podczepiony między dwa kadłuby samolotu VMS Eve (nazwanego imieniem matki Richarda Bransona, przy czym VMS oznacza Virgin Mother Ship) i tak wyniesiony w powietrze, a potem – na wysokości 14 km – odłączony od nosiciela. Dopiero wtedy dwaj piloci samolotu kosmicznego uruchomili silniki rakietowe, które rozpędziły maszynę do prędkości 4000 km/h, wzbijając ją do granicy atmosfery ziemskiej. Gdy VSS Unity znalazł się na wysokości 85 km, jego pasażerowie, w tym Branson, doświadczyli przez 5 min stanu nieważkości. Zaraz potem pojazd rozpoczął zniżanie lotem szybowcowym aż do lądowania, które nastąpiło na tym samym lotnisku w stanie Nowy Meksyk, skąd wystartowano.

> Branson jest zdeterminowany, aby rozwijać kosmiczny biznes. Zwłaszcza że wiele innych jego przedsięwzięć wpadło w tarapaty podczas pandemii

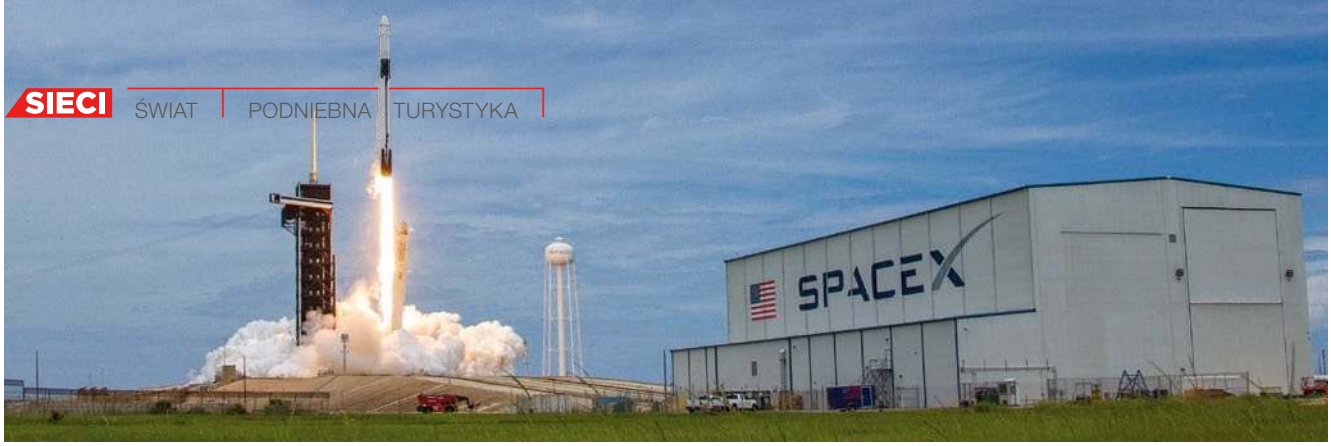
W KOSMOS PO OSIEMDZIESIĄTCE

Jeff Bezos drwi z lotów oferowanych przez Bransona, twierdząc, że są tylko namiastką podróży kosmicznej. Jego kapsuły Blue Origin nie tylko docierają wyżej niż samolot konkurenta, lecz są wynoszone w przestrzeń kosmiczną tak jak większość statków kosmicznych, za pomocą rakiety startowej, po czym odłączają się i po zakończeniu lotu opadają na spadochronie. Poza tym, jak przekonuje firma Bezosa, kapsuła Blue Origin jest gruntownie przebadana (większa liczba lotów testowych niż u Bransona), posiada system ewakuacji pasażerów oraz większe okna, a także ze względu na inny rodzaj paliwa jest bardziej ekologiczna.

Podczas dziewiczej misji 20 lipca obok Bezosa i jego brata na pokładzie jego statku znajdzie się anonimowy (w chwili pisania tych słów) zwycięzca aukcji zorganizowanej przez miliardera, którego wycieczka w kosmos kosztowała 28 mln dol., oraz 82-letnia Wally Funk, która 60 lat temu znalazła się w pierwszej grupie kandydatek na amerykańskie astronautki wytypowanych w ramach programu Mercury 13. Ostatecznie żadna z pań nie poleciała wtedy w kosmos, ale Wally Funk – jak widać – nie pożegnała się z dawnymi marzeniami. W chwili gdy znajdzie się na pokładzie kapsuły Blue Origin, będzie nie tylko najstarszą kobietą, lecz w ogóle najstarszym człowiekiem, jaki dotąd znalazł się w kosmosie. Dotychczasowy rekordzista John Glenn miał 77 lat podczas swojego ostatniego lotu w kosmos na pokładzie wahadłowca Discovery. Co ciekawe, Wally Funk kupiła również bilet na lot samolotem kosmicznym Bransona, ale nie wiadomo, czy z niego skorzysta, po tym jak zaprosił ją na wspólną wyprawę Jeff Bezos.

Bezos może w ten sposób upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Po pierwsze, bierze na pokład starszą panią, co może rozwiać obawy innych osób w podobnym wieku przed lotem w kosmos, a po drugie, owa pani została niejako podkupiona

eprasa.pl 3c57561b6e



Fot. Space x

Bransonowi, co może sugerować potencjalnym klientom, że oferta Brytyjczyka jest mniej atrakcyjna.

UCIECZKA OD KŁOPOTÓW

Richard Branson nie sprawia wrażenia zaniepokojonego konkurencją ze strony Bezosa. Jego samolot dociera wprawdzie jedynie w pobliże przestrzeni kosmicznej, ale – w odróżnieniu od kapsuły Bezosa wymagającej długotrwałych przygotowań do lotu – może kursować regularnie i jest tańszy w eksploatacji. Poza tym lot kapsułą Bezosa jest krótszy, bo trwa jedynie kilkanaście minut (z tego 3 min w stanie nieważkości).

Niektórzy ekonomiści uważają więc, że projekt biznesowy przyjęty przez Bransona jest bardziej optymalny, o ile oczywiście uda mu się zapewnić stały dopływ klientów. Problem w tym, że owe 600 rezerwacji na loty kosmiczne, którymi chwali się Brytyjczyk, zostało dokonanych przed pandemią i nie wiadomo, czy nadal uda się utrzymać taką dynamikę. Zwłaszcza że jest to dość niszowa oferta, skierowana wyłącznie do najbogatszych. Poza tym, aby przewieźć tyle osób w przewidywalnym czasie, Branson musiałby zbudować osiem samolotów kosmicznych, a na razie ma tylko jeden. Wreszcie istnieje ryzyko, które może zupełnie obrócić w pył marzenia o wielkim kosmicznym biznesie – chodzi oczywiście o niebezpieczeństwo katastrofy.

Branson wie, w czym rzecz, bo w 2014 r. niewiele brakowało, aby wszystkie jego kosmiczne plany zawaliły się po tym, jak niespodziewanie rozpadł się w powietrzu prototyp samolotu kosmicznego, zabijając w wypadku jednego z dwóch pilotów (drugi odniósł ciężkie rany).

71-letni Brytyjczyk, który w latach 70. rozpoczynał swoją spektakularną karierę biznesową od wytwórni płytowej (Virgin Records), a potem zajmował się jeszcze m.in. telekomunikacją (Virgin Mobile), służbą zdrowia (Virgin Care), napojami gazowanymi (Virgin Cola), podbojem głębin (Virgin Oceanic) i transportem lotniczym (Virgin Atlantic), jest jednak zdeterminowany, aby rozwijać kosmiczny biznes, bo zdaje sobie sprawę, że od tego

> W internecie można znaleźć petycje – każda podpisana przez kilkadziesiąt tysięcy osób – której sygnatariusze domagają się od Jeffa Bezosa, aby pozostał w kosmosie na stałe

może zależeć przyszłość jego imperium. Zwłaszcza że wiele innych przedsięwzięć – z liniami lotniczymi Virgin Atlantic na czele – wpadło podczas pandemii w tarapaty. Gdy w kwietniu zeszłego roku Branson poprosił rząd brytyjski o pomoc w ratowaniu linii, spadły na niego gromy. Miliarder zapewniał wprawdzie, że nie chodziło mu o przepompowanie do jego kieszeni pieniędzy podatników, lecz o pożyczkę 500 mln funtów pod zastaw należącej do niego 30-hektarowej wyspy Necker, leżącej w archipelagu Brytyjskich Wysp Dziewiczych.

Ale właśnie ta luksusowa posiadłość Bransona stała się głównym źródłem kontrowersji. Miliarder, siódmy w rankingu najbogatszych Brytyjczyków z majątkiem szacowanym na 4,7 mld funtów, mieszka na wyspie od 15 lat i – co istotne – nie płaci z tego powodu podatków w Wielkiej Brytanii. Laburzyści stwierdzili więc, że niedopuszczalne jest, aby „bogaci miliarderzy doili system", a brytyjscy internauci zasugerowali z przekąsem, żeby Branson dostał od państwa tyle pomocy, ile wcześniej wpłacił w podatkach do brytyjskiego budżetu.

BILET NA KSIĘŻYC

Główny rywal Bransona, czyli Jeff Bezos, również nie budzi powszechnej sympatii, w internecie można bowiem znaleźć petycje – każda podpisana przez kilkadziesiąt tysięcy osób – której sygnatariusze domagają się od miliardera, aby pozostał w kosmosie na stałe. Jednak stawka w kosmicznym wyścigu jest dla Brytyjczyka nieco wyższa niż dla jego amerykańskich konkurentów, którzy, znajdując się w ścisłej czołówce najbogatszych ludzi na świecie, dysponują znacznie większymi od niego zasobami finansowymi.

Elon Musk, właściciel Tesli, produkującej elektryczne auta, a także kosmicznej firmy SpaceX, zajmującej się umieszczaniem satelitów na orbicie, oraz przewożącej na zlecenie NASA astronautów i ładunki w kosmos, również zamierza sprzedawać komercyjne miejsca w swoich statkach kosmicznych. Koszt prywatnej wyprawy na Międzynarodową Stację Kosmiczną ISS to 55 mln dol. Pierwszy taki lot miałby się odbyć na jesieni, przy czym Musk – w odróżnieniu od Bezosa i Bransona – nie zamierza brać udziału w tej wyprawie. Za to u Muska można już kupić bilet na Księżyc, bo i tam w przyszłości chce latać firma miliardera. Jeden taki bilet sprzedano, jego nabywcą jest japoński przedsiębiorca Yūsaku Maezawa. Nie ujawniono jednak dotąd kwoty, jaką zapłacił za lot.

Nic dziwnego, że przy takim rozmachu swoich projektów Musk kpi sobie z biznesu, którym Brytyjczyk chce zawojować świat. Bo chyba tylko specyficznym poczuciem humoru Muska można tłumaczyć to, że zakupił on bilet na podniebną przejażdżkę samolotem Bransona.

eprasa.pl 3c57561b6e

SIECI

Polacy poza horyzontem



Na ekstremalnych szlakach

odc. 6

PARTNER DODATKU
ORLEN

eprasa.pl 3c57561b6e



Podróże w ciemność

Joseph Conrad jest dziś jednym z najbardziej rozpoznawalnych na świecie Polaków. Świat jednak nie zawsze wie, że naprawdę nazywał się Józef Korzeniowski, a jego podróż w stronę „jądra ciemności" zaczęła się w dzieciństwie. Od zsyłki w głąb Rosji

Jego matka słynęła z zabójczej urody i szalonej wręcz inteligencji, ojciec – z całkiem niezłych, późnoromantycznych dramatów oraz świetnych tłumaczeń. Oboje zaś z permanentnego zaangażowania w różne niepodległościowe spiski. I właśnie to ostatnie okazało się istotne dla ich syna, który urodził się cztery lata przed wybuchem powstania styczniowego i kolejne cztery spędził wraz z rodzicami na zesłaniu w głąb Rosji, a konkretnie w Czernihowie.

Czy ta pierwsza podróż weszła mu tak bardzo w krew, że w zasadzie podróżował już zawsze? Łamali sobie już nad tym głowy specjaliści od jego biografii kilku pokoleń i odpowiedzi nie znaleźli. Faktem jest, że po stosunkowo szybkiej śmierci obojga rodziców – matka zmarła już w 1865 r., ojciec zaś cztery lata później – jego wychowaniem zajął się wuj Tadeusz Bobrowski. Był człowiekiem porządnym, ale dość oschłym i młodzieńcze lata Józefa w Krakowie nie należały do szczęśliwych – co rekompensował sobie łobuzerstwem, słabą nauką i marzeniami o wyrwaniu się z domu. Bobrowski najwyraźniej miał niesfornego chłopaka również dość, bo kiedy tylko skończył 17 lat, zaopatrzył go w przyzwoitą pensję i wysłał do Marsylii.

Młodość w tawernie

Patrząc dziś na zdjęcia Josepha Conrada, widzi się archetyp pisarza – poważnego mężczyznę w średnim wieku, o mądrym, zamyślonym spojrzeniu. W 1874 r. nie był jednak ani poważny, ani zamyślony, ani chyba nawet przesadnie mądry. „Lata spędzone we Francji stanowiły dla Korzeniowskiego okres bujnego i urozmaiconego życia towarzyskiego, co źle odbijało się na jego zasobach" – lapidarnie ujmował to Zdzisław Najder. Był wówczas klasycznym marynarzem – portowym zabijaką, wdającym się w nieustanne przygody erotyczne, suto podlewane alkoholem w podłych tawernach. Ale nie to było najgorsze. Po kilku rejsach na Karaiby czy szerzej na wody Ameryki Środkowej, które odbył najpierw jako praktykant, później jako steward, wdał się w awanturę przestępczą, m.in. w przemyt broni dla hiszpańskiego pretendenta do tronu Don Carlosa. „Brał udział w wyprawach, zapewne przemytniczych, małym żaglowcem do Hiszpanii. Posady na statku francuskim dostać już nie mógł, bo nie otrzymał zgody miejscowego konsula rosyjskiego" – potwierdzał Najder.

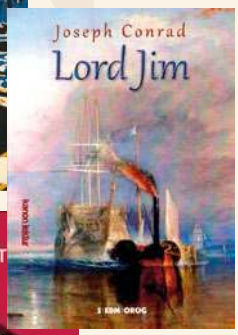
Trybu życia jednak nie zmienił. W 1878 r. przez alkohol i długi doprowadził się już do tak opłakanego stanu, że postanowił strzelić sobie w głowę – co istotnie zrobił, tyle że

eprasa.pl 3c57561b6e

nie trafił. Warto zauważyć, że miał wówczas zaledwie 21 lat. Ostatecznie z długów wybawiła go interwencja wuja, który przy okazji podwyższył mu pensję. Sam Korzeniowski chyba też na chwilę ochłonął. Szybko nauczył się angielskiego (francuskim posługiwał się bezbłędnie od dziecka), zaciągnął na brytyjski parowiec „Marvis" i na jego pokładzie, jeszcze w tym samym roku, ruszył w rejs na Morze Czarne.

Chyba naprawdę dojrzał po kryzysie z 1878 r., bo przez kolejnych osiem lat już bez poważniejszych ekscesów nie tylko odbywał regularne rejsy, lecz także składał kolejne egzaminy oficerskie, by 1886 r. otrzymać stopień kapitana. Odwiedził w tym czasie spory kawałek świata. Dwukrotnie był w Australii, dwukrotnie w Indiach, odbył też podróż na Archipelag Malajski, nie wspominając o bliższych, europejskich wyprawach. Chyba gdzieś w tym okresie postanowił też pisać – w każdym razie właśnie kilkumiesięczna służba na niewielkim statku parowym kursującym między portami Borneo i Celebesu dostarczyła mu materiału do pierwszych książek. To była dobra pora, bo w roku następnym skończył 30 lat, co oznaczało wstrzymanie pensji od wuja.







Doświadczony i wykształcony Korzeniowski wciąż jednak nie do końca wiedział, co robić w życiu. Co prawda przez kolejny rok był kapitanem okrętu „Otago", kursującego do Australii, ale z jakichś powodów zdecydował się nie kontynuować kariery w marynarce. Przez pewien czas pracował w londyńskiej spółce handlowej Barr, Moering & Co., było to chyba jednak dla niego zbyt stateczne zajęcie. Napisał więc pierwszą powieść „Szaleństwo Almayera", odwiedził Polskę, a następnie wyruszył do Kongo, gdzie obiecano mu posadę dowódcy na rzecznym parowcu.



W jądrze ciemności

„Wszystko tu wydaje się antypatyczne. I ludzie, i rzeczy; ale szczególnie ludzie. W ich mniemaniu ja również jestem antypatyczny" – pisał w liście do wujenki Poradowskiej. Jego pobyt w Kongo nie trwał długo, zaledwie dwie pół roku, ale był jednym z najbardziej traumatycznych okresów w jego życiu. Przeraziła go kolonialna mentalność białych, z których do Afryki trafiały najgorsze typy – nastawione wyłącznie na szybki zarobek na kości słoniowej i kauczuku, a czarnych traktujący z niespotykaną wręcz brutalnością.

Było to wówczas formalnie prywatne państwo króla Belgii Leopolda II, który pod względem eksploatacji afrykańskich surowców okazał się jednym z największych rzeźników swoich czasów. Tubylcy zobowiązani byli do dostarczania odpowiednich ilości surowców, w przeciwnym razie obcinano im ręce bądź urządzano regularne masakry. Zmuszano ich do niewolniczej pracy na plantacjach kawy, gdzie byli katowani. „Bardzo zyskowny handel Wolnego Państwa Konga, terytorium stanowiącego w latach 1885–1908 prywatną własność króla Leopolda II, przyniósł temu ciemiężcy w ciągu dwudziestu trzech lat około dwudziestu milionów dolarów. W tym okresie, w wyniku handlu niewolnikami, przymusowej pracy i bezwzględnego traktowania podbitego narodu, liczba ludności tego obszaru zmniejszyła się o połowę" – pisał Jerry Allen. Kiedy Korzeniowski wędrował przez kongijski busz, z Matadi do Kinszasy, bywało, że potykał się o zwłoki tubylców.

Każda jego książka była coraz lepsza, coraz bardziej wysmakowana stylistycznie i obezwładniająca przede wszystkim ładunkiem intelektualnym – głębokimi oraz opisanymi wybornym stylem studiami ludzkich małości w sytuacjach i zwykłych, i ekstremalnych, a w dodatku z atrakcyjnym, egzotyczno-awanturniczym tłem

„Duże zwątpienie w przyszłość. Myślę, że życie między tymi ludźmi (białymi) nie może być zbyt przyjemne. Mam zamiar unikać znajomości, o ile to możliwe" – zanotował w „The Congo Diary". Nie było to jednak możliwe. Najpierw musiał przejść 300 km pieszo z karawaną. Następnie z Kinszasy na szalupie „Roi des Belges" pokonał rzeką blisko 2 tys. km do Stanley Falls, a w drodze się rozchorował. Chorowali zresztą wszyscy biali – ataki febry, biegunka, upały, wilgoć i brak świeżej wody... Wszystko to zamieniało podróż w koszmar, dla którego istotnie najlepszym określeniem było „Jądro ciemności" – jak wkrótce zatytułuje jedno z najsłynniejszych swoich opowiadań.

Fot. Polona.pl, materiały prasowe

eprasa.pl 3c57561b6e



„Otago" – statek, na którym pływał Korzeniowski

Po kolejnych 2 tys. km dotarł do Kinszasy, gdzie już pod koniec września zdecydował się zerwać kontrakt i wrócić do Europy. Nie było to jednak takie proste – kraj się wyludnił i zorganizowanie kolejnej karawany do Matadi nie było łatwe, a dodatkowo utrudniali mu to belgijscy urzędnicy. Ostatecznie powrócił do Londynu na początku stycznia 1891 r. i przez kolejnych 12 miesięcy dochodził do siebie – początkowo w szpitalu, później zaś w różnych kurortach. Poza tym nie był w stanie robić zupełnie nic. Nawet pisać.

Pisarz w tarapatach

Po blisko rocznej kuracji Korzeniowski znów nie za bardzo wiedział, co ma robić. I jak zwykle w takiej sytuacji zaokrętował się na kliper pasażerski „Torres", na którym przez kolejne dwa lata żeglował z Anglii do Australii i z powrotem. Miał pływać dalej, ale wiele okoliczności sprawiło, że już na zawsze pozostał na lądzie. Najpierw splajtował armator parowca „Adowa", na którym przyjął posadę drugiego oficera, następnie zmarł Bobrowski, pozostawiając mu duży spadek – chwilowo więc nie musiał myśleć o pieniądzach, mógł się ustatkować i zacząć pisać. Kiedy jednak pieniądze ulokował w pewnej firmie, a później ożenił się z Jessie George i szykował się do wygodnej emerytury – przedsiębiorstwo splajtowało i państwo Korzeniowscy pozostali niemal bez grosza. Postanowił więc zaryzykować. Wydane w 1895 r. „Szaleństwo Almayera" spotkało się z bardzo dobrymi recenzjami, ciepło przyjęto także dwa lata młodszego „Wyrzutka". Dobiegał czterdziestki i właśnie wtedy zdecydował się zostać pełnoetatowym pisarzem.

A nie było to takie proste. Jak zauważał Najder: „Pisał zwykle powoli. Trudność sprawiała mu angielszczyzna: był świadomym celu, kunsztownym stylistą, ale pisał w języku, którego zaczął się uczyć już jako człowiek dorosły i którym do końca życia mówił z wyraźnym, cudzoziemskim akcentem [...] Każda książka była okupiona olbrzymim wysiłkiem psychicznym; ukończenie każdej odchorowywał. A pracować musiał pod naciskiem pilących potrzeb, pod ciągłą groźbą niedostatku, terminowych długów, niepłaconych rachunków. Przyjaciele musieli go wielokrotnie wspomagać pożyczkami, a jego agent literacki – zaliczkami wydawanymi na miesiące i lata przed wypełnieniem kontraktu".

Ale w tym momencie nie miał już wyjścia. Jedyne, co potrafił, to pływać – powiększająca się rodzina wykluczała jednak wielomiesięczne rejsy, nie wspominając o tym, że nigdy tak naprawdę nie wyzdrowiał po wyprawach młodości, a zwłaszcza po afrykańskiej awanturze. Książki tymczasem nie przynosiły może majątku, były jednak coraz bardziej doceniane. Musiał pisać i pisał bez przerwy. „Murzyn z załogi »Narcyza«", „Opowieści niepokojące", „Lord Jim", „Młodość. Jądro ciemności. U kresu sił", „Nostromo", „Zwierciadło morza", „Tajny agent"... Kolejne tomy ukazywał się co rok, co dwa, ale nie czuło się w nich pisania „na czas" – przeciwnie, każda książka była coraz lepsza, coraz bardziej wysmakowana stylistycznie i obezwładniająca przede wszystkim ładunkiem intelektualnym – głębokimi i opisanymi wybornym stylem studiami ludzkich małości w sytuacjach i zwykłych, i ekstremalnych, w dodatku z atrakcyjnym, egzotyczno-awanturniczym tłem.

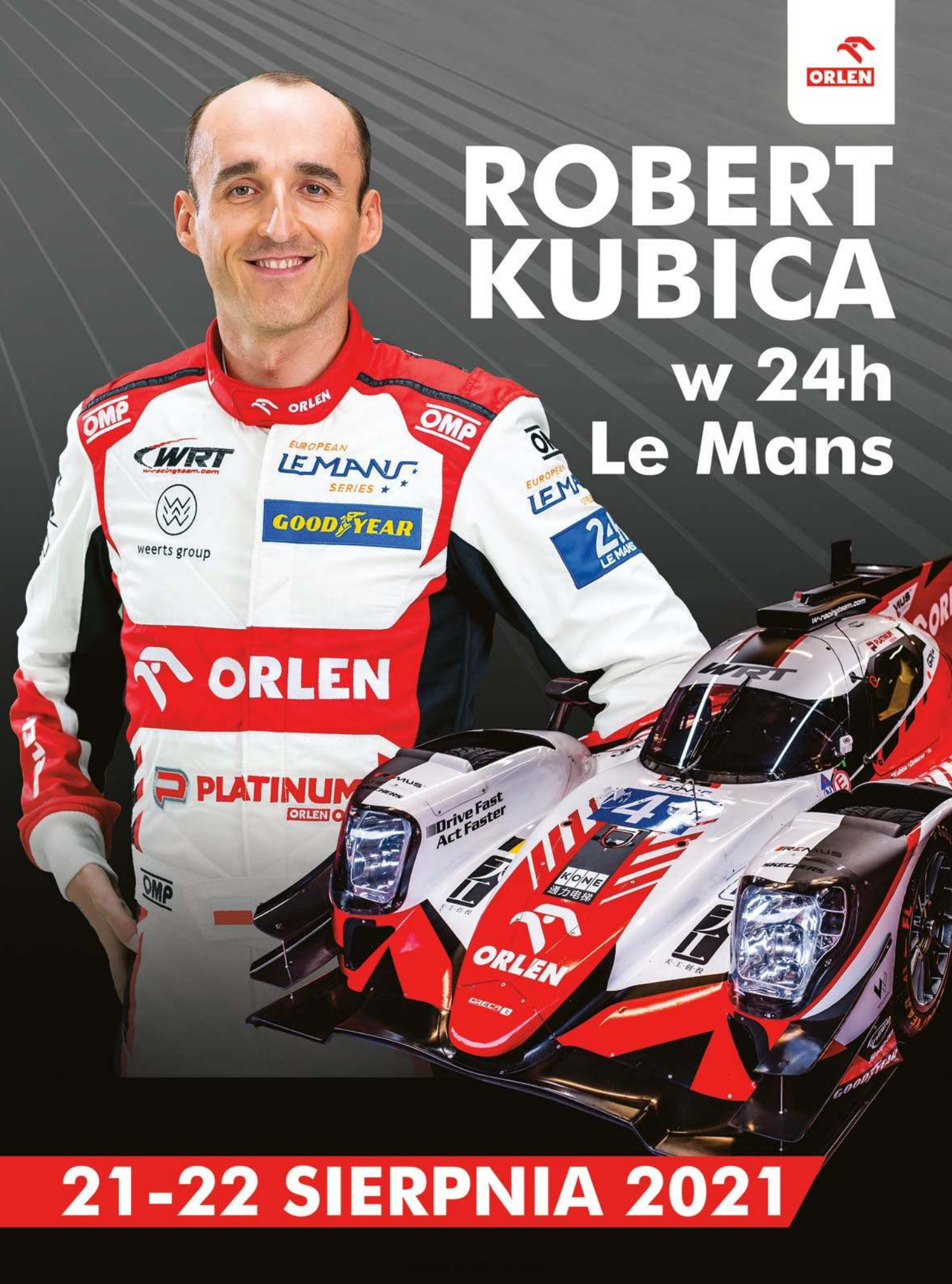
Na pieniądze to się jednak nie przekładało – te przyszły dopiero po 15 latach pisarskiej aktywności, i to z dość nieoczekiwanej strony. Finansowy sukces Josephowi Conradowi – ten słynny dziś pseudonim przyjął w 1894 r. – przyniosła opublikowana w 1913 r. powieść „Chance" (polskie tłumaczenia tytułu były różne, najpopularniejsze to „Gry losu"), która tak naprawdę nie należy dziś do ścisłego, conradowskiego kanonu. Wówczas był już jednak literacką osobowością o dużym dorobku, znacznym wpływie na pisarzy młodszego pokolenia, generalnie – żywym klasykiem. Dość wspomnieć, że król Jerzy V postanowił przyznać Korzeniowskiemu tytuł szlachecki w uznaniu jego zasług. Z jakichś powodów pisarz jednak odmówił, choć Anglia była jego drugą ojczyzną przez większość życia. Stało się to w 1924 r. – kilka tygodni później Joseph Conrad zmarł na zawał serca.

Wojciech Lada

Fot. State Library of South Australia

Reklama | 54/0121/F

eprasa.pl 3c57561b6e


ORLEN
ROBERT
KUBICA
w 24h
Le Mans
ORLEN
OMP
WRT
EUROPEAN
LE MANS
SERIES
GOODYEAR
weerts group
PLATINUM
Drive Fast
Act Faster
21-22 SIERPNIA 2021

Był jednym z najlepszych żołnierzy, jacy kiedykolwiek trafili się Rzeczypospolitej. Zbieg okoliczności sprawił jednak, że Krzysztof Arciszewski stał się pionierem i klasykiem etnografii – jednym z pierwszych badaczy kultur Ameryki Łacińskiej



Polski konkwistador

Miał koło trzydziestki, gdy został mordercą. Był co prawda początek lat 20. XVII w., polska szlachta zasadniczo wykazywała się wówczas sporą łatwością w sięganiu po szable i mało kto nie miał choć odrobiny krwi na rękach. Arciszewski jednak wraz z bratem dokonali klasycznego planowego zabójstwa – a to już aż tak powszechne nie było. Tym bardziej że była to zbrodnia bardzo brutalna. Najpierw Kasprowi Jaruzelowi Brzeźnickiemu zarzucono na szyję pętlę i powleczono na szafot, następnie do błagającego o litość szlachcica wypalono z rusznicy, a następnie, wciąż żywemu, poderżnięto gardło i obcięto język. Zwłoki porzucono.

I w niczym nie pomogło tłumaczenie, że Brzeźnicki zasłużył sobie na swój los, bo jego prawno-finansowe przekręty doprowadziły rodzinę Arciszewskich na skraj ubóstwa – Arciszewskiemu zasądzono infamię oraz banicję. W przededniu licznych wojen, jakie w XVII w. toczyć będzie Polska, był to spory błąd – był wówczas doskonałym żołnierzem, a wkrótce miał się stać wręcz artystą wojny. Ale już pod innym berłem i na zupełnie innym kontynencie.

Na wojnie i pod morzem

Tak naprawdę to z jego talentów doskonale zdawano sobie sprawę. Tuż przed zabójstwem zdążył wziąć udział w wyprawie hetmana Krzysztofa Radziwiłła na Inflanty, gdzie wykazał się jednocześnie brawurą i niemałym polotem w dowodzeniu. Radziwiłł zresztą nie tracił najwyraźniej nadziei, że jego zdolny protegowany wróci jednak do kraju, skoro opłacił mu studia w dziedzinie inżynierii wojskowej, artylerii i nawigacji na uczelniach Holandii. Naukę kontynuował później we Francji, co uczyniło go jednym z najlepiej wykształconych artylerzystów tamtych czasów. Był zresztą urodzonym żołnierzem. Skoro nadarzyła się okazja wziął udział w wojnie trzydziestoletniej, i to – choć był wyznania kalwińskiego – po obu stronach tego konfliktu. Nie był chyba też przywiązany do konkretnej korony. Czuł się raczej poddanym Radziwiłła, bo utrzymywał z nim nieustający kontakt, otrzymywał od niego pieniądze, a przy okazji pełnił dla niego funkcje trochę dyplomatyczne, a trochę szpiegowskie na europejskich dworach.

Nawiasem mówiąc, to właśnie korespondencji z Radziwiłłem zawdzięczamy dość tajemniczy opis jego przygody z... nurkowaniem. Nie mamy dziś pewności, ile w całej tej historii prawdy, ale podobno gdzieś w przerwach między kolejnymi bitwami Arciszewski znalazł czas na podwodny spacer po dnie Morza Północnego w specjalnie skonstruowanym kombinezonie. Skąd taki wynalazek w pierwszej połowie XVII w.? W jakich okolicznościach trafił w ręce Arciszewskiego? Nie wiemy. Gdyby jednak podwodna przygoda polskiego szlachcica została potwierdzona, byłby on zapewne pierwszym nurkiem w dziejach ludzkości – 200 lat przed fantastycznymi snami Juliusza Verne'a.

Rozsądniej jednak trzymać się faktów. Te zaś wyglądały tak, że w 1629 r. zaciągnął się do holenderskiej Kompanii Zachodnioindyjskiej i w stopniu kapitana wyruszył do Brazylii, by po pierwsze – podbijać Amerykę, po drugie zaś – wyrugować z niej Portugalczyków. Kiedy wsiadał na statek, z pewnością nie zdawał sobie sprawy, że płynie po to, by Amerykę tę w równym stopniu masakrować, co i odkrywać.

Czuły barbarzyńca

Jeśli określenie „czuły barbarzyńca" odnosi się do kogoś w stopniu doskonałym, to właśnie do Arciszewskiego. Na

Fot. Polona.pl

eprasa.pl 3c57561b6e

polach bitew dokonywał cudów, zdobywając kolejne portugalskie twierdze i błyskawicznie awansując do stopnia majora. Kiedy po wygaśnięciu trzyletniego kontraktu powrócił do Holandii, niemal natychmiast awansowano go na pułkownika i wysłano z powrotem za ocean – tym razem już jako zastępcę naczelnego wodza. Jego kariera była błyskawiczna. W 1637 r. był już generałem i przy okazji wicegubernatorem holenderskiej Brazylii – a więc prawdopodobnie najwyższym urzędnikiem polskiego pochodzenia w dziejach obu Ameryk.

Nie miał oporów. Z równą łatwością i brutalnością, z jaką zabijał Brzeźnickiego, potrafił podczas bitew masakrować i Portugalczyków, i sprzyjających im Indian z lokalnych plemion. Nie ma sensu go wybielać – był po prostu najemnikiem. Z pewnością jednak nie był najemnikiem bezmyślnym. Wykonywał rozkazy, sam również je wydawał – ale już na początku kontraktu określił go jako „parszywy", później zaś z równą energią, z jaką toczył bitwy, zajmował się opisywaniem życia brazylijskich autochtonów. „Dobrze poznać zwyczaje wroga, zanim się go zmasakruje" – jak z ponurą, ale piekielnie celną ironią pokazywali ten typ mentalności autorzy komiksów o „Asteriksie i Obeliksie".

Ale Arciszewski z roku na rok był coraz bardziej zafascynowany Indianami. Rozmawiał z nimi, badał ich zwyczaje i opisywał. I to coraz bardziej wnikliwie. Kanibalizm na przykład, który dla przeciętnego Europejczyka wydawał się czystym barbarzyństwem, Arciszewskiego zafascynował na tyle, że wprowadził jego klasyfikację, ułatwiającą zrozumienie jego rytualnego sensu. Zauważył na przykład, że czymś zupełnie innym było zjedzenie serca bądź mózgu pokonanego wroga, a czymś innym podzielenie się ciałem współplemieńca. Jedno – próbą przejęcia jego mocy, drugie – okazaniem szacunku i zapewnieniem pośmiertnego życia w ciałach krewnych. U Tapujów obserwował następujący rytuał:

„Krewni umyli trupa, wydobyli jego wnętrzności i oczyścili je z rozkładających się pokarmów, inne części ciała nieczyste też starannie obmyli, włosy zacięcie i paznokcie poobcinali, a obcięte starannie zebrali. Następnie posiekali ciało na drobne części, nie brzydząc się żadnej, nawet genitaliów, wszystko to bowiem usmażyli na ogniu, ze szczególną starannością zbierając do naczyń tłuszcz i sos ściekający kroplami po pieczeniu".

Czytając to, trudno uniknąć skrzywienia się, ale po pierwsze Arciszewski najemnik był przyzwyczajony do krwawych widoków, po drugie zaś – nie może nie fascynować to, że jako jeden z pierwszych białych ludzi usiłował zrozumieć te zachowania, dostrzec w nich bardzo pierwotną wizję świata, która zaledwie kilkaset lat wcześniej była powszechna także wśród plemion europejskich. Inaczej mówiąc – w Indianach widział nie tyle dzicz, ile własne korzenie. To właśnie czyniło z niego pioniera nieistniejącej przecież wówczas etnografii. I to bardzo bystrego, bo notował też zmiany, jakie zachodzą w tych pierwotnych kulturach w zetknięciu z białymi. Choćby w kwestii nagości:

Jego kariera była błyskawiczna. W 1637 r. był już generałem i przy okazji wicegubernatorem holenderskiej Brazylii – a więc prawdopodobnie najwyższym urzędnikiem polskiego pochodzenia w dziejach obu Ameryk

„Plemię to obwiązywało napletek skrawkiem jedwabiu bądź włóknem trzcinowym, czy z innej jakiejś materii, aby główka członka nie wystawała szpetnie, czego szczególnie pilnie się wystrzegali. Oczywiście jedwab pojawił się dopiero wraz z białym człowiekiem" – zapisał. Był świadomy wagi własnych odkryć i opisów, bo bojąc się o ich los w bitewnym zamieszaniu, wysłał je do Holandii. Tam wzbudziły spore zainteresowanie, w 1642 r. ukazało się nawet dzieło Gerarda Vossiusa „De theologia gentili et physiologia christiana sive de origine et progressu idolatriae" pełne cytatów z Arciszewskiego. Ale to nie były jeszcze czasy oświecenia, kiedy zaczęto powszechnie doceniać kultury pierwotne, a dzięki Janowi Jakubowi Rousseau upowszechnił się wręcz mit „dobrego dzikusa". Notatki Arciszewskiego popadły w zapomnienie, by znaleźć uznanie badaczy dopiero dobre 200 lat później. W Polsce okresu dwudziestolecia na tyle zapładniał wyobraźnię, że na temat jego, jego przygód i odkryć powstały co najmniej dwie powieści.

Tymczasem on sam miał dość Holandii i Holendrów, personalnych przepychanek, a chyba też brutalnego podboju Ameryki. W 1646 r. wrócił do Polski. W uznaniu jego zasług władze holenderskie wystawiły mu kamienny obelisk w zdobytym przez niego Pernambuco.

Spalony potopem

W latach 40. XVII w. był już w bardzo poważnym jak na owe czasy wieku, dawno przekroczył bowiem pięćdziesiątkę, a życie spędzone na polach bitew dodatkowo powiększało biologiczne zużycie organizmu. Ale jego wiedzy i doświadczenia nie dało się zignorować. Król Władysław IV mianował go „starszym nad armatą koronną", do której to „armaty" wprowadził wiele najnowocześniejszych rozwiązań. Zastosował je zresztą podczas walk przeciw powstaniu Chmielnickiego. Dowodził obroną Lwowa, walczył pod Piławcami, uczestniczył w odsieczy Zbaraża. Był chyba jednak człowiekiem o ambicjach mających podstawy, ale przesadnych. Tak jak jego służbę Holandii zakończyły kilka lat wcześniej nieporozumienia personalne, tak też w Polsce doszło wkrótce do konfliktu z generalissimusem Ossolińskim. Dobiegający sześćdziesiątki Arciszewski w 1650 r. zrezygnował ze służby i osiadł w rodzinnym majątku na Pomorzu.

Co wówczas robił? Można się tylko domyślać. Być może usiłował uporządkować swoją wiedzę etnograficzną o Ameryce. Nie miał jednak na to zbyt wiele czasu. Zmarł w 1656 r. Wojna upomniała się jednak o niego nawet po śmierci. Kościół, w którym spoczywały jego zwłoki, został spalony podczas potopu szwedzkiego.

Wojciech Lada

eprasa.pl 3c57561b6e

Wśród Indian i Eskimosów

Urodził się na Dzikim Zachodzie w rodzinie polskich emigrantów. Nawet bardzo dzikim, bo okolice Salem w Oregonie, gdzie dorastał, były w połowie XIX w. scenerią iście westernową. Młody Fryderyk Schwatka, a właściwie Frederick, nie miał jednak duszy kowboja. Zamiast wzorem rówieśników trudnić się przeganianiem bydła, piciem i pojedynkami, zajął się nauką

Studiował prawo i medycynę, a ukończenie słynnej uczelni West Point zapewniło mu szlify oficerskie. Takie wykształcenie w zasadzie ustawiało mu życie i prawdopodobnie mógłby je przeżyć spokojnie i dostatnio. Ale ciągnęło go w świat.

Jego wyobraźnię rozpalała Arktyka. Kiedy był chłopcem, wyruszały w tym kierunku różne ekspedycje, czasem kończące się tragicznie. Szeroko rozpisywała się o nich prasa. Jedną z nich była wyprawa Johna Franklina, który wyruszył na północ w 1845 r. i wkrótce słuch po nim zaginął. Był postacią bardzo znaną, rząd angielski wyznaczył więc zawrotną kwotę 20 tys. funtów za odnalezienie badacza – była to fortuna, która skłoniła różnych awanturników do podjęcia łącznie 50 wypraw w celu znalezienia choćby jego szczątków.

Wszystko to działo się na dwa lata przez narodzinami Schwatki w 1849 r. Franklin, gdyby nawet jakimś cudem przeżył w lodach Arktyki, w 1878 r. byłby już zapewne martwy ze starości. A jednak Schwatka w tym właśnie roku namówił National Geographic Society na sfinansowanie kolejnej ekspedycji, ogłosił się jej kierownikiem i na czele niewielkiej grupy zupełnych amatorów ruszył śladami Franklina. I dokonał cudów. „Zbadał dokładnie całe zachodnie wybrzeże Wyspy Króla Williama, odnajdując różne szczątki wyprawy Franklina, m.in. resztki szalupy, odzieży, kilka mogił i luźno leżące kości ludzkie. Dalej posuwał się aż do ujścia Coppermine. Żył wśród Eskimosów, słuchał ich opowieści i w rezultacie udało mu się odtworzyć tragiczny koniec wyprawy Franklina" – pisał Ryszard Wiktor Schramm z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza.

Sukces arktycznej ekspedycji Schwatki zapewnił mu rozgłos, ale nie to było najważniejsze. Schwatka już wcześniej wykazywał zainteresowanie autochtonicznymi plemionami – widział w nich społeczności w stopniu doskonałym dostosowane do warunków, w których żyły. Instynkt żołnierza podpowiadał mu więc, że podpatrywanie ich będzie najlepszym sposobem na przetrwanie.

Nie znamy wielu szczegółów jego biografii, wiadomo jednak, że już kilka lat przed wyprawą do Arktyki podpatrywał w ten sposób Indian, których zapewne znał od dziecka. W 1875 r. ukazał się jego artykuł dotyczący rytualnego tańca słońca Siuksów. Pisał w nim: „Biały człowiek ma niewielką szansę uzyskania zgody na obejrzenie tego obrzędu w całości. W osobach wodza Cętkowanego Ogona i Stojącego Łosia, głównego wojownika, miałem jednak bliskich przyjaciół i obietnica, że będę mógł obejrzeć obrzęd, powoli obejmowała coraz więcej jego szczegółów, aż w końcu pozwolono mi uczestniczyć w obrzędzie od początku do końca".

I tak właśnie działał Schwatka, w zasadzie stwarzając podwaliny dzisiejszego survivalu. Poznawał pierwotne sposoby okiełznywania natury i wcielał je w życie. Z wielkim zresztą powodzeniem. Kiedy pięć lat później wyruszał na kolejną wyprawę – tym razem misję ewidentnie szpiegowską, zleconą i sfinansowaną zresztą przez armię USA – do Yukonu, odniósł kolejny sukces i pobił kolejny rekord. Poszukując śladów Franklina, pokonał ponad 5 tys. km. Tym razem ponad 2 tys. km przemierzył, spływając na sporządzonej autochtonicznym sposobem tratwie, co było największą tego typu wyprawą tamtych czasów – bo przy okazji zbadał geografię, etnografię, hydrografię tego całkowicie dzikiego wówczas terenu, i to jako pierwszy biały człowiek – co doceniono, nazywając tamtejsze jezioro Schwatka Lake i jedną z gór Schwatka Mount.



Były to początki survivalu i miały swoje niedoskonałości. Po Yukonie Schwatka zrealizował jeszcze pięć wypraw – część w mroźne klimaty globu, ale też trzy na południe – do północnego Meksyku. Wszędzie tam poznawał plemienne zwyczaje, usiłując dostosować je do potrzeb białego człowieka. Wydał też kilka bardzo wówczas poczytnych książek o swoich wyprawach.

Zmarł, mając zaledwie 43 lata. Nie umiano, a nawet nie znano wówczas chorób panujących w egzotycznych częściach świata. Nie wiemy więc również, co konkretnie dolegało Schwatce. Musiało być to jednak bolesne, przyczyną śmierci było bowiem przedawkowanie środków przeciwbólowych.

Wojciech Lada

Fot. bnf.fr

eprasa.pl 3c57561b6e



NIEZWYKŁE MUZEUM II Wojny Światowej i Westerplatte

- ***Zaproszenie na wyjątkową wystawę***
- ***Historia legendarnego „boksera z Auschwitz”***
- ***To trzeba zobaczyć – koncert „Artyści na barykadach”***

Szanowni Państwo,

z wielką radością obserwujemy rosnące z każdym dniem zainteresowanie ofertą Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Państwa obecność na wystawie głównej oraz wystawach czasowych, w Kinie Muzeum czy na wakacyjnych półkoloniach dla najmłodszych pokazuje, jak ważna jest pamięć o przeszłości i rzetelna wiedza podana w przystępny i atrakcyjny sposób. Cieszy nas bardzo, że tak licznie z muzealnych propozycji korzystają dzieci i młodzież, które dzięki prezentowanej przez nas opowieści o doświadczeniu II wojny światowej kształtują swoją tożsamość, rozwijają zainteresowania i inspirują rówieśników do wychodzenia poza schemat klasycznej edukacji. To właśnie z myślą o ludziach młodych, z szacunku dla ich wrażliwości, pomysłowości oraz energii stworzyliśmy w 2020 r. Młodzieżową Radę Muzeum II Wojny Światowej. Ideą jej powstania było nie tylko pełnienie funkcji konsultacyjnej w stosunku do muzeum, lecz przede wszystkim rozpowszechnianie wiedzy historycznej oraz promowanie wśród młodzieży uczestnictwa w kulturze oraz w życiu publicznym. Wymiernym efektem zaangażowania Młodzieżowej Rady MIIWŚ jest ogłoszony przez nią w lipcu tego roku konkurs #Obrońcy-Niepodległej, którego szczegóły odnaleźć można na stronie muzeum1939.pl. Do 11 października br. uczniowie szkół podstawowych i średnich mogą wysyłać prace plastyczne przygotowywane w różnych technikach, a najciekawsze z nich zostaną nagrodzone.

Wakacyjny czas sprzyja poznawaniu historii w plenerze. Chcąc połączyć nowoczesną przestrzeń muzeum z zabytkowym terenem pola bitwy na Westerplatte, uruchomiliśmy połączenie busem, umożliwiające dostanie się na półwysep w niespełna 20 min. Wizyta w tym symbolicznym miejscu może stanowić uzupełnienie wiedzy o początku II wojny światowej i przybliżyć realizowaną przez Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku inwestycję budowy Muzeum Westerplatte i Wojny 1939.

Najbliższe tygodnie to także kolejne ciekawe wydarzenia organizowane z okazji ważnych rocznic, mówiące o znakomitych postaciach z naszej historii. Już 1 sierpnia tego roku na deskach sali konferencyjnej im. Jana Olszewskiego Muzeum II Wojny Światowej wspólnie z Fundacją Retro im. Mieczysława Fogga zaprezentuje koncert „Artyści na barykadach”. Wydarzenie to będzie hołdem dla najznakomitszych artystów biorących udział w Powstaniu Warszawskim, którzy swoją twórczością muzyczną podtrzymywali na duchu powstańców i mieszkańców okupowanej stolicy. Połączenie artyzmu i wrażliwości z doświadczeniem tragedii wojny jest widoczne także na wystawie „Tadeusz Pietrzykowski – wojownik o duszy artysty”. Ta niezwykła ekspozycja, której poświęcony jest tekst dr. Janusza Janowskiego, zmieszczony na łamach aktualnego wydania, otwarta jest do zwiedzania (bezpłatnego) do końca sierpnia tego roku.

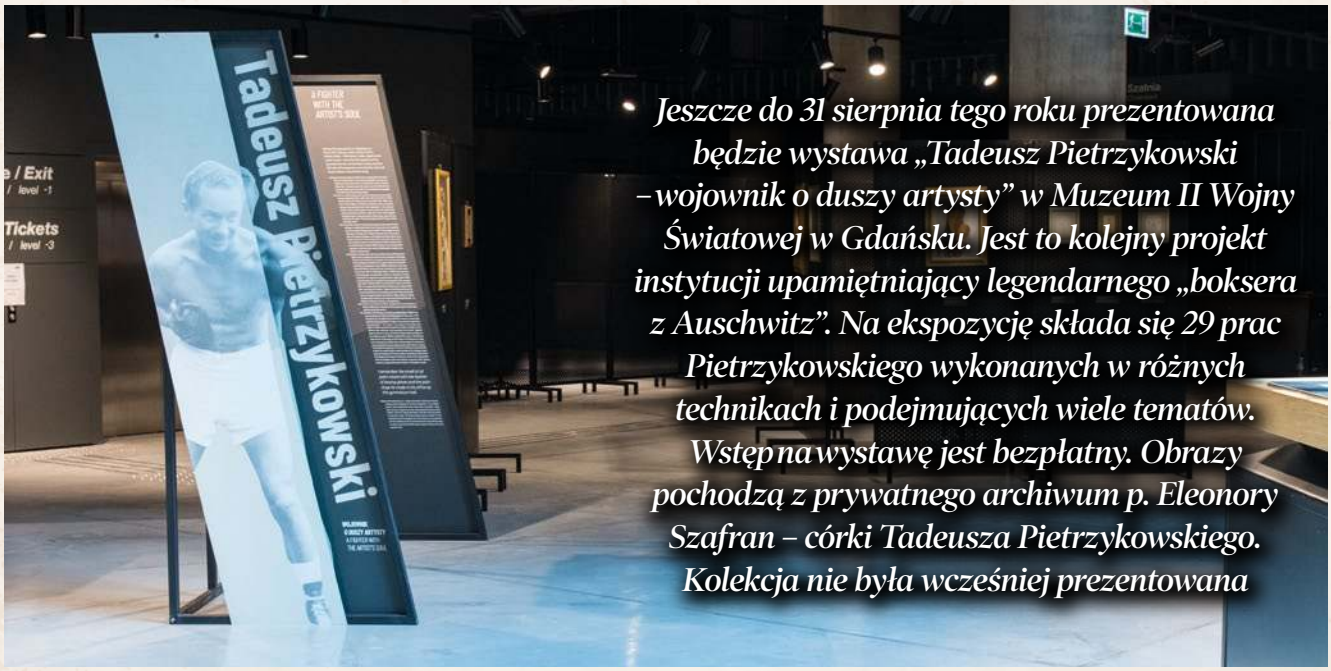
Zapraszam Państwa bardzo serdecznie do śledzenia działań MIIWŚ w mediach społecznościowych i przede wszystkim do odwiedzin gdańskiej placówki, a także uczestnictwa w organizowanych przez nas wydarzeniach.

dr Karol Nawrocki
dyrektor Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku



Fot. Andrzej Wiktor

Tadeusz Pietrzykowski – wojownik o duszy artysty



Jeszcze do 31 sierpnia tego roku prezentowana będzie wystawa „Tadeusz Pietrzykowski – wojownik o duszy artysty" w Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Jest to kolejny projekt instytucji upamiętniający legendarnego „boksera z Auschwitz". Na ekspozycję składa się 29 prac Pietrzykowskiego wykonanych w różnych technikach i podejmujących wiele tematów. Wstęp na wystawę jest bezpłatny. Obrazy pochodzą z prywatnego archiwum p. Eleonory Szafran – córki Tadeusza Pietrzykowskiego. Kolekcja nie była wcześniej prezentowana

Tadeusz „Teddy" Pietrzykowski przeszedł do historii przede wszystkim jako bokser toczący pojedynki w niemieckim obozie koncentracyjnym Auschwitz-Birkenau, do którego trafił jako jeden z pierwszych więźniów o numerze obozowym 77. Podczas pobytu w obozie miał bliski kontakt z rtm. Witoldem Pileckim, czego ukoronowaniem było wstąpienie do założonego przez Pileckiego Związku Organizacji Wojskowej. Kilkakrotnie spotkał się także z ojcem Maksymilianem Kolbem, który podkreślał znaczenie hamowania emocji i agresji dla właściwego kształtowania swojego charakteru. Po wojnie Pietrzykowski ukończył Akademię Wychowania Fizycznego w Warszawie i poświęcił się pracy nauczyciela wychowania fizycznego oraz trenera.

Ta garść informacji o Tadeuszu Pietrzykowskim jest powszechna i standardowa, mało kto wie jednak, że ten legendarny bokser z Auschwitz miał także inny niezwykły talent, zaskakująco różny od tego, na którym poznali się nawet niemieccy naziści w czasach wojny. Któż mógłby przypuszczać, że dusza tego wielkiego wojownika była tak subtelna, że zanim wybuchła wojna, swoje życie zamierzał poświęcić sztuce. Od dzieciństwa przejawiał szczególne zdolności plastyczne. W 1939 r., tuż przed wybuchem II wojny światowej, złożył swoje prace – jak wspomina córka Eleonora – na Wydział Architektury Politechniki Warszawskiej. Niestety, wybuch wojny dramatycznie przekreślił plany młodego wówczas Pietrzykowskiego dotyczące poświęcenia się zawodowo architekturze i sztuce. Tej drugiej pozostał jednak wierny do końca życia, chętnie malując portrety najbliższych, pejzaże, Madonny czy konie w rozmaitych formułach tematycznych. Hojnie obdarowywał tymi pracami bliższą i dalszą rodzinę oraz przyjaciół. W konsekwencji do dziś w domu rodzinnym Pietrzykowskich w Bielsku-Białej pozostało ponad 50 prac, głównie rysunków i szkiców, ale także kilkanaście obrazów olejnych o różnej tematyce malowanych zazwyczaj na tekturze.

Pośród tego zbioru szczególną wartość artystyczną prezentuje zaledwie kilka prac, pozostałe stanowią niezaprzeczalny dowód talentu artystycznego, który jedynie w niewielkiej części został wykorzystany. Brak systematycznej edukacji zawodowej niewątpliwie utrudnił Pietrzykowskiemu ukazanie pełni artystycznych możliwości i wrażliwości, nie przekreślił jednak jego pasji i potrzeby samorealizacji poprzez malarstwo. Należy się z tego cieszyć, pozostawił bowiem po sobie ślad artystyczny wart uwagi, już choćby ze względu na kilka prac, dopełniając jednocześnie głębi wyrazu swojej osoby

eprasa.pl 3c57561b6e

jako człowieka niezwykłego, obdarzonego szczególnymi i jednocześnie zaskakująco różnymi talentami.

Do najciekawszych prac prezentowanych na wystawie Tadeusza Pietrzykowskiego w Muzeum II Wojny Światowej należą przede wszystkim dwa niewielkie rozmiarami dzieła wykonane w technice akwareli, trudnej i wymagającej wielkiego doświadczenia. Pierwsze nosi tytuł „Madonna", drugie – „Madonna z aniołami". Oba zostały wykonane w roku wybuchu II wojny światowej, a zatem w okresie przygotowań oraz egzaminów na ASP, być może więc stanowiły prace prezentowane przed komisją egzaminacyjną. Niezależnie od okoliczności i powodów ich realizacji oba obrazy zdradzają wyjątkową biegłość manualną, wrażliwość na kolor i formę. Obie akwarele pełne są niezwykłej subtelności i delikatności, odsłaniając bogactwo osobowości autora. W zestawie prac znajduje się jeszcze jeden wizerunek Madonny z dzieciątkiem, który został namalowany w 1946 r., tuż po zakończonej wojnie – nosi tytuł „Matka Boska Obozowa".

Wśród prac zgromadzonych na wystawie znajdują się także trzy górskie pejzaże namalowane w latach 60. Ich dopełnieniem jest zręcznie namalowany w technice akwareli zjeżdżający na nartach zawodnik pt. „Narciarz – Zakopane". Świetne wyczucie ruchu, swoboda i lekkość opisu poszczególnych partii sylwetki narciarza pozwalają docenić umiejętności malarskie autora, ale i doskonałą znajomość techniki ruchu sportowego.

Absolutnie wyjątkowa w tym zakresie jest namalowana w 1959 r. akwarela zatytułowana „Bokserzy w ringu". To niezwykła praca, pełna doskonale oddanej dynamiki centralnego momentu dramatu walki bokserskiej, czyli zadania przez jednego z bokserów rozstrzygającego ciosu nokautującego. Ogromna dynamika została przez malarza umiejętnie zaakcentowana nie tylko poprzez przedstawienie kluczowego momentu dramaturgii walki, lecz także poprzez kompozycyjne rozwiązanie oparte na liniach diagonalnych. Świetne wyczucie momentu kulminacyjnego łączy się w tej pracy z doskonałym zrozumieniem ludzkiej anatomii, przede wszystkim w aspekcie mechaniki ruchu. Ta niezwykła lekkość opisu sceny tak szczególnie wymagającej pod względem ukazania ruchu pozwala dostrzec wielkie znawstwo w tym względzie Tadeusza Pietrzykowskiego, słynnego mistrza bokserskiego, ale i sprawnego ilustratora oraz zręcznego malarza. Wszystkie te elementy czynią z tego obrazu dzieło bardzo szczególne i artystycznie wartościowe.



Poza innymi tematycznie obrazami, jak „Portret Marii", żony autora, wizerunkami koni, które Pietrzykowski bardzo lubił malować, oraz subtelnymi pejzażami w prezentowanym zestawie jest także kopia znanego obrazu Wojciecha Kossaka „Orlęta Lwowskie – bitwa o cmentarz z roku 1920", namalowana przez Tadeusza Pietrzykowskiego w latach 80. To rzetelna praca, mająca cechy swobodnej szkolnej kopii, służącej wypracowaniu biegłości warsztatowej. Zestawienie jej z pracą oryginalną ukazuje z jednej strony staranność, lecz nie pedanterię w odwzorowaniu pierwowzoru, ale też wszystkie różnice jakości i sprawności malarskiej między słynnym polskim batalistą a malarzem, który zasłynął jako bokser.

Tego dystansu jakości artystycznej między pracą Tadeusza Pietrzykowskiego a profesjonalnymi realizacjami w gatunku malarstwa pejzażowego nie widać w jego wdzięcznym pejzażu niewielkich rozmiarów z lat 70., zatytułowanym „Kościółek w zimowej szacie, pejzaż". To jedna z najlepszych prac, jaka znajduje się na wystawie, sumująca wieloletnie malarskie doświadczenie autora. Swobodny, lecz zdyscyplinowany rysunek, pewne modelujące plamy i nonszalanckie uderzenia pędzla, świetne wyczucie struktury malatury i gęstości nakładanej farby w kreowaniu walorów zmysłowo-malarskich i wzmaganiu siły wyrazu potwierdzają artystyczną dojrzałość Pietrzykowskiego i jego malarski profesjonalizm.

Obok urzekających wizerunków Madonn i wspaniałych przedstawień sportowych ten niewielki pejzaż pozwala traktować malarski dorobek Tadeusza Pietrzykowskiego z należnym szacunkiem dla jego autentycznego talentu malarskiego, który mógłby się niewątpliwie bujnie rozwinąć, gdyby nie nagły wybuch wojny, drastycznie odbierający mu szansę na spełnienie marzeń o poświęceniu swojego życia architekturze i malarstwu. Światu polskiej sztuki pozostały ślady malarskiego talentu Pietrzykowskiego, świat polskiego sportu zyskał natomiast legendę polskiego boksera z Auschwitz-Birkenau, który pięściami wywalczył sobie przetrwanie II wojny światowej. Tak czy inaczej w niezwykłym życiu Tadeusza Pietrzykowskiego ujawnia się wielki dramat wojny, a w jego osobie potęga siły duchowej człowieka, który przechodząc prawdziwe piekło doczesności, potrafił ocalić w sobie to, co najdelikatniejsze i najszlachetniejsze.

dr Janusz Janowski

Artyści na barykadach

Komendant główny Armii Krajowej gen. Tadeusz Komorowski „Bór” 31 lipca 1944 r. wydał dowódcy Okręgu AK Warszawa płk. Antoniemu Chruścielowi „Monterowi” rozkaz o rozpoczęciu zbrojnej walki z Niemcami w Warszawie.

Choć do pierwszych powstańczych walk z Niemcami doszło 1 sierpnia już ok. godz.14.00 na Woli, a w Śródmieściu Północ ok. 16.00, to oficjalny rozkaz wybrzmiał dopiero o godz. 17.00. O godzinie „W” – oficjalnie – wybuchło Powstanie Warszawskie.

„Polacy! Od dawna oczekiwana godzina wybiła. Oddziały Armii Krajowej walczą z najeźdźcą niemieckim we wszystkich punktach Okręgu Stołecznego” – napisano w pierwszej powstańczej odezwie, rozklejonej na ulicach stolicy.

Siły Armii Krajowej liczyły 40–45 tys. żołnierzy, zorganizowanych w ośmiu obwodach podległych Komendzie Okręgu Warszawskiego AK (Śródmieście, Żoliborz, Wola, Ochota, Mokotów, Praga, Powiat i Okęcie) oraz w oddziałach wydzielonych. Powstańcy dysponowali ok. 2,5 tys. pistoletów, 1475 karabinami, 420 pistoletami maszynowymi, 94 ręcznymi karabinami maszynowymi, 20 ciężkimi karabinami maszynowymi.

Wśród walczących mieszkańców Warszawy nie zabrakło młodych poetów i artystów. Swoje życie na ołtarzu ukochanej ojczyzny złożyli Krzysztof Kamil Baczyński, Tadeusz Gajcy, Zdzisław Stroiński czy Krystyna Krahelska. Większość z nich miała niewiele ponad 20 lat, należeli do pokolenia Kolumbów, które w 1939 r. zdawało maturę.

Nie zabrakło także starszych artystów, dość wspomnieć choćby Hannę Brzezińską, Mirę Zimińską czy Mieczysława Fogga. Koncert „Artyści na barykadach”, który rozpocznie się dokładnie o godz. 17.00 1 sierpnia 2021 r., będzie swoistym hołdem dla wszystkich artystów, którzy walczyli w Powstaniu Warszawskim.

Narrację koncertu, organizowanego w sali konferencyjnej MIIWŚ im. Jana Olszewskiego, poprowadzi prawnuk Mieczysława Fogga Michał Fogg, popularyzator jego twórczości, od lat dzielący się historią, pamiątkami i wspomnieniami po pradziadku. W trakcie spotkania zaprezentowane zostaną prywatne zdjęcia artysty wzbogacone opowieściami przekazywanymi w rodzinie z pokolenia na pokolenie.

Specjalnie na to wydarzenie zostaną zaaranżowane utwory artystów okresu międzywojennego, którzy mieli bardzo ważną misję podczas Powstania Warszawskiego – podtrzymywanie na duchu powstańców i mieszkańców Warszawy, a robili to najlepiej, jak potrafili – poprzez muzykę.

Koncert będzie się składał z czterech części, w pierwszej usłyszymy kwartet smyczkowy z wokalistą, który wykona dwa utwory klasyczne. W kolejnej części czteroosobowy chór męski zaprezentuje „Nie mogę żyć bez Ciebie” z repertuaru Chóru Dana, z muzyką Władysława Daniłowskiego i słowami Juliana Tuwima, i „Jesienne róże” z repertuaru Chóru Dana, muz. Artur Gold, sł. Andrzej Własty.

W kolejnej, trzeciej, części koncertu usłyszymy wokalistkę z chórem męskim z utworem „Nie ma szczęścia bez miłości” z repertuaru z Hanny Brzezińskiej, muz. Władysław Szpilman, sł. Henryk Szpilman, i „Mam chłopczyka na Kopernika” z repertuaru Miry Zimińskiej, muz. Jerzy Boczkowski, sł. Julian Tuwim.

Ostatnia, czwarta, część przypomni repertuar Mieczysława Fogga. W wykonaniu znakomitych solistów usłyszymy wszystkie największe przeboje mistrza polskiej piosenki.

Koncert, który organizuje gdańskie Muzeum II Wojny Światowej, będzie hołdem dla wszystkich artystów, którzy w czasie wielkiej próby odłożyli na chwilę swoje lutnie i chwycili za broń. Ale będzie też muzyczną ucztą, prawdziwym świętem wolności, które urzeczywistni się także dlatego, że nasi wielcy rodacy mieli odwagę przeciwstawić się złu i walczyć o naszą bezpieczną i wolną Polskę. Spotkajmy się dzięki nim i dla nich.

Piotr Lempa, Katarzyna Nowosad, Marcin Pomykała, Kamil Pękała, Michał Krężlewski, a także artyści operowi: Przemysław Trzeszczotka, Krzysztof Szwarc, Barbara Misiewicz i Michał Rożek uświetnią swoją obecnością koncert „Artyści na barykadach”, który 1 sierpnia 2021 r. zorganizuje Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, przy współpracy z Fundacją Retro im. Mieczysława Fogga



eprasa.pl 3c57561b6e



O bohaterce serialu „Rojst '97" Magdalena Różczka mówi, że to najdalsza od niej i zarazem najciekawsza postać, jaką przyszło jej zagrać. Dlaczego rola sierżant Anny Jass stała się dla aktorki wyzwaniem

Z dala od siebie

Fot. Gałązka/AKPA

eprasa.pl 3c57561b6e



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Anna Jass jest kolejną – po 17 latach od premiery „Oficera" – policjantką w serialowej karierze Magdaleny Różczki. W 2004 r. nadkomisarz Aldona Ginko, dowódca Specjalnej Grupy Pościgowej CBŚ, przyniosła świeżo upieczonej absolwentce warszawskiej Akademii Teatralnej popularność i sympatię widzów. Określiła też charakter kolejnych granych przez nią postaci. Sympatycznych, ciepłych, ale też kompetentnych i skutecznych w swoich działaniach. Takich, którym chętnie się kibicuje.

BEZ KLISZY

Sierżant Anna Jass pozwoliła aktorce wyjść ze strefy komfortu. Stworzyć – co podkreśla Rożczka – postać najbardziej odległą od niej osobiście, a przez to stanowiącą wyzwanie. Zarówno zawodowe, jak i prywatne. Nie bez znaczenia było też to, że reżyserem – zarówno pierwszej, znakomicie przyjętej produkcji platformy Netflix „Rojst", jak i jej kontynuacji – jest Jan Holoubek. W podcaście „Nie spać, słuchać" aktorka przyznała, że początkowo miała wielkie opory, by grać w projektach tworzonych przez męża: „Już widziałam te nagłówki: Świetny serial, wybitny reżyser, tylko jeden błąd obsadowy. Po co on ją wziął? Na szczęście Jan Holoubek podszedł do sprawy zadaniowo, bez osobistych dywagacji, ale też kliszy wcześniejszych ról, m.in. w »Czasie honoru«, »Lekarzach«, »Ustach, ustach«, »Idealnym facecie dla mojej dziewczyny«, »Rozmowach nocą«, »1800 gramów«, »Listach do M. 4« czy – ostatnio – »Tajemnicy zawodowej«".

Magdalena Różczka bardzo to docenia: „Marzeniem każdego aktora jest grać postaci jak najdalsze od swojego emploi. Myślę, że za moją rolą w »Rojście...« stoi ogromna odwaga reżysera. Inni przez wiele lat nawet nie pomyśleli o mnie takiej".

WRESZCIE TRUDNA

„Ciepła. Romantyczna. Mama. Ale nigdy »trudna«. Propozycje, które zwykle dostaję, są bardzo podobne. Dlatego pierwszego dnia na planie czułam się troszeczkę jak RoboCop, sama siebie nie poznawałam" – możemy przeczytać w wywiadzie dla polskiej edycji „Vouge'a".

Tu też aktorka zwróciła uwagę na pozornie drobny, ale istotny dla budowania swojej postaci element. „W 1997 r. każda dziewczyna miała czarną kredkę i malowała nią sobie kreskę pomniejszającą oko. W ósmej klasie nie wychodziłam bez tego z domu, to było jak ubranie. Takie maźnięcie zajmuje sekundę, ale daje Jass charakter".

Zależało jej, by bohaterka nie była „babą w policji", ale dobrym policjantem. Inspiracją do stworzenia postaci stał się Remigiusz Korejwo – funkcjonariusz, który wyciągnął z więzienia Tomka Komendę (w głośnym kinowym debiucie Jana Holoubka Magdalena Różczka zagrała jego żonę). Niezwykle ważnym doświadczeniem związanym z filmem „Rojst '97" okazało się również nakładanie – na współcześnie realizowane zdjęcia – własnych wspomnień, ich weryfikacja.

Dla trochę starszych rocznikowo aktorów serial stał się swego rodzaju wehikułem czasu. Szokujący był zwłaszcza początek pracy, pierwsze zetknięcie ze scenografią. „Wydawało mi się, że 1997 r. pamiętam doskonale, że to było wczoraj, że nic się nie zmieniło. A zmieniło się wszystko. Pochodzę z Nowej Soli, która też była zalana. Wiem, jak wyglądały ulice. Nasze filmowe plenery wyglądały dokładnie tak samo" – wspomina Różczka.

WYBÓR I RADOŚĆ

Często podkreśla, że zawód, który uprawia, jest jej wielką pasją, spełnieniem. To jej wybór i wielka radość, coś, co chce robić w życiu. Dla tej roli zrezygnowała w pewnym momencie z pracy w teatrze, nie walczy też o kolejne zadania. Chociaż za sprawą seriali „Rojst '97" i „Tajemnica zawodowa" bywała w minionych miesiącach częściej w pracy, to jednak pytana o priorytety mówi o sobie: „Mama na pełnym etacie". Teraz znów jest w domu ze swoimi trzema córeczkami (najmłodsza urodziła się w styczniu 2020 r., jej siostry to 7-letnia Helena i 12-letnia Wanda, z poprzedniego małżeństwa aktorki). – Żyję w zgodzie z sobą i swoimi potrzebami. To jest dla mnie pełnia szczęścia – mówi Różczka.

Skromnie nie podkreśla, że mimo rosnących rodzinnych obowiązków z jednej aktywności nie zrezygnowała – wciąż udziela się charytatywnie. Od lat jest twarzą wielu pomocowych akcji, włącza się w zbiórki darów dla fundacji i prywatnych osób. Na Instagramie przedstawia się: aktorka, ambasadorka Dobrej Woli UNICEF oraz Fundacji Rodzin Adopcyjnych. Powiedziała kiedyś: „Dopiero kiedy zaczęłam działać charytatywnie, odnalazłam sens istnienia tej całej »sławy«".

Fot. Netflix

eprasa.pl 3c57561b6e

14 lipca upłynęło 110 lat od dnia urodzin Tadeusza Fijewskiego, wybitnego aktora teatralnego, filmowego, telewizyjnego i radiowego. Aktora o wielkiej rozpiętości tego, co kiedyś nazywało się aktorskim emploi, od ról tragicznych, dramatycznych, aż po komediowe i farsowe



Fot. Zygmunt Januszewski/TVP/East News

Chłopak z Powiśla

Ogromną zaletą Tadeusza Fijewskiego była jego bogata i ciepła osobowość, skarb bezcenny w profesji aktorskiej, a także w życiu pozaartystycznym, w spełnianiu zwykłych ról człowieczych, obywatelskich czy rodzinnych.

Tadeusz Fijewski występował na scenie już w wieku 10 lat, jak sam gdzieś powiedział nie bez pewnej ironii: „Byłem cudownym dzieckiem". W filmie zadebiutował w 1927 r. u Henryka Szary w filmie „Zew morza", jako 16-letni laureat konkursu zorganizowanego przez dziennik „ABC". Później w wielu filmach grywał role nastolatków, zyskując miano „złotowłosego urwisa ekranu".

W 1936 r. ukończył studia aktorskie w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej, kierowanym przez Leona Schillera. W następnych latach występował także w teatrze dla dzieci, w tzw. Teatrze Malickiej, oraz w teatrze w Sosnowcu.

Tadeusz Fijewski urodził się na warszawskim Powiślu, które już nie było leżącą drabiną, po której nie można wspiąć się na żaden szczyt, jak mniej więcej powiedział o nim Wokulski w „Lalce" Bolesława Prusa. Powiśle w XX w., a zwłaszcza w dwudziestoleciu międzywojennym, bardzo się zmieniło, ucywilizowało, powstały tam liczne obiekty nowoczesnej architektury, zmieniła się jego urbanistyka, zwłaszcza ulic takich jak Rybaki, o czym pisze się w licznych ostatnio powstałych książkach i albumach. A co najważniejsze, Powiśle stało się miejscem narodzin i pobytu wielu interesujących ludzi.

Fijewski wywodził się z rodziny robotniczej, miał dziewięcioro rodzeństwa, spośród którego troje wybrało zawód artystyczny: Barbara, znana i lubiana aktorka i tancerka, oraz Maria i Włodzimierz, dwójka artystów teatrów lalkowych. Aktor był bardzo przywiązany do swojej dzielnicy, w internecie można znaleźć jego wypowiedzi, w których składa Powiślu wieloraki hołd i pełni też funkcję przewodnika po jego dawnych tajemniczych zakątkach.

W 1939 r. Fijewski zgłasza się do Wojska Polskiego, ale nie zostaje powołany do służby. 3 maja 1940 r. z więzienia na Pawiaku zostaje przewieziony do obozu w Sachsenhausen, a następnie do Dachau. Zwolniony w 1941 r. wraca do Warszawy, pracuje w kilku barach, współdziała z Armią Krajową, uczestniczy w Powstaniu Warszawskim, a po kapitulacji zostaje wywieziony i przebywa w obozach jenieckich III Rzeszy (m.in. w Oflagu II D Gross-Born). W 1945 r. wraca do kraju. Po wojnie występuje w teatrach: Nowym, Narodowym, Współczesnym. Wyrósł już z ról chłopięcych, coraz częściej obsadzany jest w rolach nieporadnego starszego pana.

Ale pozostaje chłopięcy, gdy uczestniczy w teatrzyku radiowym „Eterek" Jeremiego Przybory, w roli bardzo zabawnego Mundzia, syna wdowy Eufemii, granej przez Irenę Kwiatkowską. Pamiętam, że jako dzieciak w końcówce lat 40. wyczekiwałem na teatrzyk „Eterek" z niecierpliwością i zachwycałem się nim.

Dalsza kariera aktorska Fijewskiego jest już bardziej znana i pamiętana, niezapomniany Rzecki w „Lalce" Wojciecha Jerzego Hasa, Kuba w „Chłopach" Jana Rybkowskiego według Władysława Reymonta, pan Tomasz w „Katarynce" według Bolesława Prusa, role w „Pętli" według Marka Hłaski, w „Pierwszym dniu wolności" Leona Kruczkowskiego, żeby wymienić najważniejsze. A poza tym udział w serii filmów o Panu Anatolu, gdzie najsilniej ujawniła się jego vis comica.

Liczne role teatralne, począwszy od głównej w „Chorym z urojenia" Moliera, w sztukach Bogusławskiego, Schillera, Fredry, Shawa, w rewelacyjnych „Chłopcach" Stanisława Grochowiaka i wielu innych.

Fijewski miał szczególną umiejętność ocieplania wizerunku granej postaci, umiał wydobyć na jaw jej subtelne rysy psychologiczne, cienką kreską zarysować ich rolę w interakcji z rzeczywistością zewnętrzną.

Był nie tylko aktorem wiernym swojemu powołaniu, lecz także człowiekiem o wysokiej etyce, patriotą, mężem jedynej swojej ukochanej małżonki, wyróżniającej się urodą Heleny z Makowskich (co nawet wtedy nie było częste w tym środowisku). Był dobrym człowiekiem. Wszystko to miało wielkie znaczenie w jego pracy artystycznej.

Jerzy Biernacki

eprasa.pl 3c57561b6e

3 MIŁOŚCI

Pokolenie znaku zapytania



ROBERT TEKIELI

Pytam dziecko: „Ile czasu Ci to zajmie?”. „Godzinę?” – odpowiada, patrząc mi uważnie w oczy. Są inni, są świetni. Przewrażliwi, uważni na emocje i nieprzekraczanie granic innych ludzi. Są niepewni siebie. Potencjalnie pogubieni. Szukają akceptacji. Szukają atencji.

„Kasja” Gauza pisze na Twitterze: „Z końcem sierpnia wyprowadzamy się z Alex i Stasiem do Szwecji. Czy myślicie, że łatwo jest zostawić rodziców w Polsce, zostawić miasto Łódź, w którym się żyło prawie 20 lat, robiło aktywizm i dawało świadectwo z życia, będąc transką? Robimy to dla naszego dziecka, dla Stasia.

Polskie władze czy samorządy nie mają *żadnej* polityki klimatycznej, zero, powrót Tuska tylko to zabetonuje (sic!). Chcemy szczęśliwego życia dla Stasia, żeby nie dotknęła go nagonka władzy, Kościoła, czarnkizacja szkół, bo Staś żyje w tęczowej rodzinie.

Mamy z Alex przywilej, że możemy się wyprowadzić, nie ukrywam. Nigdy nie pisałam, że wszystko zawdzięczam własnej pracy. Trochę tak, ale moja pozycja jest głównie wypadkową urodzenia w inteligenckiej rodzinie (ale nie zamożnej!), wychowania, a przede wszystkim przypadku.

W dzieciństwie miałam własny pokój, biurko i komputer Amiga, a nie Pegasusa. To dużo. Myślę, że dużo z tego, co dał mi ten kraj, oddałam w podatkach, bo będąc w IT, nie uciekłam na nieetyczne b2b. Oddałam w robocie aktywistycznej na wielu polach, przez co nabawiłam się depresji. A depresja pożera *ogromne* środki finansowe, bo potrzebuję dużo pregabaliny, absenoru i miravilu. Z moją robotą o Rewolucji 1905 r. zostałam wypchnięta z tru lewicy, zaczęłam się izolować. W Dziewuchach działalność bywała sinusoidą, jak stan psychiczny pozwalał. Starałam się.

Patrzyłam sfrustrowana, jak porządne osoby osuwają się w stronę spisków, nacjonalizmów, anty-tęczowych fobii. Taki zeitgeist. Cieszy mnie wschodzące pokolenie, trzymam za nie mocno kciuki, a Wy trzymajcie za moją rodzinę i mnie. Chcemy zostać na stałe w Szwecji, nie wracać.

Chciałam tu zostać i walczyć, bo jestem aktywistką, narodziny synka zweryfikowały moją/naszą postawę, dlatego wyjeżdżamy. Przy obecnej nagonce na LGBT Staś w końcu zapyta: »Czy to my jesteśmy tą tęczową zarazą?«.

Właśnie dlatego chcemy, żeby Staś nie chodził do polskiej szkoły, nie słuchał kleru itp. Na szczęście mam już pracę w Szwecji i przedsiębiorca ułatwia relokację. [Z kraju wypędza mnie:] 1. sytuacja osób tęczowych; 2. kryzys klimatyczny: nasze władze nie robią nic sensownego, żeby ochronić mieszkańców i mieszkanki przed pogarszającą się sytuacją vide pustynnienie woj. łódzkiego, przyszłe braki wody pitnej, etc. Tyle Kasia. Czyli »Kasja« Gauza”.

Oni są wrażliwi, uczciwi, pogubieni i uwiedzeni. Komentarz do wpisu Kasi: „Jeśli ktoś opuszcza ten kraj z powodu prześladowania, to możemy mówić o terrorze”, a człowiek o nicku Tygodnik NIE pisze: „W żadne trybunały się nie będę bawił, będziemy się napierdalać”. Zabójca księdza Popiełuszki skończył miesiąc temu 70 lat. Porucznik SB, który miał w 1990 r. 30 lat, jest dziś mężczyzną w moim wieku, w sile wieku.

Wiem, że wkrótce będę świadkiem rzeczy, na które moja wyobraźnia i nóż w kieszeni nie są przygotowane. Ale nie będę mógł wyciągnąć tego noża.

Dla marksistów kulturowych, dla wielu naszych dzieci, dziesięć przykazań to mowa nienawiści. Jawna, krwawa wojna przeciwko chrześcijaństwu przed nami. Wybuchnie za rok czy za dziesięć lat? To kwestia przypadku. Nazywali dobro złem, a młodzi to akceptują, więc na co mają czekać?

Tolerancja socrewolucyjnego liberalizmu już się wyczerpuje. Nie ma wolności dla wrogów wolności. Capisci men? Nowożytność to instytucjonalizacja grzechu. Właśnie dopełnia się ten proces.

Wewnętrzna odbudowa autentycznego moralnego porządku musi w ludzkiej rodzinie skażonej grzechem pierworodnym odbywać się codziennie. Nowa globalna etyka – pojęcie Marguerite Peeters – stworzona przez człowieka i stawiająca go w centrum „moralność” nie może być narzucona wszystkim ludziom na Ziemi bezkrwawo. Wyeliminowano boski autorytet i zastąpiono go ludzkim. A zrzucenie Boga z Jego tronu – jak pokazuje paroksyzm rewolucji francuskiej i dziesięciolecia rewolucji bolszewickiej i chińskiej – oznacza sianie śmierci na całym świecie. Przymus redukcji populacji, nowy światowy ład, pax marksiana. Zsekularyzowany mesjanizm, wojujący prometeizm, eksterminacja.

„W dzisiejszym świecie są dwa główne problemy. Mamy na Ziemi o trzy miliardy ludzi za dużo i powinni oni zniknąć. Musi zniknąć też drugi problem, Kościół katolicki. Wasz Kościół pozostaje jedyną przeszkodą, abyśmy mogli żyć zdrowo na tej planecie”.

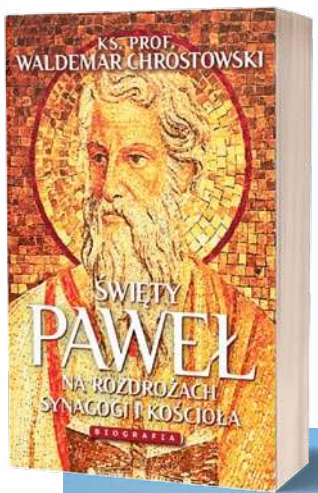
Komentarz osoby nieemigrującej z PL: „Chyba bardziej chodzi o mindset i strach...”. Dająca świadectwo z życia transki Kasia: „Ja mam taki mindset, że mogłabym być piwniczakiem, od prawie 20 lat siedziałam w Łodzi...”.

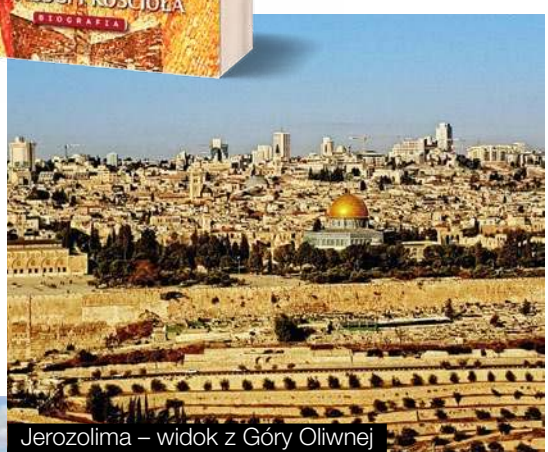
Rozumiecie? Nie. No właśnie.

eprasa.pl 3c57561b6e

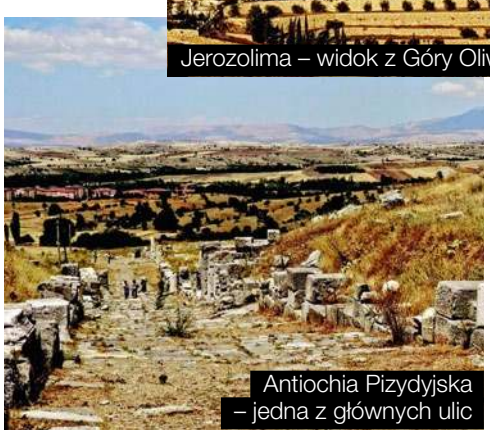
WOJNA CYWILIZACJI

Warte Zachodnia cywilizacja oparta na chrześcijańsko-naukowym fundamencie mierzy się dziś nie tylko z cywilizacją islamską, chińską oraz z wewnętrzną barbarią kontrcywilizacji „budowanej" przez marksistów kulturowych. Najstarszy konflikt mamy bowiem z przedstawicielami cywilizacji wywiedzionej z judaizmu, najpierw świątynnego, a potem, bardzo odeń odmiennego, dzisiejszego judaizmu rabinicznego. Książka ks. prof. Waldemara Chrostowskiego ***„Święty Paweł. Na rozdrożach Synagogi i Kościoła"*** mówi m.in. o tym konflikcie. Ta licząca ponad 700 stron znakomita biografia Apostoła Narodów jest fascynującym i dojrzałym spojrzeniem na Pawła z Tarsu, jego życie i jego dzieło. Prof. Chrostowski znalazł klucz do osobowości, działalności i nauczania świętego Pawła. Oprócz niezwykłych kompetencji autora dużą rolę odegrała w tym trwająca od 11. roku życia fascynacja nie niewinnym świadkiem linczu na świętym Szczepanie.




Jerozolima – widok z Góry Oliwnej

Autor „Hymnu do miłości" to jeden z ciekawszych umysłów, jakie dane było mi spotkać. Święty Paweł został porwany do czwartego nieba i poznał słowa tajemne, których nie godzi się wypowiadać. Obdarzony został wiedzą wlaną na temat natury człowieka podobną jedynie do mądrości świętej Teresy Wielkiej czy Ignacego z Loyoli, do którego dzieł dzisiejsza psychologia to marne przypisy. Jest autorem jednego z trzech najmądrzejszych i najpiękniejszych poematów w dziejach. „Hymn do miłości" będzie czytany do końca świata.


Antiochia Pizydyjska – jedna z głównych ulic

Był trzynastym apostołem i piątym Ewangelistą. Wstrząs, którego doznał Szaweł z Tarsu porażony prawdą i mocą Ducha Świętego oraz Jezusową miłością, sprawił, że jego psychosomatyka przez trzy dni przestała funkcjonować. Nie jadł, nie pił, nie mówił, nie widział. Bóg tworzył nowego człowieka. Od modlitwy Ananiasza z Damaszku znamy Szawła jako świętego Pawła.

W zachwyceniu czytałem frazy ze wstępu do jego biografii, w których ksiądz Chrostowski klarownie rozprawia się z różnymi teoriami i metodologiami biblijnymi, których ukrytym sensem nie jest szukanie prawdy, lecz niszczenie wiary. Podzielam szacunek prof. Waldemara Chrostowskiego dla istniejących podejść i metod badania ksiąg świętych, jednak jeśli refleksja naukowa chrześcijanina nie prowadzi go do wzmocnienia doświadczenia duchowego, wiodącego człowieka do głębszej zażyłości z Bogiem, to mamy do czynienia z wielokroć opisywaną przez świętego Pawła błędną nauką.

Prawdą jest Chrystus. Każdy, kto poznał prawdę, musi ją głosić. Nie tylko ateiści i poganie, również Żydzi, by poznać prawdę, muszą się nawrócić. Jak katolik może nie pragnąć szczęścia dla bliźniego? A największym szczęściem jest poznanie Boga: Ojca, Syna i Ducha Świętego. Chrystus jest wypełnieniem biblijnego Prawa. Uznając, że Jezus jest Chrystusem, nie można rezygnować z nawracania Żydów.

Pisanie o tych dwóch wyznaniach jest wyzwaniem. Medialna siła chrześcijaństwa i judaizmu jest odwrotnie proporcjonalna do ich liczebności – 2,2 mld do 17 mln. Właściciele Wydawnictwa M i Pallotynów zmienili w pierwszym wydaniu książki (2018 r.) istotny fragment pierwotnego tytułu biografii z „Na rozdrożach Synagogi i Kościoła" na łagodniejszy: „Między Synagogą a Kościołem". Powodem był strach. Święty Paweł uczy nas zaś, że jeśli dialog prowadzi do utraty tożsamości lub rezygnacji z prawdy, nie jest dialogiem, ale formą przemocy.

Ksiądz Chrostowski pokazuje w swej książce, jak posoborowy powierzchowny „dialog" z wyznawcami judaizmu prowadzi do judaizacji chrześcijaństwa (podobnie jest ze zjawiskiem protestantyzacji Kościoła powszechnego przez ludzi chcących zbytnio podobać się duchowi czasów, a nie Duchowi Świętemu).

Dzieło Pawła promieniuje mocą po upływie 20 wieków. Przy okazji dialogu międzywyznaniowego próbuje się go dziś zamilczeć, dyskredytować, a on powraca jako wyrzut sumienia powtarzając: dialog, w którym ludzie Kościoła bezkrytycznie przyjmują nastawienie, którego oczekuje od nas strona żydowska, jest zdradą Jezusa Chrystusa. Albo reprezentuje się żydowski, albo chrześcijański punkt widzenia. Katolicki lub protestancki. Religijny lub ateistyczny. Naukowy albo marksistowski.

Święty Paweł był według własnej definicji „poronionym płodem", a położył podwaliny pod chrześcijańską eschatologię. Na Malcie uznano go za boga, gdzie indziej musiał uciekać przed śmiercią w koszu spuszczonym z murów wrogiego miasta. Był wplątywany w intrygi, obmawiany, lekceważony. Jego życie to zasadzki, fałszywe oskarżenia, donosy, uwięzienie, dramatyczna podróż do Rzymu, tortury i męczeństwo. Ale ustrzegł wiary, czego sobie i wam życzy

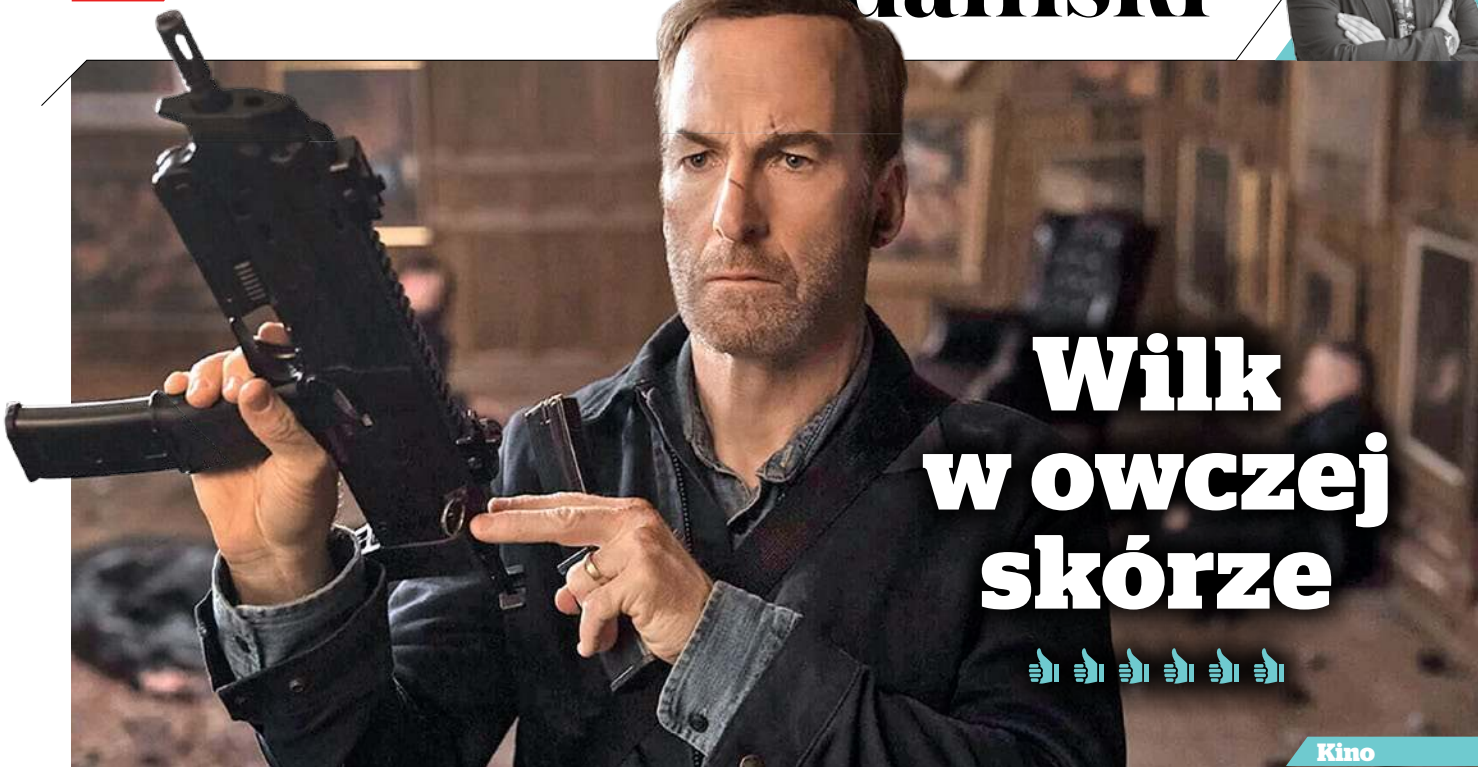
Robert Tekieli
Polskie Radio

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 3c57561b6e



Adamski



Wilk w owczej skórze

Kino

Hutch (Bob Odenkirk) niczym się specjalnie nie wyróżnia. Każdy jego dzień wygląda tak samo. Pobudka, śniadanie, kawa na wynos, całus dla żony (Connie Nielsen), córeczki i odwiezienie do szkoły nastoletniego syna (Gage Munroe) oraz praca. Wszystko zmienia się pewnej nocy, gdy do domu zwyczajnej i do bólu pospolitej rodziny włamują się bandyci. Hutch z nimi nie walczy. Walczy jego syn, któremu ojciec w kluczowym momencie nie pomaga, oddając złodziejom kosztowności. Ze strachu? Tak uważa nastolatek. Ale złodzieje popełniają błąd. Zabierają ulubioną maskotkę jego córeczce. Tego jest za wiele. Hutch pęka i wsiada do autobusu, by odnaleźć agresorów. Tak zaczyna się wyjście pospolitego, mieszkającego na przedmieściach Amerykanina z bezpiecznego pancerza. Hutch nie jest zranionym Charlesem Bronsonem z klasycznego „Życzenia śmierci", czyli filmu, który zdefiniował podgatunek opowiadający o mścicielu mającym dosyć niesprawnego systemu. Hutch to niespokojny architekt, przechodzący na drugą stronę barykady po krzywdzie, jaka spotkała jego rodzinę. Hutch to kawał drania kryjącego swoją przeszłość nawet przed dziećmi. To po prostu cyngiel wykonujący kiedyś zlecenia dla ważnych ludzi.

Od czasu pierwszego „Johna Wicka" nie było nic tak świeżego i bezczelnie prościutkiego w kinie akcji. Cóż, scenariusze do filmów „Nikt" i „John Wick" pisał ten sam człowiek – Derek Kolstad. Mnóstwo krwi, rosyjskie gangusy, kozacki soundtrack i Bob Odenkirk wymiatający w zupełnie innym wcieleniu. Prawie w innym, bo początkowo jest Odenkirkiem, który zamienia się w prawdziwego bad motherfuckera z portfela tarantinowskiego Julesa. Robi to z gracją Baby Jagi o twarzy nieśmiertelnego Keanu. „Nikt" to sto procent kina akcji według najlepszych wzorców mistrzów gatunku, jak przywracający w ostatnim „Mad Maxie" sens określeniu „kino akcji" George Miller czy wcześniej Tony Scott i John Woo. To kino w starym stylu. Bez zbędnych ornamentów psychologicznych i komplikowania akcji. Mimo unoszącego się w powietrzu klimatu kina akcji lat 80. jest to film typowy dla tego gatunku z XXI w.

Hutch jest zwykłym facetem, który bez mięśni Stallone'a i Schwarzeneggera rozprawia się z najbardziej hardcorowymi zbirami. Choreografia walk, wisielczy (dosłownie) humor, kapitalny Christopher Lloyd (pamiętacie zwariowanego profesora z „Powrotu do przyszłości"?) w epizodzie z shotgunem i znany z „Lewiatana" Aleksey Serebryakov w roli wyjątkowo socjopatycznego Ruska na przemian śpiewającego karaoke i masakrującego kieliszkiem od wina (tak!) innych kacapów. Reżyseruje ten film Rosjanin Ilya Naishuller („Hardcore Henry"), więc wie, jak pokazać swoich krajanów z odpowiednią ironią.

Jeżeli chcecie zobaczyć prawdziwego wilka w owczej skórze, to pędźcie na ten film. Są tutaj czarni Rosjanie, raper RZA z Wu-Tang Clan strzelający ze snajperki i naparzanka w autobusie zawstydzająca Stallone'a ze „Specjalisty". Ta scena już przeszła do klasyki gatunku. Znany z komedii, ale też „Breaking Bad" i „Zadzwoń do Saula" Odenkirk to objawienie kina akcji. Na miarę Liama Neesona? Kto wie! Brawa należą się też za ostre i dynamiczne zdjęcia Pawła Pogorzelskiego. Podkreślają stan ducha Hutcha – ojca rodziny, który dla swoich dzieci pójdzie na wojnę z największym zakapiorem. Kocham kino gatunkowe, a „Nikt" jest w swoim gatunku majstersztykiem. Kto wie, czy nie jest to początek nowej serii. Scenarzysta w jednym z wywiadów mówił, że myśli o wspólnym filmie z Johnem Wickiem i panem Nikt. Obaj dali się we znaki rosyjskiej mafii. Cóż, w Hollywood pewne rzeczy się nie zmieniają. Źli Rosjanie to stały element kina akcji.

„NIKT", REŻ. ILYA NAISHULLE

Fot. Universal Pictures

eprasa.pl 3c57561b6e

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

Pocztówka z wakacji

Jak wygląda sequel idealny? Jest wszystkiego więcej, jest głośniej i jest bardziej wyrachowanie. Raz się to sprawdza, innym razem nie. W przypadku filmu „Bodyguard i żona zawodowca" Patricka Hughesa wyszło nieźle. Jego „Bodyguard zawodowiec" z 2017 r. był prostą komedią sensacyjną, eksploatującą klasyczny podgatunek, jakim jest buddy movie. Do tego dochodził element rasowy znany z „48 godzin" Hilla czy „Zabójczej broni" Donnera. Pierwszy film opowiadał o niezdarnym ochroniarzu Michaelu Brysie (Ryan Reynolds), który musi uchronić groźnego zabójcę Dariusa Kincaida (Samuel L. Jackson), zeznającego w Międzynarodowym Trybunale w Hadze. Mijają lata i Michael leży na kozetce, nie mogąc wciąż wyjść z traumy po misji z Dariusem. Do tego czasowo stracił licencję ochroniarza, więc nie może pracować w wymarzonym zawodzie. Udaje się więc na wakacje do słonecznej Italii. Zamiast wypoczynku na plaży wpada w grad kul, spod którego wyciąga go tajemnicza i piękna Sonia (Salma Hayek). Okazuje się, że jest żoną Dariusa, który prosił ją, by znalazła mu ochroniarza, byleby nie był nim... Michael Bryce. Cóż, znajomość angielskiego w tym momencie nie okazała się najmocniejszą stroną Hiszpanki.

Tak się zaczyna kolejny rollercoaster ze strzelaninami i pościgami w pięknych chorwackich, włoskich, słoweńskich i portugalskich krajobrazach. Ryan Reynolds będzie jeszcze bardziej sarkastyczny (choć jeszcze nie na poziomie „Deadpoola"), Samuel L. Jackson będzie jeszcze więcej „maderfakerować", co stało się jego znakiem rozpoznawczym w każdym filmie. Do gwiazdozbioru Reynolds–Jackson–Hayek dołączy Morgan Freeman oraz Antonio Banderas. I tutaj warto się na chwilę zatrzymać. Sam film kieruje się zasadą opisaną powyżej. Jest więcej, szybciej, bardziej wybuchowo i nawet zabawniej, choć tym razem potyczki słowne między naładowanym ironią i sarkazmem Reynoldsem a bezczelnym Jacksonem przykryte są momentami głupiutkim slapstikiem. Jednak wcielający się w greckiego miliardera Aristotela Papadopolousa Banderas kieruje tę prostą komedyjkę na ciekawe tory. Oto Papadopolous tak bardzo ma dosyć dyktatu Unii Europejskiej i sankcji, jakie Bruksela nakłada na Grecję, że postanawia pogrążyć cały kontynent w chaosie. Aristotel jest nacjonalistą zakochanym w greckiej mitologii i historii, który w imię miłości do poniewieranych przez unijnych urzędników Aten wynajmuje chorwackich hakerów, by zniszczyć europejskie energetyczne systemy bezpieczeństwa. Tak jankesi widzą europejskie niesnaski? Aristotel mógłby być wrogiem Jamesa Bonda w latach 80. Jest kiczowaty, przerysowany i ma złamane serce. Jest tutaj cała masa absurdów na czele z sugestią, że prąd w Europie można wyłączyć, dostając się do jednego rurociągu na dnie oceanu. Frank Grillo jest kreskówkowy jak gliniarze w filmach z Van Dammem, a Interpol pokazany jakby scenarzyści oglądali wyłącznie kino ery reaganowskiej. I co z tego?

„Bodyguard i żona zawodowca" jest po prostu przyjemnym letnim blockbusterem. Tęskniłem w czasie lockdownu za takim kinem. Tęskniłem za tak niezobowiązującą rozrywką z pięknymi widokami i zabawnymi postaciami granymi przez lubianych aktorów. Każdy sezon musi mieć głupiutki film akcji, naszpikowany wielkimi nazwiskami i pocztówkową manierą. Ten film jest taki, jak obiecuje jego plakat. Jest po prostu „cool".

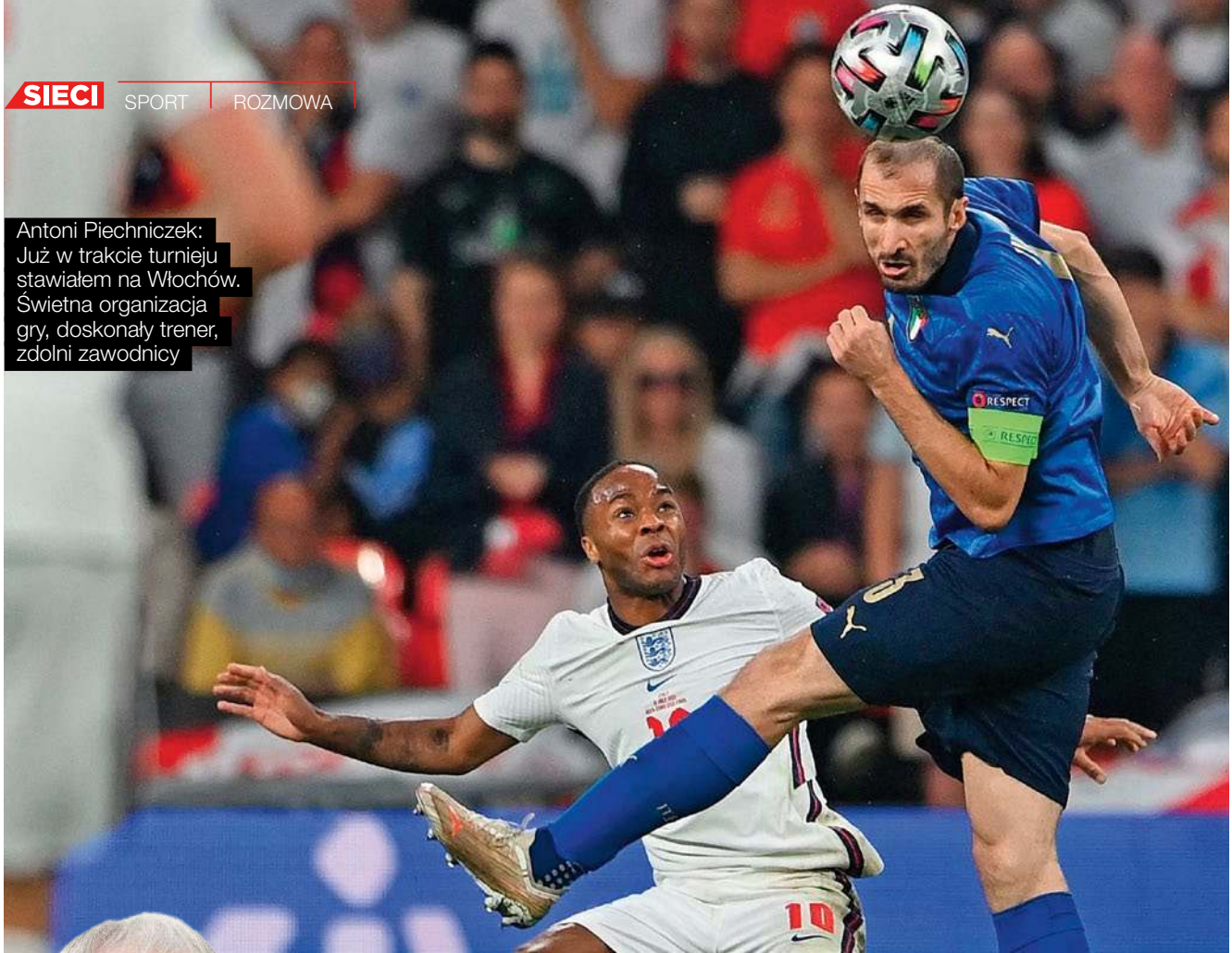
„BODYGUARD I ŻONA ZAWODOWCA", REŻ. PATRICK HUGHES



Kino

Fot. Kino Świat

eprasa.pl 3c57561b6e



Antoni Piechniczek: Już w trakcie turnieju stawiałem na Włochów. Świetna organizacja gry, doskonały trener, zdolni zawodnicy

Fot. Andy Rain/POOL/AFP



Trzeba wrócić do Nawałki

Z Antonim Piechniczkiem, byłym selekcjonerem piłkarskiej reprezentacji Polski, który poprowadził kadrę do brązowego medalu na mundialu w Hiszpanii w 1982 r., rozmawia Cezary Kowalski (Polsat Sport)

Zanosiło się na kompletną klapę, a jednak przełożone mistrzostwa Europy obroniły się pod względem sportowym...

Antoni Piechniczek: Nie było takich mistrzostw od dawna. Poziom był taki, że żałowało się niektórych drużyn, które przegrywały i musiały jechać do domu. Nie tylko ci, którzy zdobyli medale, zasłużyli na pochwały. Natomiast jeśli chodzi o organizację, to trzeba brać poprawkę na to, co się dzieje w świecie. To nie jest wina UEFA, że trzeba było ten turniej przekładać i grać z ograniczonym udziałem publiczności. Ja bym się nawet nie zżymał na rozrzucenie turnieju po tylu miastach w różnych częściach Europy. Pewnie w zamyśle chodziło o to, aby rozpowszechnić imprezę, dotrzeć do jak najwięk-

Fot. Kamil Piklikiewicz/DDTVN/East News

eprasa.pl 3c57561b6e

szej liczby odbiorców, wciągnąć ich w rywalizację. Oczywiście uprzywilejowało to Niemców i Hiszpanów, a przede wszystkim Anglików.

Ściany wspierały Anglię.

Jasna sprawa. Wszyscy to wiedzieliśmy i czuliśmy podczas mistrzostw. Ale z drugiej strony... Jak tak popatrzymy na współczesną piłkę nożną, to jednak ma ona coś Anglii do zawdzięczenia. Większość zawodników uczestniczących w turnieju gra na Wyspach, ściągnęli tam najlepszych graczy z całego świata. I także najlepszych trenerów. Finał Ligi Mistrzów to kluby angielskie. Najwięcej pieniędzy na ten sport wydaje się właśnie tam, oni ten futbol holują od lat. Ale ich reprezentacja ostatni raz w finale wielkiej imprezy grała... w 1966 r. Wielu tego nie pamięta.

Ja pamiętam doskonale. Byłem już po studiach i z Legii wyemigrowałem do Chorzowa. Grałem w Ruchu. Oglądaliśmy finał z RFN na czarno-białym telewizorze. Hurst strzelił w poprzeczkę w dogrywce, piłka odbiła się od murawy i wyszła w pole. Gruziński sędzia asystent uznał, że przekroczyła linię bramkową i gola uznał. Do dziś nie wiadomo, jaka była prawda. Inna rzecz, że później Anglicy strzelili kolejnego gola i było 4:2. Do czego zmierzam?

Nie powinniśmy futbolu traktować zero-jedynkowo, że wszystko musi być takie wyważone i akuratne. To jest piękna plastyczna materia, wywołująca namiętności, skłaniająca do refleksji i dyskusji. Na pewne rzeczy można przymknąć oko. Podczas Euro pojawiły się jednak rzeczy, z którymi się fundamentalnie nie zgadzam.

Chodzi o pracę sędziów?

Też. Ale miałem na myśli mieszanie do sportu polityki i ideologii. Ten zdalnie sterowany samochodzik Volkswagena wjeżdżający z piłką na środek boiska wymalowany w tęczowe barwy, nakłanianie kapitana niemieckiej reprezentacji, aby opaskę nosił w tych barwach, klękanie zawodników przed pierwszym gwizdkiem. To jest przegięcie. Jestem ciekaw, co by się stało, gdyby Neuer odmówił uczestniczenia w tej akcji. Przecież to jest wtłaczanie sportowców w jakieś ramy, zmuszanie do opowiedzenia się po jakiejś stronie ideologicznego sporu. Za chwilę dojdzie do tego, że otworzę lodówkę i zobaczę tęczową flagę. Żeby nie było wątpliwości, sam wychowałem swoje dzieci w duchu tolerancji, mam też dziewięcioro wnuków i nikt nigdy nie narzucał swojej woli innym. A widzę, że dziś tolerancją nazywa się właśnie narzucanie swojego światopoglądu innym. Nie o to powinno w tym chodzić.

Wróćmy do sędziów...

Nie dość, że pozwalają na brutalną grę, to jeszcze kradną czas. Instruują zawodników przy każdym rzucie wolnym czy karnym, co wolno, a czego nie wolno. Jeśli tych wolnych jest w meczu ze 20, a na każdy poświęcą minutę, to już ma pan 20 min wyjęte z meczu. Przy rzutach karnych, instruując bramkarzy, że mają stać na linii, kiedy mogą wykonać ruch i tak dalej, przeszkadzają w koncentracji. To wszystko można zrobić przed meczem. Za bardzo przesuwamy akcenty w tym sporcie na pracę sędziów. Oni powinni pomagać, a nie stawać się gwiazdami.

> Piłka nożna to nie jest balet. Trzeba wbić o jednego gola więcej od rywala i tyle

VAR w kluczowej sytuacji w półfinale Anglia–Dania też nie zadziałał. Sterling nie był faulowany w polu karnym, a holenderski sędzia nawet nie podszedł do monitora, aby to sprawdzić, choć miał taką możliwość...

Kto wie, czy nie było wytycznej, aby nie drażnić publiczności gospodarzy, i sędzia celowo tego nie sprawdzał. Przerzucił odpowiedzialność na tych sędziów, którzy siedzieli w wozie i podpowiadali mu do ucha. Oczywiście ostateczna decyzja należała do sędziego głównego, ale jednak część odpowiedzialności za największy błąd turnieju spłynęła na tych, którzy siedzieli na VAR.

Na kogo pan stawiał?

Już w trakcie turnieju na Włochów. Świetna organizacja gry, doskonały trener, zdolni zawodnicy. Najciekawszy dla mnie mecz to Holandia–Ukraina w fazie grupowej – 3:2. Prawdziwe rodzynki były w tym spotkaniu. Będę je długo pamiętał.

Coś, co na tym turnieju rzucało się w oczy, to rola trenerów. Zawsze byli istotni, ale teraz chyba nawet bardziej niż dotąd. Mancini Włochy, de Boer Holandia, Szewczenko Ukraina, Southgate Anglia, Šilhavy Czechy, Enrique Hiszpania, Andersson Szwecja, Deschamps Francja, Loew Niemcy. Przecież oni wszyscy odcisnęli na tych drużynach swoje piętno. Te zespoły narodowe to w dużej mierze oni.

A nasz Sousa?

Stare odeszło, nowe jeszcze nie zadziałało [śmiech]. Zazdroszczę trochę tym obecnym selekcjonerom, bo mają do dyspozycji pięć zmian i jeszcze ewentualnie szóstą w dogrywce. W przypadku jakiejś pomyłki można to solidnie i bezboleśnie skorygować, naprawić. I się nie bać. Kiedyś były tylko dwie. Człowiek nawet jak dokonał tej pierwszej, to z drugiej nie korzystał prawie do końca, bo zawsze była obawa, że jakiś zawodnik dozna kontuzji i będziemy kończyć w dziesięciu.

Ale i tak selekcjonerzy robią gigantyczne błędy personalne...

Zastanawiam się, jak Southgate mógł trzymać na ławce do samego końca Rashforda i Sakę i później wyznaczać ich do kluczowych rzutów karnych. Przecież Rashford nawet wcześniej piłki nie dotknął. Siedział chłopak spięty tyle czasu, a później został wypuszczony na minę. Wbrew zasadom i wbrew zwykłej ludzkiej logice. Przedobrzył Gareth i tyle. Ktoś mu źle podpowiedział. Generalnie Anglicy zaprzepaścili szansę w pierwszej połowie, kiedy prowadzili 1:0, dobrze im szło. Nie poszli za ciosem.

eprasa.pl 3c57561b6e

Nie pasowaliśmy do tego towarzystwa?

Mimo wszystko bym tej drużyny bronił. Zasługują na krytykę, ale nie można powiedzieć, że ta ekipa nie ma możliwości. Ukraińcy, którzy nie mają większego potencjału od nas, do każdej kontry szli jak do pożaru. Aż się przyjemnie na nich patrzyło. Zawsze zadaję sobie pytanie, a dlaczego nie my? Za kadencji nowego trenera nie było pół meczu, w którym zabiegalibyśmy przeciwnika. Bo ja już nawet nie mówię o organizacji gry. To powinno być tak, że trener zna zawodników, oni dużo wcześniej mniej więcej wiedzą, że jadą na turniej, mają nakreślone zadania w drużynie i sposób przygotowania się do imprezy wcale nie podczas krótkiego zgrupowania, ale dużo wcześniej. Później trzeba zrobić badania na tym ostatnim obozie i wiadomo, kogo trzeba pogonić, a komu odpuścić. Ja tak robiłem z nie najgorszym efektem. Wiem, że są inne czasy, ale też nie róbmy z tego jakiejś wielkiej filozofii.

Zastanawiałem się nad tym, dlaczego nasze gwiazdy w kadrze nie świecą tak jak w klubach i wychodzi mi na to, że to jest jednak trochę brak presji. Oni są Europejczykami. Czy wyczuwają oczekiwania narodu, czy od tego, jak zagrają w reprezentacji, zależy ich przyszłość, finanse, cokolwiek? Nawet jak trenują, to ochrona dba, aby nikt przypadkiem nie wszedł, żeby nie było żadnego kontaktu z kibicami. Żyją w bańce nie tylko z powodu pandemii. Za naszych czasów na treningu zjawiało się ze trzy tysiące ludzi, cały czas był kontakt, presja. Napięcie rosło z dnia na dzień. A tu? Może za bardzo koloryzuję, ale mnie tego brakuje. Z jakiegoś powodu prezentujemy się słabiej nawet niż Czesi czy Słowacy, którzy przecież mieli podobną historię, mniejszy potencjał w kwestii liczebności, i nie ma żadnych powodów, żebyśmy byli za nimi.

Organizacja gry to jest w skrócie taka sytuacja, w której zawodnik będący przy piłce zawsze ma możliwość sensownego zagrania do partnera, bo ci poruszają się po boisku tak, aby stworzyć mu tę możliwość. My jesteśmy z tym na bakier.



Nie mam nic przeciwko Portugalczykowi. Potrafi się znaleźć. Dobrze wygląda, dobrze mówi, z nikim nie zadziera, to jest ważne. Nie mam zamiaru tu drwić. Zasada powinna być taka: niech robi, co chce, byle byłyby sukcesy

Fot. Adam Jastrzębowski/Reporter

To była dobra decyzja, żeby Brzęczka zastąpić Sousą?

Byłem za Brzęczkiem cały czas. Nie mam nic przeciwko Portugalczykowi. Potrafi się znaleźć. Dobrze wygląda, dobrze mówi, z nikim nie zadziera, to jest ważne. Nie mam zamiaru tu drwić. Zasada powinna być taka: niech robi, co chce, byle byłyby sukcesy.

Ale Brzęczek był niemiłosiernie krytykowany, a drużyna grała bardzo słabo...

Ale wygrywała. Piłka nożna to nie jest balet. Trzeba wbić o jednego gola więcej od rywala i tyle. Po raz pierwszy daliśmy facetowi z zewnątrz drużynę, która awansowała na mistrzostwa. Sousa dostał ten udział w Euro na tacy. Miał poprowadzić całkiem przyjemny zespół z wybitnym graczem w ataku. Czy się wywiązał? Druga sprawa. Protestuję przeciwko nazywaniu Polaków nieudacznikami, pracownikami drugiej kategorii, ludźmi niezdolnymi. Moim zdaniem sięganie na siłę po obcokrajowców jest wynikiem jakichś kompleksów. Największe sukcesy w polskiej piłce odnosiliśmy pod wodzą polskich trenerów. Nie chodzi tylko o Górskiego, Gmocha czy mnie. Ale także o ostatni czas i ćwierćfinał Euro za Nawałki w 2016 r.

Może wtedy mieliśmy dobrych trenerów, a teraz nie...

Panie, daj pan spokój. Moim zdaniem powinniśmy wrócić do Nawałki.

Może Sousa się rozkręci?

Może. Pod warunkiem że nie dostanie jakiejś dobrej propozycji z klubu za duże pieniądze, bo słyszę, że wciąż istnieje taka możliwość. Wtedy bez wahania postawiłbym na Nawałkę. On spełnia wszystkie wymogi, zawodnicy go znają, a on zna ich. Jego wejście do reprezentacji byłoby łatwiejsze niż Sousy.

Kiedy w 1982 r. zajął pan z reprezentacją trzecie miejsce na mundialu w Hiszpanii, to spodziewał się pan, że przez następne już blisko 40 lat nawet nie zbliżymy się do tamtego osiągnięcia?

Byłem rozczarowany, jak cztery lata później w Meksyku tylko wyszliśmy z grupy i odpadliśmy z Brazylią. Współcześni piłkarze przy tych moich to są milionerzy, dysponują fortunami. Mają inną mentalność, inaczej to wszystko wygląda. Nie lubię tego analizować, to nie jest na kilka zdań. Ale powiem szczerze, że jak szykowaliśmy się w 1982 r. do półfinału z Włochami, to stojąc rano przed lustrem przy goleniu, mówiłem sobie: „Antek, to jest jedyna szansa zagrać z Polską o mistrzostwo świata w piłce nożnej". Tak, zdawałem sobie sprawę, że stanąć przed taką szansą po raz drugi będzie piekielnie trudno. A wie pan, że jeszcze sporo ludzi ma do mnie pretensje, żeśmy wtedy z tej Hiszpanii złota nie przywieźli?

eprasa.pl 3c57561b6e

Dobre praktyki walki z marnowaniem żywności

Badania wykonane w ramach projektu PROM (Program Racjonalizacji i Ograniczenia Marnotrawstwa Żywności) wykazały, że w Polsce co roku do kosza trafia prawie 5 mln ton żywności

Skala tego zjawiska jest przerażająca i pociąga za sobą nie tylko ogromne koszty gospodarcze, lecz także społeczne i środowiskowe. Aby żywność – zamiast na wysypisko – mogła trafić na stoły osób potrzebujących, potrzebny jest wysiłek w tworzeniu dobrych regulacji oraz wsparcie wszystkich mądrych obywatelskich działań. Jednym z 17 celów rozwojowych Organizacji Narodów Zjednoczonych jest ograniczenie marnotrawstwa żywności o połowę do roku 2030. Kraje Unii Europejskiej starają się zapobiegać i zmniejszać marnotrawienie żywności przez edukację konsumentów, dbanie o prawidłową redystrybucję żywności i zbieranie danych, robiąc pomiary ilości odpadów.

METODY NASZYCH SĄSIADÓW

Pierwszym krajem, który uprzedzając koncepcję ONZ, zmniejszył problem marnotrawienia żywności o 25 proc. w ciągu pięciu lat, była Dania. Do sukcesu przyczynił się m.in. ruch Stop Wasting Food. Stąd pochodzi też aplikacja do ratowania żywności Too Good To Go, coraz bardziej popularna w Polsce. W Danii powstał pierwszy europejski market WeFood z produktami spożywczymi po dacie minimalnej trwałości (DMT) lub w uszkodzonych opakowaniach. Podobne rozwiązanie działa w Holandii – jedna z sieci supermarketów ma na swoich półkach m.in. zupy ugotowane z uratowanych niedoskonałych warzyw czy cydr ze zmiażdżonych owoców. Takie posiłki można zjeść w niektórych restauracjach. Program pod nazwą Good Food realizuje również Belgia. Oprócz ograniczenia odpadów spożywczych jego celem jest wsparcie zrównoważonej produkcji żywności już na etapie rolnictwa. Elementem programu jest ponadto zapewnienie systemu odbioru i recyklingu niesprzedanych produktów spożywczych, także w supermarketach – poprzez współpracę z Bankiem Żywności. Podobnie miasta we Włoszech, np. Mediolan, wprowadziły taki obowiązek redystrybucji żywności przez wszystkie firmy spożywcze w aglomeracji. We Francji mieszkańcy Paryża wyrzucali dwa razy więcej pakowanej żywności niż reszta kraju. Stawiając na edukację, w lokalnych sklepach i na osiedlowych bazarach urządzono stoiska z niesprzedanymi produktami i przygotowywano wspólne posiłki w duchu zero waste. Ambicją francuskiej stolicy jest wykonanie celu ONZ już w 2025 r.

POLSKIE DOBRE PRAKTYKI

Od 2019 r. obowiązuje w Polsce Ustawa o przeciwdziałaniu marnowaniu żywności. Obejmuje ona i reguluje praktyki sklepów wielkopowierzchniowych. Jednak historia polskich działań na rzecz walki z marnotrawstwem żywności jest o wiele dłuższa. Dbają o to liczne organizacje pozarządowe, które są partnerami Banków Żywności. Banki odbierają niesprzedane, ale dobre jakościowo produkty ze sklepów, od producentów, dystrybutorów i przekazują je organizacjom, m.in. jadłodajniom, domom pomocy społecznej, świetlicom środowiskowym, noclegowniom, hospicjom, domom dziecka czy ośrodkom wsparcia dla samotnych matek.

– Głęboko wierzę, że można skutecznie ograniczać marnowanie żywności. Badamy to zjawisko, jego skalę, pracujemy nad strategią, wdrażamy ustawy – to daje szansę na systemowe rozwiązanie. Ilość przekazywanego przez Banki Żywności jedzenia to wciąż kropla w morzu potrzeb. Istotna jest też edukacja indywidualnych konsumentów – bo to my sami jesteśmy największymi marnotrawcami żywności. Ciężko zmienić nawyki, przyzwyczajenia, dlatego niezwykle ważne jest, aby ogólnopolskie kampanie docierały do jak najszerszej rzeszy społeczeństwa, nieustannie przypominając o sposobach na niemarnowanie żywności – mówi Beata Ciepła, prezes Federacji Polskich Banków Żywności.

Federacja Polskich Banków Żywności zrzesza 31 Banków Żywności w całej Polsce. Jej misją od ponad 20 lat jest ratowanie żywności i przekazywanie jej potrzebującym. Banki prowadzą także Program Operacyjny Pomoc Żywnościowa, współfinansowany ze środków UE. Tylko w 2020 r. do osób w trudnej sytuacji życiowej trafiły 64 tys. ton artykułów spożywczych. FPBŻ zajmuje się edukacją i działaniami mającymi na celu wzrost społecznej świadomości nt. konsekwencji marnowania żywności i sposobów zapobiegania temu zjawisku.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 57/0621/F

eprasa.pl 3c57561b6e

Krytyka neoliberalnego umysłu. O budowie społeczeństwa otwartego



Trzecia Rzeczpospolita była krajem zablokowanego awansu, walczącym z prawdziwym społeczeństwem otwartym, gdzie szanse na zrealizowanie potencjału były odmawiane polskiej prowincji

Granice naszego języka są granicami naszego świata – jak błyskotliwie zauważył Ludwig Wittgenstein. Z perspektywy zarówno teoretyka, jak i praktyka polityki trudno znaleźć lepszy opis tego, jak ważne są słowa w polityce. Tradycja naprawy państwa od przywrócenia pojęciom ich właściwego znaczenia to topos obecny zarówno w tradycji refleksji politycznej starożytnej Grecji, jak i cywilizacji chińskiej.

Panującą ideologią Trzeciej Rzeczypospolitej był liberalizm. Broniąc prawa własności i wolności jednostki od państwa, miał usankcjonować lepsze jutro po doświadczeniu komunistycznego państwa policyjnego. Jednak liberalizm po polsku okazał się głównie ideologią broniącą prywatyzacji aktywów komunistycznego państwa, bez przywrócenia elementarnego poczucia sprawiedliwości. Prywatyzację należy rozumieć sensu largo, to nie tylko było przechwycenie własności prywatyzowanych naprędce państwowych firm przez byłych członków PZPR, lecz również swoista prywatyzacja dostępu do zawodu przez korporacje zawodowe. Długi cień wojskowej komunistycznej dyktatury Jaruzelskiego w postaci koncesji danych pewnym grupom zawodowym stał się fundamentem liberalnego ładu III RP.

Sukces w życiu człowieka, według dominującej narracji medialnej, miał być tylko i wyłącznie pochodną własnych wysiłków i pracy. Niczym za dotknięciem magicznej liberalnej różdżki dziedziczenie przywilejów zawodowych i kapitału społecznego nie miało dotyczyć Polski, która – jeśliby uwierzyć wiodącym mediom – była krajem poza powszechnie obserwowanymi prawami zjawisk socjologicznych. Polska była doprawdy magiczną ekonomiczną Nibylandią, krajem poza czasem i przestrzenią. Nibylandią, w której paski telewizyjnych neoliberalnych mediów nie były skalane danymi o postępujących nierównościach społecznych.

Polscy liberałowie – którzy tak ukochali Poppera i jego znaną książkę „Społeczeństwo otwarte i jego wrogowie", której tytuł tak często w polskich debatach był przeciwstawiany prawicy i jej filozofii – byli doprawdy najlepszymi trubadurami polskiej Nibylandii. Szukanie wrogów społeczeństwa otwartego było wręcz ulubioną zabawą niektórych liberalnych publicystów i polityków. Wielkim paradoksem III RP był fakt, że największymi wrogami społeczeństwa otwartego byli jego medialni obrońcy. Gdzie był lament liberalnych publicystów i intelektualistów, gdy dekapitowano pekaesy, koleje, gdzie nawet kredyt studencki był tak obwarowany różnymi wymaganiami

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 3c57561b6e

i tak niski, że nie mógł w dostatecznym stopniu pomóc sfinansować studia ludziom z prowincji. Gdzie byli ci liberałowie, gdy blokowano dostęp do zawodów prawniczych czy specjalizacji medycznych ludziom spoza towarzystwa. Jak można było nie bić na alarm, że III RP najbardziej opodatkowuje w klinie podatkowym najmniej zamożne warstwy społeczne, a szaty rozdzierać nad tym, że dobrze zarabiające osoby na działalności gospodarczej będą miały ograniczane przywileje podatkowe trzymające w finansowej zapaści służbę zdrowia.

Dlaczego brak inwestycji infrastrukturalnych poza wielkimi miastami był uważany za normalny stan rzeczy? Czy polska prowincja nie zasługuje na drogi, chodniki, kanalizację, gazyfikację? Czy liberalna ideologia posiadania na sztucznie niskim poziomie długu publicznego bez rozróżnienia na dług inwestycyjny i konsumpcyjny musiała 30 lat trzymać Polskę poza dużymi miastami w stanie niezrealizowanego potencjału i być źródłem masowej emigracji? Od lat 30. XX w. wiemy, że produktywne inwestycje publiczne to znakomity sposób na wzrost gospodarczy i zmniejszenie bezrobocia, a zamiast tego żyliśmy w kulcie strachu przed wzrostem długu, ludzie z prowincji zaś musieli szukać swojego szczęścia na przysłowiowym zmywaku w Wielkiej Brytanii. Czy to doprawdy brak starań własnych był przyczyną tego, że mniejsze polskie miejscowości się wyludniały, a nie liberalne zwijanie państwa, gdzie największym złem były inwestycje publiczne? To, że pracownik fizyczny w Ciechanowie był bardziej obciążony klinem podatkowym od dobrze prosperującego warszawskiego prawnika, to też zapewne „żelazne" prawa rozwoju, a nie prawdziwa twarz polskiego liberalizmu.

Trzecia Rzeczpospolita była krajem zablokowanego awansu, walczącym z prawdziwym społeczeństwem otwartym, gdzie szanse na zrealizowanie potencjału były odmawiane polskiej prowincji. W dłuższym sensie historycznym Polska zawsze była krajem zablokowanego awansu, gdyż polska szlachta prowadziła politykę antymiejską i wprowadziła pańszczyznę, przywiązując chłopów do ziemi, doprowadzając kraj do ekonomicznej ruiny. Skromny kulturalny dorobek nowożytnej Polski na tle zachodniej Europy to konsekwencja walki polskiej szlachty o uniemożliwienie innym grupom społecznym awansu społecznego i ekonomicznego. Broniąc złotej wolności, nie różniła się od współczesnych polskich liberałów, którzy dla obrony swoich przywilejów są gotowi ogłaszać na przemian upadek demokracji lub gospodarki. Tymczasem, jak pokazują badania, wśród Polaków wróciła wiara w to, że kartka wyborcza ma znaczenie, a wyniki gospodarcze wzbudzają powszechny globalny podziw.

> Polacy z Białej Podlaskiej, Radomia czy Lublina, miast mi bliskich z racji urodzenia, wychowania i wykształcenia, powinni mieć prawo tworzyć wartość dodaną dla globalnej gospodarki u siebie w domu, a nie w Londynie czy Berlinie, gdzie pracują zbyt często poniżej własnych kwalifikacji

Czym jest Polski Ład? To koniec liberalizmu po polsku, który był niczym więcej niż postkomunistycznym neoliberalizmem, służącym interesom polskiej półoligarchii biznesowej i korporacyjnej, nieraz z długim cieniem komunizmu w tle. Jak pokazują dane, polska gospodarka znakomicie skorzystała na otwarciu i ponownej reintegracji z światowym handlem. Polacy doskonale odnajdują się w zglobalizowanym świecie i dzięki Polskiemu Ładowi polska prowincja będzie mogła się włączyć dużo lepiej w otwartą globalną gospodarkę poprzez wykorzystanie swojego potencjału przemysłowego, dzięki koniecznym inwestycjom infrastrukturalnym i poprzez odbudowę polskiego dziedzictwa.

Polacy z Białej Podlaskiej, Radomia czy Lublina, miast mi bliskich z racji urodzenia, wychowania i wykształcenia, powinni mieć prawo tworzyć wartość dodaną dla globalnej gospodarki u siebie w domu, a nie w Londynie czy Berlinie, gdzie pracują zbyt często poniżej własnych kwalifikacji. Globalizacja i społeczeństwo otwarte leżą w najlepszym interesie polskiej prowincji, ale nie w formule postkomunistycznego neoliberalizmu, który wyrządził już dość szkód Polsce.

Ministerstwo Finansów nie tylko przygotowało pakiet podatkowy wprowadzający większą sprawiedliwość w opodatkowaniu pracy, lecz również cały zestaw ulg podatkowych, które pomogą Polsce stać się europejską, a może i globalną stolicą innowacji. Jesteśmy zdeterminowani, by pomóc budować polskie, globalne firmy z siedzibami w Przemyślu, Kędzierzynie-Koźlu czy Sandomierzu. Polski Ład to wielka szansa na wykorzystanie tego wielkiego potencjału drzemiącego w Polsce poza wielkimi miastami. Przyszłość Polski będzie wreszcie sumą jej wszystkich potencjałów, a nie opowieścią o sukcesach nielicznych, którzy na ogół pochodzili z rodzin z odpowiednio dużym kapitałem społecznym czy urodzili się w dużych miastach, gdzie łatwiej o karierę. Czasy „sprywatyzowanego" prawa do sukcesu elit się skończyły. Polskie państwo wróciło.

Piotr Patkowski
Autor jest wiceministrem finansów

eprasa.pl 3c57561b6e

Nikogo nie wykluczyć

Cyfryzacja to jedno z tych słów, które wyjątkowo często się pojawiają w przestrzeni publicznej. Słyszymy je z ust polityków, ludzi biznesu, twórców. Co właściwie oznacza? Jaki los czeka tych, którzy nie rozpoznają w porę, że „cyfryzujący" się świat wymaga nowych kompetencji? I to nie tylko tych z obszarów zawodowych, lecz potrzebnych, by prowadzić zwykłe, satysfakcjonujące, codzienne życie

Wśród laureatek tegorocznej, 12. już edycji konkursu Bizneswoman Roku organizowanego przez Fundację Sukces Pisany Szminką znalazła się szefowa innej fundacji – Pro Cultura – Magdalena Janczewska. Została ona wyróżniona w specjalnej kategorii konkursowej – przeciwdziałanie wykluczeniu cyfrowemu – którą wspólnie z organizatorem konkursu stworzył Huawei. Warto się przyjrzeć bliżej działalności Fundacji Pro Cultura, bo wykracza ona daleko poza schematy pomocowe, jakie zazwyczaj są świadczone przez podobne podmioty.

Sztandarowym projektem Pro Cultura jest internetowe Radio SoVo. To absolutnie wyjątkowe medium, tworzone w sposób profesjonalny przez 30 zespołów w całej Polsce, z których 15 stanowią seniorzy, a 15 osoby z niepełnosprawnością intelektualną. Jak sobie radzą? Najlepiej sprawdzić samemu na stronie radiosovo.pl.

– Działamy jak klasyczne medium. Mamy kolegia redakcyjne, ustalamy ramówkę ze stosownym wyprzedzeniem. Ja pełnię funkcję redaktor naczelnej, ale nasze zespoły są samodzielne. Zostały wyposażone w pełen zestaw sprzętu koniecznego do produkcji audiowizualnej i same realizują swoje audycje. Ekipy złożone z osób z niepełnosprawnością intelektualną mają do pomocy lidera w postaci terapeuty, seniorzy radzą sobie sami – opisuje Magdalena Janczewska.

Praca przy tworzeniu internetowego radia i powiązanego z nim portalu w naturalny sposób sprawia, że zaangażowane w to osoby nabywają umiejętności poruszania się w cyfrowym świecie. Ich doświadczenie pokazuje, że przedstawiciele grup, które często uznawane są za najmniej kompatybilne z wyzwaniami, jakie niesie cyfryzacja, potrafią się w niej doskonale odnaleźć.

– Często pokutują takie stereotypy, by np. babci czy dziadkowi nie pozwalać korzystać z komputera – bo coś zepsuje. To błąd! Seniorzy, którzy tylko dostaną taką możliwość, genialnie się w tym odnajdują – przekonuje Magdalena Janczewska.

Istnienie Radia SoVo jest najlepszym dowodem na słuszność tej tezy. W planach Fundacja Pro Cultura ma kolejne projekty społeczne.

– Zamierzamy ruszyć z akcją „Wymiatamy internety". Chcemy uczyć weryfikowania informacji, a więc rozpoznawania fejków, oraz tego, jak walczyć z hejtem. Chcemy pokazywać, że internet to wspaniałe narzędzie, które pozwala nam budować własną tożsamość, promować wartościową twórczość, inspirować i rozwijać innych, ale żeby uwypuklić te zalety sieci, najpierw musimy „posprzątać", stąd właśnie nazwa „Wymiatamy internety". Dziś niestety zbyt często szerokie grona odbiorców zyskują treści patologiczne, brukowe, bezwartościowe. Warto podjąć wysiłek, by zmieniać te trendy, dlatego mamy nadzieję, że znajdziemy partnerów, którzy zechcą wesprzeć nas finansowo w realizacji tego projektu – mówi Magdalena Janczewska.

Na podkreślenie zasługuje fakt, że projekty przeciwdziałające wykluczeniu cyfrowemu fundacja zarządzana przez Magdalenę Janczewską podjęła, jeszcze zanim ktokolwiek słyszał o koronawirusie i zanim lwia część naszego codziennego życia przeniosła się do sieci.

– W dobie pandemii umiejętność poruszania się po cyfrowym świecie jest często warunkiem sine qua non do utrzymania dobrej kondycji psychicznej – dodaje Magdalena Janczewska. – Możliwość kontaktu z bliskimi choćby przez ekran monitora ma ogromne znaczenie. Internet stał się oknem na świat. Dlatego dbajmy wspólnie o to, by każdy potrafił skorzystać z dobrodziejstw nowoczesności.

BZ

Wsparcie innowacyjnych rozwiązań

Ryszard Hordyński, dyrektor ds. strategii i komunikacji w Huawei Polska

Tworząc nową kategorię, chcieliśmy podwójnie wesprzeć walkę z wykluczeniami. Z jednej strony promujemy najlepsze wzorce, by inspirować młode pokolenie kobiet, przyszłych liderek, do tworzenia innowacyjnych rozwiązań. Z drugiej – nagradzamy projekty na rzecz walki z wykluczeniem cyfrowym, które dotyka cały szereg grup społecznych, w tym także i kobiety. Przeciwdziałanie wszelkiego rodzaju wykluczeniom przy wsparciu najnowszych technologii od lat wpisuje się w naszą działalność.

eprasa.pl 3c57561b6e

POLSKI ŁAD

DODATEK EDUKACYJNY

przygotowany we współpracy z Bankiem Gospodarstwa Krajowego

- Jak samorządy i ich związki mogą skorzystać z dotacji na inwestycje?
- Jak wypełnić wniosek o dofinansowanie w aplikacji BGK?
- Gdzie uzyskać dodatkowe informacje?
- Jak uzyskać bezzwrotną dotację nawet do 95 proc. wartości inwestycji?



Polski Ład JUŻ DZIAŁA!

BGK BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO

JAK WSZYSCY MOŻEMY SKORZYSTAĆ Z RZĄDOWEGO FUNDUSZU POLSKI ŁAD: PROGRAMU INWESTYCJI STRATEGICZNYCH?

eprasa.pl 3c57561b6e



Polski Ład – to już się dzieje!

Polska gospodarka w najbliższej przyszłości ma uzyskać potężny impuls rozwojowy w postaci wdrożenia pierwszych założeń Polskiego Ładu. Już od 2 lipca przyjmowane są wnioski w ramach Programu Inwestycji Strategicznych

Jestem przekonany, że od przyszłego roku ten silnik inwestycyjny – na początek inwestycji publicznych, później też prywatnych – bardzo mocno się połączy i rzeczywiście tempo wzrostu inwestycji w kolejnych dwóch–trzech latach będzie dwucyfrowe – mówił po ogłoszeniu Polskiego Ładu Paweł Borys, stojący na czele Polskiego Funduszu Rozwoju.

Inwestycje publiczne, które pierwsze napędzą Polski Ład, będą realizowane przez samorządy i ich związki. Do 30 lipca mogą one składać wnioski w aplikacji Banku Gospodarstwa Krajowego o dofinansowanie nawet 95 proc. wartości planowanych inwestycji z Rządowego Funduszu Polski Ład.

– Chcemy się skupić na tych inwestycjach, które dadzą największą efektywność ekonomiczną, dadzą nadzieję na większe przychody samorządu i jednocześnie poprawią jakość życia mieszkańców. To bardzo ważne i unikatowe rozwiązanie dające szanse na to, aby inwestycje odkładane od lat zaczęły być realizowane – powiedziała Beata Daszyńska-Muzyczka, prezes BGK.

W pierwszej transzy Rządowego Funduszu Polski Ład przeznaczonego na Program Inwestycji Strategicznych jest aż 20 mld zł, co jest sumą niebagatelną, gdyż wszystkie roczne wydatki inwestycyjne samorządów w Polsce wynoszą 50 mld zł.

STRATEGICZNE INWESTYCJE... LOKALNE

Premier Mateusz Morawiecki zapowiedział, że w ciągu pierwszych trzech lat realizacji Polskiego Ładu wartość programów ma wynieść 100 mld zł.

– Program Polskiego Ładu to program działania z rozmachem, perspektywicznego, długofalowego; w dłuższym terminie zaplanowane inwestycje strategiczne podniosą poziom produktywności całej polskiej gospodarki – podkreślał wielokrotnie premier Mateusz Morawiecki.

Fot. PIS.org.pl

eprasa.pl 3c57561b6e

Pieniądze, które na początek zostaną skierowane na inwestycje samorządowe, w krótkiej perspektywie mają poprawić kondycję finansową polskich firm, których wiele będzie z pewnością realizatorami zamówień publicznych. Jak wiadomo, Polski Ład chce ukierunkować strumień pieniędzy w stronę inwestycji, które mają dokonać przełomu w naszej gospodarce. Priorytetami będą zatem inwestycje z obszarów cyfryzacji i „zazieleniania" przemysłu.

– W Polskim Ładzie duży nacisk położony jest na to, żeby przyspieszyć cyfryzację polskiej gospodarki, jest mowa o wdrożeniu 5G. System szczepień pokazał, że możliwa jest też cyfryzacja służby zdrowia. Duży nacisk położony jest też na transformację energetyczną i – w szerszym wymiarze – ochronę klimatu – mówił Paweł Borys.

Jednak Polski Ład to nie tylko inwestycje samorządowe związane z budową i remontami nowych dróg i innej niezbędnej na poziomie lokalnym infrastruktury, takiej jak chociażby świetlice czy boiska, lecz także projekty o znaczeniu ogólnokrajowym, jak Centralny Port Komunikacyjny wraz z całą siecią połączeń kolejowych. Kolejnym obliczem Polskiego Ładu będą propozycje skierowane bezpośrednio do polskich rodzin i przedsiębiorców, jak choćby gwarancje wystawiane przez BGK na pokrycie wkładu własnego przy kredycie na zakup mieszkania.

POLSKI ŁAD JUŻ DZIAŁA

Dyskusja w przestrzeni publicznej o Polskim Ładzie została zdeterminowana przez tematy okołopodatkowe, a często także przez rozważania czysto polityczne – np. czy plan nie powstał jako program wyborczy przed ewentualnymi wyborami parlamentarnymi. I chociaż żadne wybory ogłoszone nie zostały i nikt nie podwyższa podatków, od początku lipca trwa już przyjmowanie wniosków przez BGK w ramach Programu Inwestycji Strategicznych. To konkretne działania podejmowane i realnie działające w ramach Polskiego Ładu.

Strategicznym, najważniejszym celem Polskiego Ładu jest to, by Polacy osiągnęli poziom życia porównywalny z tym, jakim cieszą się obywatele najbogatszych krajów Europy. Premier Mateusz Morawiecki mówi o tym wprost: „Polski Ład to bilet do życia na poziomie Zachodu". Jeśli cel ten rzeczywiście będzie realizowany, to istnieje też ogromna szansa na to, że wielu Polaków, którzy dotąd szukali lepszego życia na obczyźnie, zacznie wracać do Polski. Z taką sytuacją, kiedy więcej Polaków wróciło do kraju, niż wyjechało, mieliśmy już do czynienia w zeszłym roku. Wdrożenie założeń Polskiego Ładu ma ten proces przyspieszyć, zwłaszcza że napędzana przez inwestycje gospodarka będzie potrzebowała wielu wykwalifikowanych pracowników.

Jednym z narzędzi, które może wspomóc podjęcie decyzji o powrocie do Polski, jest zapisany w Polskim Ładzie specjalny program powrotu kapitału. Jak czytamy na stronach rządowych to „program dla Polaków, którzy mają majątek lub ukryte dochody za granicą. W jego ramach będzie można powrócić z majątkiem i dochodami bez obaw o wszczęcie postępowań w sprawie unikania opodatkowania".

Polski Ład jest programem kompleksowym, zorientowanym na wzrost zamożności społeczeństwa poprzez napędzanie rozwoju gospodarczego inwestycjami lokalnymi i krajowymi. Jeśli dołożymy do tego inwestycje, które mają być realizowane w ramach tzw. Krajowego Planu Odbudowy, skorelowanego z funduszami pochodzącymi z unijnego funduszu odbudowy, możemy mieć nadzieję, że przed Polską najbliższe lata będą czasem jeszcze szybszego niż przed wybuchem pandemii wzrostu gospodarczego.

NOWY AMERYKAŃSKI ŁAD

Do tej pory najsłynniejszym w dziejach programem odbudowy, który zawierał w sobie słowo „ład", był amerykański New Deal (Nowy Ład), czyli program reform opracowany przez gabinet prezydenta Herberta Hoovera, a w pełni wdrożony przez jego następcę Franklina Delano Roosevelta. Była to amerykańska odpowiedź na wielki kryzys końca lat 20. XX w., do którego często bywa porównywana obecna sytuacja wywołana na świecie przez pandemię SARS-CoV-2.

New Deal poza wprowadzeniem reform z obszaru polityki społecznej i regulacji stosunków pracy opierał się w głównych założeniach na zwiększeniu aktywności państwa w dziedzinie inwestycji. Dzięki programowi w całych Stanach Zjednoczonych zbudowano m.in. setki tysięcy budynków użyteczności publicznej. New Deal był pierwszym państwowym programem w USA, który doprowadził do tak znacznej rozbudowy infrastruktury w tym ogromnym kraju i położył podwaliny pod późniejszy szybki wzrost potęgi gospodarczej Ameryki, któremu pomogły także zamówienia rządowe realizowane w czasie II wojny światowej.

Polski Ład czerpie właśnie m.in. z tamtych amerykańskich doświadczeń, zwłaszcza że nasz kraj wciąż boryka się z niedoborem infrastruktury, głównie drogowej i kolejowej. Wciąż dysponujemy tylko jedną w pełni ukończoną autostradą – A4, cała ściana wschodnia nie doczekała się tak potrzebnych do rozwoju tras Via Baltica i Via Carpatia, stolica Polski ma w pełni ekspresowe drogowe połączenia jedynie z trzema dużymi miastami – Poznaniem, Białymstokiem i Wrocławiem. Tymczasem to właśnie położenie geograficzne Polski jest atutem, który teraz – w dobie opracowywania planów na wyjście z kryzysu, powinien zostać w pełni wykorzystany. To właśnie teraz należy zintensyfikować i przyspieszyć prace nad Centralnym Portem Komunikacyjnym i połączeniami drogowymi oraz szybkiej kolei do niego z każdego regionu Polski. To teraz w Polsce należy myśleć o zrealizowaniu inwestycji lokalnych, samorządowych przez lata odkładanych „do szuflady" ze względu na brak środków i państwowego wsparcia. Polski Ład daje nadzieję, że tym razem naszą szansę wykorzystamy.

(bart)

eprasa.pl 3c57561b6e

POLSKI ŁAD

Samorządowe wnioski o dofinansowanie inwestycji



Do 30 lipca samorządy i ich związki mogą składać do aplikacji Banku Gospodarstwa Krajowego wnioski o dofinansowanie swoich inwestycji z Rządowego Funduszu Polski Ład: Program Inwestycji Strategicznych. Wsparcie finansowe ma za zadanie przyspieszyć inwestycje rozwojowe w regionach w całej Polsce. Samorządy dostaną nawet do 95 proc. bezzwrotnego dofinansowania na inwestycje, m.in. w infrastrukturę wodno-kanalizacyjną, modernizację źródeł ciepła na zeroemisyjne i w gospodarowanie odpadami

Rządowy Fundusz Polski Ład: Program Inwestycji Strategicznych to nowa forma wsparcia inwestycji realizowanych przez samorządy. Ma wspomóc m.in. rozwój przedsiębiorstw i poprawić zróżnicowane regionalnie warunki życia Polaków.

KORZYŚCI DLA REGIONÓW

O sytuacji finansowej samorządów świadczy nadwyżka operacyjna. To ona pokazuje, czy jednostki samorządu terytorialnego (JST) będą w przyszłości w stanie inwestować. W ubiegłym roku nadwyżka ta spadła o ponad 11 proc. Samorządy zredukowały nakłady inwestycyjne o ponad 4 proc. Tak więc pieniądze z nowego programu pomogą samorządom zrealizować inwestycje potrzebne lokalnym społecznościom i odbudować gospodarkę.

– Drogi, przedszkola, kanalizacja i inne inwestycje są potrzebne we wszystkich regionach Polski, ale samorządom brakuje pieniędzy na ich sfinansowanie. Rządowy Fundusz Polski Ład: Program Inwestycji Strategicznych jest odpowiedzią na potrzeby inwestycyjne samorządów. Korzyści z tego programu będzie czerpać społeczeństwo i cała gospodarka – mówi Beata Daszyńska-Muzyczka, prezes Banku Gospodarstwa Krajowego.

ZASADY PROGRAMU

Cała procedura będzie się odbywała w pełni elektronicznie – w specjalnie przygotowanej aplikacji programu.

Bank Gospodarstwa Krajowego będzie przyjmował wnioski o dofinansowanie za pomocą aplikacji. Po zakończeniu naboru przekaże zbiorczy raport do komisji w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Komisja ta przygotuje rekomendację, na podstawie której prezes Rady Ministrów zdecyduje o przyznaniu dofinansowania. Informację o przyznaniu dofinansowania samorząd otrzyma w aplikacji, za której pośrednictwem złożył wniosek.

Program będzie realizowany poprzez wystawianie promes przez Bank Gospodarstwa Krajowego. Aby JST mogła uruchomić przetarg, otrzyma od Banku Gospodarstwa Krajowego wstępną promesę, a po zakończeniu przetargu promesę inwestycyjną. Promesa inwestycyjna jest równoznaczna z przyrzeczeniem zapłaty kwoty, na którą opiewa.

Jednostki samorządu terytorialnego (JST) i ich związki mogą składać wnioski o dofinansowanie w specjalnie przygotowanej aplikacji. Wcześniej za pośrednictwem platformy e-PUAP składają wniosek o nadanie dostępu do tej aplikacji. Informacje o tym, jak to zrobić, są dostępne na stronie Rządowego Funduszu Polski Ład: Program Inwestycji Strategicznych – bgk.pl/polski-lad.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 3c57561b6e

Każda jednostka może złożyć trzy wnioski o dofinansowanie według następujących wytycznych:

– jeden wniosek bez kwotowego ograniczenia,

– jeden wniosek, którego wartość dofinansowania nie może przekroczyć 30 mln zł,

– jeden wniosek, którego wartość dofinansowania nie może przekroczyć 5 mln zł.

Podczas wypełniania wniosku należy wskazać jeden z 35 obszarów inwestycyjnych. Każdy obszar mieści się w jednym z czterech priorytetów o różnej wadze. W pierwszym – pilotażowym – naborze największą wagę, a tym samym szansę na dofinansowanie mają m.in. inwestycje w infrastrukturę wodno-kanalizacyjną, infrastrukturę drogową, modernizację źródeł ciepła na zeroemisyjne czy w gospodarowanie odpadami. Szczegółowa lista obszarów wraz z określonym priorytetem znajduje się na stronie bgk.pl/polski-lad.

Wnioski, które mieszczą się w pierwszym priorytecie, mogą dostać dofinansowanie w wysokości nawet do 95 proc. wartości inwestycji, wnioski w drugim priorytecie mogą liczyć nawet na 90 proc. dofinansowania, w trzecim nawet na 85 proc. i w czwartym nawet 80 proc.

W przypadku inwestycji, których realizacja będzie trwała 12 miesięcy lub krócej, środki z programu zostaną wypłacone po zakończeniu realizacji inwestycji. W przypadku inwestycji, których realizacja będzie trwała dłużej niż 12 miesięcy, samorząd otrzyma środki w dwóch–trzech transzach, zgodnie z harmonogramem realizacji inwestycji (po zrealizowaniu kolejnych jej etapów).

Podczas spotkania z podlaskimi samorządowcami Radosław Kwiecień, członek zarządu Banku Gospodarstwa Krajowego, podkreślał, że celem programu jest głównie zrównoważony rozwój.

– Program będzie wehikułem inwestycyjnym, który pozwoli wyrównywać różnice rozwojowe, skracać dystans pomiędzy słabszymi i mocniejszymi regionami nie tylko w Polsce, lecz i w Europie – mówił Radosław Kwiecień.

POTRZEBY I MOŻLIWOŚCI

W programie można złożyć wniosek na każdą inwestycję, która mieści się w 35 obszarach. Z programu mogą zostać sfinansowane zarówno budowy chodnika, żłobka, ale także kanalizacji czy nowej drogi.

Radosław Kwiecień mówi, że inwestycje priorytetowe obejmują gospodarkę niskoemisyjną, efektywną energetykę, ekologiczny transport, cyfryzację, inwestycje infrastrukturalne.

– Lokalne potrzeby inwestycyjne są zróżnicowane, jednak program ten pokrywa wszystkie obszary –stwierdził Radosław Kwiecień.

Samorządy muszą zapewnić wkład własny do planowanych inwestycji. W pierwszej transzy wsparcia do wykorzystania jest 20 mld zł. Dofinansowanie jest co prawda wysokie, jednak trzeba pamiętać o tym, że jest ono uzależnione od priorytetu obszaru obejmowanego inwestycją. Można otrzymać od 80 do nawet 95 proc. potrzebnych pieniędzy, ale resztę musi zagwarantować samorząd.

Zdaniem Radosława Kwietnia program wsparcia inwestycji lokalnych uruchomi pieniądze zgromadzone w bankach, które nie są wykorzystane. Projekt będzie finansowany przez wykonawców, z ich środków lub kredytu na realizację danego kontraktu.

– Rozliczanie inwestycji następuje z dołu – zapewnia Radosław Kwiecień. Planuje się, że pierwsze przetargi na inwestycje zostaną ogłoszone we wrześniu.

– Misją Banku Gospodarstwa Krajowego jest wspieranie zrównoważonego rozwoju społeczno-gospodarczego kraju. Jesteśmy dumni, że zrealizujemy program, który pomoże gospodarce, lokalnym społecznościom, a wiele z dofinansowanych inwestycji przyczyni się do budowania bardziej zrównoważonej gospodarki – mówi Beata Daszyńska-Muzyczka.

Na programie skorzystają też przedsiębiorcy. Realizacja wielu inwestycji przypadnie lokalnym firmom. Rządowy program pomoże im w rozwoju biznesu, będzie też stymulował powstawanie nowych miejsc pracy.

Jak powiedziała Beata Daszyńska-Muzyczka w rozmowie z ISBnews, dofinansowanie z Rządowego Funduszu Polski Ład: Program Inwestycji Strategicznych może wynieść 40–50 proc. rocznych wydatków inwestycyjnych samorządów.

– Wnioski powinny uwzględniać priorytety Funduszu Polski Ład, czyli w pierwszej kolejności inwestycje w drogi, wodę, kanalizację, gospodarkę odpadami, oczyszczalnie ścieków czy OZE. W tym roku zaplanowano dwa nabory łącznie na 30 mld zł, a trzeba pamiętać, że całość inwestycji, w ujęciu rocznym, to 50–60 mld zł. To oznacza, że ogłaszamy nabór na 40–50 proc. tego, co samorządy rocznie wydają – mówi Beata Daszyńska-Muzyczka.

Jej zdaniem program powinien trwać 10–15 lat, aby realnie zmieniła się jakość życia mieszkańców.

– Ten program pozwoli nam zwiększyć intensywność działań samorządów w zakresie inwestycji. Rozwój społeczno-gospodarczy Polski lokalnej musi nabrać większej dynamiki. Wychodzimy wreszcie z tego załamania spowodowanego pandemią, które również wywarło wpływ na tempo inwestycji samorządowych – powiedział Bohdan Paszkowski, wojewoda podlaski, podczas spotkania z lokalnymi samorządowcami.

BGK to państwowy bank rozwoju, który inicjuje i realizuje programy służące wzrostowi ekonomicznemu Polski, współpracując ze wszystkimi instytucjami rozwoju, jak PFR, KUKE, PAIH, PARP i ARP. BGK realizując strategiczne projekty rozwojowe, finansuje m.in. największe inwestycje infrastrukturalne, zwiększa dostęp Polaków do mieszkań oraz pobudza przedsiębiorczość polskich firm w kraju i za granicą. Jest inwestorem w funduszach, których aktywami zarządza Polski Fundusz Rozwoju.

Pełna lista priorytetów i obszarów inwestycyjnych jest dostępna na stronie internetowej www.bgk.pl/polski-lad.

Robert Olesiński

eprasa.pl 3c57561b6e

Pieniądze po wykonaniu inwestycji



Mateusz Walewski
główny ekonomista Banku Gospodarstwa Krajowego, dyrektor Biura Badań i Analiz

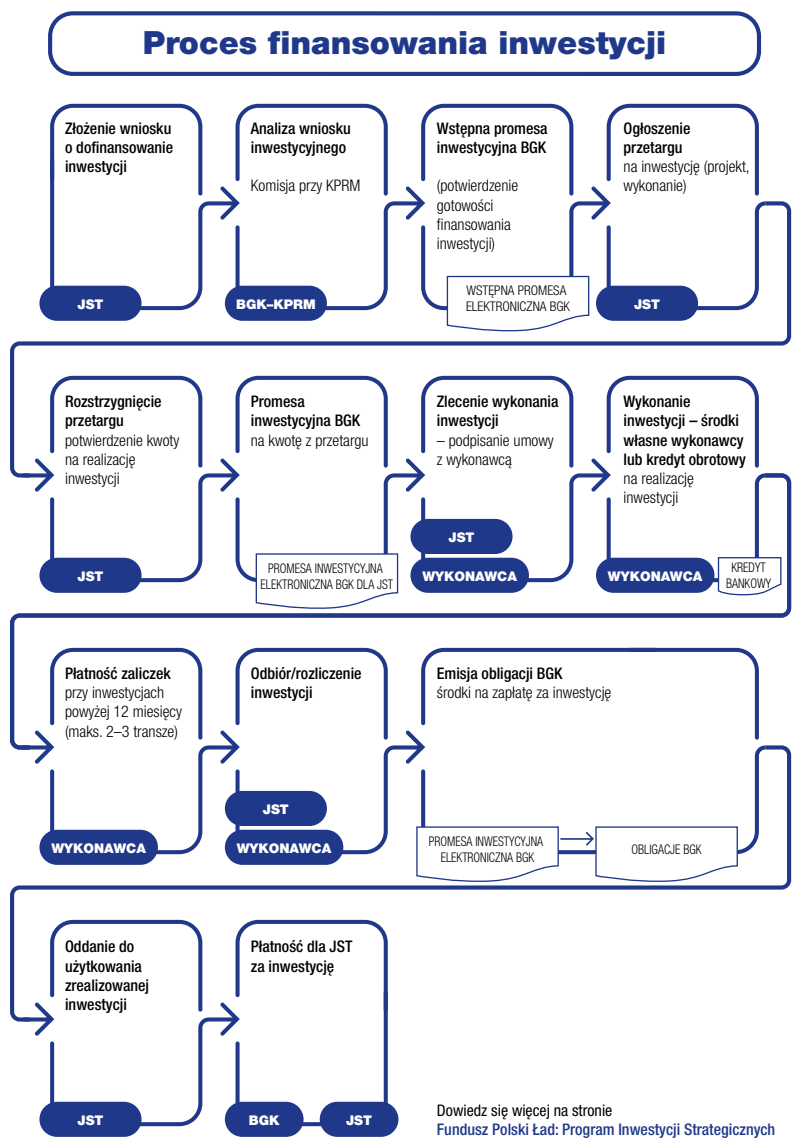
Samorządy w Polsce inwestują bardzo dużo w różnych aspektach życia lokalnego, w drogi, kanalizacje, szkoły, przedszkola i tego typu obiekty. Podnoszona jest klasa energetyczna budynków, modernizowane są elektrociepłownie. Te inwestycje samorządowe z powodu pandemii spadły w ujęciu nominalnym. W ubiegłym roku spadły o 4,2 proc., a w pierwszym kwartale tego roku były o 18,3 proc. mniejsze niż rok wcześniej i to powoduje, że jest potrzeba wsparcia samorządowych inwestycji. Zwłaszcza że mogą one zdecydowanie pomóc w podniesieniu standardu życia mieszkańców wielu regionów. To właśnie inwestycje, których waga jest mocno podkreślona w Programie Inwestycji Strategicznych Polski Ład, pozwolą powrócić regionom na ścieżkę rozwoju po pandemii.

Trzeba pamiętać, że to nie są dotacje. Samorządy nie dostaną gotówki do ręki. W ramach tego projektu dostaną promesę czy obietnicę zapłaty za inwestycję, która będzie wykonana. I te pieniądze wpłyną na konta samorządów dopiero wtedy, gdy ta inwestycje będzie zrealizowana, chyba że trwa powyżej 12 miesięcy, to wtedy będzie wypłata w transzach. To znaczy, że najpierw jest promesa, potem przetarg, wybór wykonawcy, potem jest taka pełna promesa, na kwotę uzależnioną od przetargu, i potem, jak się inwestycja zakończy, są pieniądze. Czyli nie ma mowy o zwracaniu czegokolwiek, dlatego że napływ pieniądza jest po wykonaniu inwestycji.

Wkład własny samorządów musi być i on jest deklarowany. Jeżeli np. samorząd otrzyma promesę na 95 proc. wartości inwestycji, to te 5 proc. musi pokryć z własnych środków. Mówiąc obrazowo – inwestycja ma wartość 1 mln zł, czyli samorząd musi dać 50 tys. zł, a na resztę, czyli 950 tys. zł, BGK składa promesę, czyli obiecuje, że samorząd otrzyma taką kwotę na zapłatę wykonawcy. Z kolei wykonawca na podstawie takiej promesy może wziąć kredyt obrotowy w banku. Samorząd będzie dysponował promesą, czyli dokumentem gwarantującym środki na inwestycję, a wykonawca może użyć tej promesy jako podstawy do uzyskania kredytu obrotowego. Zaczyna prace, a po ich zakończeniu od samorządu otrzymuje na podstawie promesy BGK wynagrodzenie.

Niedawno zaczęliśmy zbierać wnioski, a widzimy już w systemie kilkaset aplikacji. Tak więc widać spore zainteresowanie tym projektem.

Notował Robert Olesiński



Dowiedz się więcej na stronie
Fundusz Polski Ład: Program Inwestycji Strategicznych

Dodatek powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 34/0721/F

eprasa.pl 3c57561b6e

Hit tygodnia

Bezlusterkowiec Nikon Z fc

Na ten aparat fani Nikona czekali od lat. I co z tego, że w 2013 r. pojawił się Nikon Fd ze świetną pełnoklatkową matrycą, ale niestety miał duży, nieporęczny korpus i w dodatku był pozbawiony opcji filmowania. Ale ktoś odrobił pracę domową. Nikon Z fc wprost nawiązuje do takich klasycznych aparatów na film jak choćby model FM2. I ponownie można by spytać, ale z zupełnie innym nastawieniem: i co z tego, że Z fc ma matrycę APS-C i w zasadzie to podrasowany model Z 50? Ponadto nie ma wbudowanej lampy błyskowej? Bądźmy szczerzy, ten aparat jest przeznaczony dla kogoś, kto tęskni za pięknem klasycznych aparatów! I ten cel Z fc zdaje się świetnie realizować. Również vlogerzy będą zadowoleni z opcji filmowania oraz dotykowego, w pełni uchylnego ekranu.

Aparat będzie można kupić z dwoma różnymi obiektywami „kitowymi" do wyboru, w stylistyce nawiązującej do Z fc: Nikkor Z DX 16–50 mm f/3.5-6.3 VR Silver Edition (do matryc APS-C) oraz pełnoklatkowy Nikkor Z 28 mm f/2.8 SE. Sam korpus ma kosztować 4499 zł, co przy dzisiejszych cenach aparatów nie jest jakąś wygórowaną kwotą.

Być może, jeśli sprzedaż okaże się wystarczająco dobra, decydenci w Nikonie postawią na model retro z pełną klatką albo – ale to już marzenie – na wzorowany na dalmierzowym modelu Nikon S z zamierzchłej przeszłości... **Premiera**



Plusy i minusy

+ wygląd wzorowany na klasycznych lustrzankach na film
– mimo wszystko to APS-C, a nie pełna klatka

Smartwatche Huawei z serii Watch 3



Na polskim rynku dostępne są najnowsze smartwatche firmy Huawei: Watch 3 Pro w dwóch wersjach: wersja Elite, z tytanową bransoletą, w rekomendowanej cenie detalicznej 2 399 zł, i wersja Classic, na skórzanym pasku, w cenie 1 999 zł. Huawei Watch 3 występuje w wersji Active (opaska z fluoroelastomeru) w rekomendowanej cenie detalicznej 1 699 zł lub w wersji Classic (na skórzanym pasku) za 1 799 zł. Smartwatche działają na bazie systemu operacyjnego HarmonyOS. Bateria w Watch 3 Pro działa nawet do trzech tygodni na jednym ładowaniu w trybie ultra, siedem dni w trybie LTE oraz pięć dni w trybie smart (podczas korzystania z funkcji eSIM). Model Watch 3 w trybie ultra umożliwia do dwóch tygodni pracy na jednym ładowaniu, natomiast w przypadku korzystania z eSIM – do trzech dni. W obydwu modelach zaledwie 10 min bezprzewodowego ładowania pozwala na doładowanie baterii do 20 proc. i 15 godzin pracy w trybie LTE. Smartwatche obsługują aż 100 trybów sportowych, w zegarkach znajdziemy też preinstalowany sklep z aplikacjami AppGallery, który umożliwia instalowanie dodatkowych aplikacji na urządzenie. **Premiera**



Słuchawki OPPO Enco Air

OPPO wprowadza na polski rynek bezprzewodowe słuchawki Enco Air. W najnowszym modelu firma postawiła na wygodną obsługę dotykową, długi czas działania – do 24 godzin odtwarzania muzyki – oraz wysoką jakość rozmów dzięki dwóm mikrofonom i technologii rozpoznawania ludzkiego głosu. Bogactwo brzmienia zapewnia 12-milimetrowy przetwornik, a o jakość przesyłu dba kodek AAC HD. **Cena: 399 zł**

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl 3c57561b6e



Frédéric Faroche, prezes zarządu, dyrektor generalny, Grupa Veolia w Polsce

Zielone ogrzewanie inteligentnych miast

Zmiany klimatu i wynikająca z tego konieczność przeprowadzenia transformacji energetycznej na dobre zagościły w polskiej debacie gospodarczo-społecznej, ale jej tematyka w tym kontekście zbyt często sprowadza się do dyskusji o likwidacji kopalń oraz odejściu od węgla. I choć transformacja bez dekarbonizacji nie jest możliwa, to zbyt często pomija się rolę, jaką mogą w niej odegrać sieci ciepłownicze. To błąd, bo stanowią one w Polsce bardzo cenny zasób

Unijna polityka klimatyczna jest jednoznaczna – do 2050 r. wspólnota ma być neutralna klimatycznie. Jednak na drodze do tego państwa członkowskie czeka inny kamień milowy, czyli cel ograniczenia emisji netto gazów cieplarnianych do 2030 r. o co najmniej 55 proc. w porównaniu z poziomem z roku 1990. W dużej mierze będzie można go zrealizować, zmieniając miks paliwowy – zastępując węgiel paliwami niskoemisyjnymi czy źródłami odnawialnymi. Istnieje jednak druga część tego procesu, czyli konieczność zwiększenia efektywności dystrybucji ciepła oraz zmniejszenia zapotrzebowania na nie.

Z tego powodu w realiach polskiej energetyki to właśnie sieci ciepłownicze mają fundamentalne znaczenie. Według danych Urzędu Regulacji Energetyki ich łączna długość wynosi 21,7 tys. km, a z ciepła systemowego w naszym kraju korzysta 16 mln ludzi. To najwięcej w całej Unii Europejskiej. Dla porównania, w zajmujących drugie miejsce Niemczech ciepło z sieci pobiera tylko 10 mln mieszkańców.

CENNE, CHOĆ ZAPOMNIANE ZASOBY

Niestety, polskie systemy ciepłownicze są w większości nieefektywne. O ile w przypadku miast powyżej pół miliona mieszkań-

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 69/0621/F

eprasa.pl 3c57561b6e

ców efektywne jest 99,4 proc. z nich, o tyle w miasteczkach do 20 tys. osób kryteria spełnia zaledwie 13,8 proc.

Znaczenie sieci ciepłowniczych uznało Ministerstwo Klimatu, które w Polityce Energetycznej Polski do 2040 r. zapisało, że odbiorcy w pierwszej kolejności powinni korzystać z ciepła sieciowego wszędzie tam, gdzie istnieją możliwości dostarczenia go z systemu efektywnego. Autorzy strategii wyznaczyli jednocześnie cel, by do 2030 r. spośród systemów ciepłowniczych lub chłodniczych, w których zamówiona moc przekracza 5 MW, efektywnych było co najmniej 85 proc. Większa efektywność to nie tylko redukcja emisji, lecz i mniejsze koszty dla odbiorców dzięki ograniczeniu strat ciepła.

– Sieci ciepłownicze mają wiele zalet w zakresie transformacji energetycznej i to na nich należy się skoncentrować – uważa Frédéric Faroche, prezes zarządu i dyrektor generalny Grupy Veolia w Polsce. – Mogą one przyjmować ciepło z kogeneracji, która pozwala zaoszczędzić 25 proc. energii pierwotnej w porównaniu z oddzielną produkcją ciepła i prądu, odbierać ciepło odpadowe z przemysłu lub spalania odpadów czy ciepło z lokalnej produkcji prosumentów. Takie połączenie – sieci ciepłownicze i kogeneracja – jest szczególnie uzasadnione w polskich warunkach klimatycznych, gdzie muszą istnieć źródła pracujące stale – dodaje.

INWESTYCJE W EFEKTYWNOŚĆ

Veolia jest jedną z tych firm, które intensywnie inwestują w rozwój i modernizację systemów ciepłowniczych. Ich sytuację zna od podszewki, ponieważ w Polsce sieciami zarządza w 58 miastach, w tym w dużych ośrodkach, takich jak Warszawa, Łódź czy Poznań.

Modelowym projektem modernizacyjnym realizowanym przez Veolię jest warszawska Inteligentna Sieć Ciepłownicza. Wpisuje się ona w ideę Smart City, czyli miasta, które wykorzystuje zaawansowane narzędzia teleinformatyczne do usprawnienia swojego funkcjonowania. W tym wypadku zastosowano rozwiązania z zakresu internetu rzeczy oraz zaawansowanej analityki, a skala przedsięwzięcia jest o tyle imponująca, że stołeczna sieć ciepłownicza liczy sobie 1800 km i jest największa w całej Unii Europejskiej. W projekcie digitalizacji zastosowano technologie, które pozwalają zdalnie i w czasie rzeczywistym monitorować i kontrolować pracę trzech przepompowni, 79 komór ciepłowniczych oraz 2,5 tys. węzłów cieplnych. Wcześniej każda zmiana ustawień odbywała się w miejscu ulokowania poszczególnych elementów. W wyniku przebudowy całe zarządzanie odbywa się z jednego centrum decyzyjnego. System zapewnia również dyspozytorom stały dostęp do niezbędnych danych, a także podpowiada optymalne rozwiązania na podstawie matematycznej analizy danych bieżących i historycznych, dzięki czemu można lepiej zarządzać wahaniami zapotrzebowania. To z kolei przekłada się na wyższą efektywność sieci i mniejsze straty ciepła, więc i mniejszy ślad węglowy.

Projekt ISC to tylko część inwestycji realizowanych w ostatnich latach przez Veolię w Warszawie. Duże znaczenie dla poprawy efektywności ma także wymiana węzłów grupowych, zasilających wiele budynków, na węzły indywidualne, przypisane do pojedynczego obiektu. Dzięki temu wspólnoty mają możliwość indywidualnego gospodarowania ciepłem w budynku i zlikwidowania piecyków gazowych służących do podgrzewania wody. Dotychczas zlikwidowano niemal 130 węzłów grupowych i wybudowano prawie 900 węzłów indywidualnych. Doprowadziło to do zmniejszenia strat ciepła równoważnego rocznemu ogrzaniu ponad tysiąca mieszkań o powierzchni 50 mkw., a także ograniczenie emisji gazów cieplarnianych oraz substancji przyczyniających się do powstawania smogu.

Poza tym co roku warszawska sieć rozrasta się o kolejne kilometry, zapewniając dostawy ciepła do nowych osiedli, a w istniejących budynkach zastępując stare, nieefektywne źródła. Co roku podłącza się do niego około 200 obiektów. Na rozwój i modernizację sieci Veolia od 2011 r. wydała ponad 1,2 mld zł. Dzięki tym środkom już 60 proc. rur jest wykonanych w bardziej oszczędnej technologii preizolowanej, a liczba awarii w ciągu roku w okresie ostatnich ośmiu lat spadła o 40 proc. W efekcie prac modernizacyjnych straty ciepła w sieci warszawskiej są też o około 1/3 mniejsze niż średnia dla całej Polski.

Podobnie w innych miastach Veolia aktywnie prowadzi prace modernizacyjno-rozwojowe. W Poznaniu w latach 2016–2020 w technologii rur preizolowanych zbudowano i zmodernizowano prawie 80 km sieci ciepłowniczej. Firma prowadzi swój proces digitalizacji – jej specjaliści przez lata wyposażyli ją w systemy pozwalające na zdalne sterowanie pracą 3 tys. węzłów, a także monitorowania parametrów różnych elementów infrastruktury, co pozwala na szybkie wykrywanie nieprawidłowości i reagowanie na nie.

W Łodzi, w tym samym okresie, wymieniono blisko 85 proc. systemów sterowania węzłami, co umożliwi lepsze zarządzanie siecią ciepłowniczą i ograniczenie strat, w tym strat powstających w źródłach. Przeciętnie jeden system na węźle pozwala na redukcję strat o 1 TOE, co dla łódzkiego systemu ciepłowniczego oznacza poprawę efektywności energetycznej o 9 tys. TOE dla już zrealizowanych inwestycji, a w kolejnych latach potencjał w tym obszarze wynosi 1,5 tys. TOE.

DEKARBONIZACJA BEZ WYKLUCZENIA

Tego typu projekty modernizacyjne, nakierowane na zwiększenie efektywności dystrybucji ciepła, będą prowadzone również w kolejnych latach, stanowiąc uzupełnienie inwestycji transformacyjnych związanych ze zmianą miksu paliwowego: podłączania źródeł gazowych w okresie przejściowym, większe wykorzystanie OZE, energii od prosumentów i odzysku ciepła.

– Celem Veolii w Polsce jest wyeliminowanie węgla w swoich instalacjach do 2030 r. i osiągnięcie zerowej emisji CO_2 do 2050 r. To już się dzieje, podobnie jak zwiększanie efektywności systemów ciepłowniczych. Dużo jest jednak do zrobienia po stronie odbiorców, jeśli chodzi o efektywność energetyczną budynków, ponieważ brak ograniczenia zużycia może prowadzić do ubóstwa energetycznego – wyjaśnia Frédéric Faroche.

Poza wsparciem transformacji sieci ciepłownicze mają jeszcze jedną zaletę – pozwalają na poprawę jakości powietrza, co stanowi jeden z trzech filarów Polityki Energetycznej Polski do 2040 r. Za powstawanie smogu w 46 proc. odpowiadają indywidualne źródła ciepła, zwłaszcza stare piece. Drugie tyle generuje transport oparty na paliwach naftowych. Ciepłownictwo sieciowe ma zatem znaczenie dla tworzenia zdrowego, przyjaznego mieszkańcom otoczenia, dlatego powinno być szeroko stosowane na terenach, gdzie warunki techniczne i ekonomiczne umożliwiają jego rozwój.

eprasa.pl 3c57561b6e



MAORI MUROTA*

Igrzyska na talerzu

Gdy z powodu wzrostu zakażeń Tokio zamyka się na kibiców i skutkiem tej decyzji areny XXXII Letnich Igrzysk Olimpijskich w tym mieście pozostaną puste, książka Maori Muroty staje się swoistym portalem. Bezpiecznym przejściem do zamkniętego dziś miasta.

„Tokio. Kultowe przepisy", wydane przez Znak Koncept tuż przed otwarciem igrzysk, to nie tylko pozycja kulinarna. Maori Murota prowadzi czytelnika po zatłoczonych tokijskich ulicach, przez maleńkie bary z przekąskami i mikroskopijne zakłady rzemieślnicze, gdzie powstaje np. tofu, do wielkich targowisk i kultowych tokijskich restauracji. Zagląda do garnków zwykłym Japończykom i mistrzom kuchni, tłumacząc niuanse tradycyjnych przepisów.

Autorka wychowała się w Tokio, pracowała w Nowym Jorku i Indonezji, by ostatecznie osiąść w Paryżu, gdzie jest szefową kuchni i prowadzi warsztaty gotowania domowych potraw japońskich. Kulinarną pasję i wiedzę przejęła od rodziców.

Wspomina ojca, który zabierał ją do ulubionych restauracji – „od luksusowych miejsc serwujących sushi począwszy, przez knajpy w dzielnicy Asakusa, w których podawano tradycyjny makaron soba, aż do yatai – drewnianych, rozklekotanych wózków, z których sprzedawano przepyszne yakitori". Matka, również wielka fanka kuchni, codziennie przygotowywała jej do szkoły bento. A raczej, co podkreśla autorka, „najlepsze bento w klasie, którego każdy chciał spróbować".

Książka Muroty to zaproszenie do wspólnego poznawania japońskiej kuchni (i tradycji). W skróconym dystansie, z wyjaśnianiem podstaw, ale też intrygowaniem kulinarnymi detalami. Miejscami przypomina zeszyt z przepisami dopełniany rysunkami i uwagami.

I tak np. w rozdziale „Asa teishoku. Śniadanie" najpierw pojawia się trochę podstawowych informacji: tradycyjne japońskie śniadanie nie może się obejść bez ryżu oraz dashi (bulionu używanego przede wszystkim do zupy miso, a przygotowanego z wody, katsuobushi, czyli suszonych płatków tuńczyka bonito i kombu tzn. suszonych wodorostów). Na śniadanie przydadzą się też: tsukemono (marynowane warzywa: kapusta pekińska, rzepa, ogórek z marchewką), ryby, jajka oraz natto – sfermentowane ziarna soi. „Konsystencja i zapach natto są dość szczególne, ale to danie jest nieodłączną częścią tradycyjnego japońskiego śniadania" – tłumaczy Murota.

Kluczowym składnikiem jest też pasta miso (potrzebna do zupy miso, ale również do marynowania mięsa i ryb, oraz jako dodatek do sosów, a nawet deserów). Powstaje z gotowanej soi oraz ryżu lub pszenicy (w zależności od regionu), które poddawane są procesowi fermentacji. Jej kolor zmienia się w zależności od składu i stopnia fermentacji. Miso można z grubsza podzielić na trzy rodzaje: czerwone (aka miso), brązowe (tanshoku miso) oraz białe (shiro miso). Przy czym, „jeśli w Japonii ktoś powie »miso«, ma na myśli brązowe, najczęściej używane", podpowiada Murota.

Jak przyrządzić onsen tamago, czyli jajka na miękko po japońsku, piszemy obok, ale co mieszkańcy Kraju Kwitnącej Wiśni cenią np. w ramenie, co jest kluczem do smaku placków senbei, pierożków gyoza, makaronów soba i udon, pulpecików z kurczaka (tsukuné) lub nadziewanych ciastek ryżowych (daifuku mochi)... o tym warto przeczytać w książce.

Jolanta Gajda-Zadworna
**Autorka książki „Tokio. Kultowe przepisy"*



Onsen tamago, czyli jajka na miękko

Wykonanie: Najpierw robimy dashi shoyu (z 200 ml sosu sojowego, 3 czubatych łyżeczek katsuobushi, czyli płatków suszonego tuńczyka bonito oraz 1 kawałka kombu). Taką mieszankę najlepiej nastawić na noc w słoiku, żeby smaki się połączyły. Następnego dnia rano jajka zalewa się wrzącą wodą i przykryte szczelnie pokrywką odstawia na 18 min. Po tym czasie obiera się je, wkłada do miseczki i polewa dashi shoyu.

Fot. Akiko Ida & Pierre Javelle, Shutterstock

eprasa.pl 3c57561b6e

SŁODKO-SŁONY

Na upał

ANNA MONICKA



Przekopywałam ostatnio archiwum zdjęciowe i znalazłam fotki trzyletniej córci obierającej pomidory. Jestem złą matką, więc zagoniłam ją do pomocy w kuchni – dziś niestety wykazuje już znaczniej mniej entuzjazmu, ale 10 lat temu zdjęła skórki z czterech czy pięciu kilogramów owoców, bo zaprosiliśmy przyjaciół na gazpacho. Na zdjęciu stoi dumna z wielkim pomidorem opartym o brzuch, na którym ma olbrzymią czerwoną plamę; sok ścieka jej po rękach i nogach. Kuchnia wygląda jak jatka. Ja w kąciku obieram ze skórki olbrzymie papryki i zalewam się łzami nad cebulą. Obok siedzi mój ukochany kot Duniuś – zawsze chciał wiedzieć, co robię, zwłaszcza przy garach, więc za swoją ciekawość płaci, bo po pyszczku też ciekną mu łzy.

Taka zupa to ratunek w upały. Pomidory przeciera się na sicie albo pozbawia nasion i miksuje. Na taką ilość (4–5 kg) trzeba wziąć 3–4 papryki, tyle samo zielonych ogórków, dużą cebulę, ząbek lub dwa czosnku, kilka kromek bagietki bez skórki (tak się robi w Andaluzji, skąd pochodzi to danie, ale dodawanie pieczywa nie jest konieczne, zróbcie to tylko wtedy, gdy chcecie mieć gęste gazpacho). Reszta to przyprawy: sól (polecam ciemną kala namak, bo nadaje zupie ciekawy smak i jest bogata w związki siarki, które działają jak nasza lecznicza woda Zuber, czyli leczą nadkwasotę), pieprz, oliwa, sok z limonki, ostra papryka do smaku. Blendujemy wszystkie składniki kilka minut i gar wędruje do lodówki, żeby smaki się przegryzły, a zupa schłodziła. Przed podaniem warto sprawdzić smak i ewentualnie dodać odrobinę cukru czy świeżo zmielonego pieprzu.

Świetnie smakuje z posiekaną kolendrą, grzankami albo po prostu w kubkach jako gęste picie. Można nawet podać ją z kostkami lodu.

Żeby nie robić jedzenia w koszmarnym upale, przecier pomidorowy można zrobić od razu hurtowo, gdy tylko pojawią się smaczne pomidory, a potem w porcjach zamrozić albo zapasteryzować. Odkąd mam zamrażarkę, zdecydowanie wolę wariant pierwszy. Najlepiej sprawdzają się strunowe woreczki, które napełniam musem w misce z wodą, żeby wycisnąć z nich powietrze.

Taki warzywny przecier nieraz uratował nam życie w upały. Jest pożywny, gasi pragnienie i uzupełnia elektrolity, które tracimy wraz z potem. Wybitnie mało pracochłonna konkurencja dla naszego chłodnika.

Fot. Shutterstock (3x)



WILCZYM OKIEM

Wzdręga i osoka

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Interesującą alternatywą dla tradycyjnego kalendarza jest fenologia. Fenologiczny porządek roku opiera się na obserwacji zjawisk przyrodniczych, np. kwitnienia poszczególnych gatunków roślin, owocowania, zrzucania liści itp. I tak np. w fenologii wiosna zaczyna się, kiedy kwitną leszczyny i podbiały, a więc – zależnie od regionu i pogody – gdzieś pomiędzy początkiem a końcem marca. Punktem odniesienia mogą być też wędrówki i lęgi ptaków, rójka chrabąszczy itp.

Istnieje możliwość powiązania zjawisk jednego rodzaju, np. etapów rocznego cyklu wegetacji roślin, ze zjawiskami innego rodzaju, np. dotyczącymi zwierząt. Chociażby kwitnienie i tarło ryb.

Zależności, które tu obserwujemy, są intrygujące. Przytoczmy kilka z nich, dotyczących jezior. Tarło szczupaków na płyciznach rozpoczyna się w momencie, gdy zakwita podbiał. Można także wyznaczyć koniec tarła zielonych drapieżników – przypada on na moment, gdy z dna jezior zaczynają wyrastać grążele żółte, a nad brzegami rozwijają się liście olch. Tarło okoni w płytkich, szybko nagrzewających się jeziorach zaczyna się, gdy rozwijają się pąki liściowe olszy czarnej, spod wody wyrasta pałka wodna i zakwitają kaczeńce. W jeziorach dużych i głębokich okres rozrodczy okoni zaczyna się później, kiedy okonie z małych jeziorek kończą już tarło, a więc w pełni kwitnienia mniszków. Tarło wzdręgi przypada na kwitnienie chabrów, żyta i osoki aloesowatej, natomiast lina na kwitnienie lip – i tak dla kolejnych gatunków ryb.

Oczywiście podejście fenologiczne, gdyby było podstawą kalendarza, wprowadzałoby pewnego rodzaju zamieszanie: pylenie leszczyny czy przylot bocianów mogą być przesunięte w różnych częściach kraju o kilka tygodni.

W wielu dziedzinach fenologia jest jednak ważniejsza od kalendarza tradycyjnego. Chociażby w rolnictwie – bez sensu byłoby rozpoczynać żniwa, sztywno kierując się datą i nie patrząc, że zboża nie są jeszcze dojrzały, czy przewozić pszczoły w rejon bogaty w lipy, zanim zaczną kwitnąć.

Poza aspektem praktycznym fenologia ma jeszcze jedną zaletę. Zauważanie i wiązanie zjawisk przyrodniczych, nawet jeżeli nie jesteśmy rolnikami, hodowcami czy rybakami, przybliża do zrozumienia przyrody – niezbędnego każdemu z nas, niezależnie od tego, czym się zajmujemy.

eprasa.pl 3c57561b6e

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Vivat konstytucja!



Polacy świadomi opresyjności systemu komunistycznego, jego totalnego zakłamania, negacji praw natury, supremacji ideologii, nie powinni mieć problemów ze zrozumieniem rozgrywającego się na naszych oczach od co najmniej pięciu lat konfliktu Polski z Unią Europejską i jej organami na czele z Komisją Europejską i Europejskim Trybunałem Sprawiedliwości. Za fasadą troski o łamanie praworządności, a teraz w sprawie uzgodnień Krajowego Planu Odbudowy, Europejskiego Zielonego Ładu czy polityki klimatycznej kryje się główny cel unijnej biurokracji – jak najskuteczniejsze podporządkowanie UE suwerennych państw, głównie z Europy Środkowej.

Tę część Europy wielokrotnie zagospodarowywali Niemcy. Ostatnio w czasie II wojny światowej, kiedy to część podbitych zachodnich polskich ziem weszła w struktury rdzennych Niemiec, część środkowa, peryferia, na równi z Protektoratem Czesko-Morawskim stała się Generalgouvernement, a wschód, wraz z ziemiami rosyjskimi miały tworzyć dwa obszary kolonialne – Ostland i Ukrainę. Całość nazwano – Grosswirtschaftsraum, czyli wielkim obszarem gospodarczym Niemiec, a w miarę dalszych podbojów, w 1943 r., przestrzeń tę nazwano Grosseuropäischer Raum (wielka europejska przestrzeń). Usilnie planowano wytworzyć typ Europejczyka, oczywiście niemieckiego.

Po wojnie w krajach Europy Środkowej, sprzedanej w Jałcie Sowietom, zadomowiła się moskiewska odmiana wielkiej przestrzeni gospodarczej. Powstała RWPG i rubel transferowy do rozliczeń w ramach tej strefy, a beneficjentem była oczywiście Moskwa. Poszerzenie UE o kraje Europy Środkowej wiąże się bezpośrednio ze zjednoczeniem Niemiec, a wcześniej z rozpadem Związku Radzieckiego. Polska Solidarność ma w tym swój udział.

Od 2004 r. Polska i inne kraje Europy Środkowej są częścią UE, w której pierwsze skrzypce niestety grają Niemcy. Oni też, pospołu z Holandią, są największymi beneficjentami wprowadzenia wspólnej waluty euro. Po 17 latach obecności Polski w Unii, dopasowywania się do jej kształtu, kończy się etap akcesji, a zaczyna konwergencji. W tej chwili na przeszkodzie do pełnej uniformizacji krajów Europy Środkowej z krajami starej UE stoją krajowe parlamenty stanowiące prawo oparte na narodowych konstytucjach. I tak jak Moskwa wychowała sobie w Polsce posłuszne, podległe jej elity, wyćwiczone w socjalistycznej nowomowie, tak Unia Europejska także je ma. Oddane kadry (elity?) polityczne, sędziowskie, samorządowe gotowe są zrezygnować z suwerenności własnego kraju na rzecz UE, w kształcie ideologicznym i politycznym narzuconym przez pozbawione demokratycznego mandatu jej instytucje.

Dwie z nich – Komisja Europejska i Trybunał Sprawiedliwości UE – wykonują to, co potocznie nazywa się grillowaniem Polski i Węgier, dwóch krajów, w których nie udaje się zainstalować posłusznych rządów lewacko-liberalnych. Wymienione na wstępie główne tematy „wokandy europejskiej" z nowymi krajami UE są sposobem na związanie ich z centralą w Brukseli tak silną siecią zależności, aby miały jak najmniejsze pole do samodzielnego działania. Krajowy Plan Obudowy do poprawki? – niekoniecznie, chyba że odpuścicie sobie reformę sądownictwa. Zielony Ład bez rezygnacji z tradycyjnych kopalin? Może tak, ale pod warunkiem poprawy kwestii tzw. praworządności.

Ale jak to skutecznie zrobić, skoro na przeszkodzie stoi krajowa konstytucja? Polskie sprzedajne „elity" wiedzą jak. „Są dwa wyjścia – twierdzi Ewa Kopacz – albo zmienimy polską konstytucję i dostosujemy ją do prawa unijnego, albo wyjście z Unii Europejskiej". Ten ostatni scenariusz skrywa oczywiście jej zdaniem partia rządząca.

Kompletny ignorant, dyletant prawny i polityczny, marszałek Senatu Tomasz Grodzki, nim jeszcze zebrał się Trybunał Konstytucyjny, ogłosił, że jego wyrok, jeśli potwierdzi wyższość polskiej konstytucji na prawem UE, będzie z mocy unijnego prawa nieważny. Bo wcześniej tego samego dnia, 14 lipca br., pojawiła się wprost bezczelna presja na polski Trybunał Konstytucyjny ze strony TSUE. Wiceprezes TSUE Hiszpanka Rosario Silva de Lapuerta, ta sama, która zażądała natychmiastowego zamknięcia kopalni Turów, nakazała równie natychmiastowe zawieszenie stosowania przepisów krajowych związanych z działalnością Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego.

I doczekaliśmy się szybkiego, adekwatnego orzeczenia wyroku Trybunału Konstytucyjnego, według którego domaganie się przez TSUE od państwa członkowskiego stosowania środków tymczasowych w sprawie ustroju i właściwości polskich sądów oraz trybu postępowania przed polskimi sądami jest niezgodne z Konstytucją RP. Inaczej mówiąc – TSUE „nie jest sądem wyższej instancji nad sądami krajowymi, a wyroki tego sądu nie mogą stanowić aktów władczych wobec sądów krajowych".

Nie mogę się doczekać ostatecznego wyroku TK, że polska konstytucja stoi przed unijnym prawem. Warto więc poobserwować, kto ucieszy się z tego wyroku, a kto będzie wieszał łachy na Polsce. To ci, dla których „polskość to nienormalność", którym obojętna jest nasza suwerenność.

Vivat konstytucja!

Reklama | 37/0721/F

eprasa.pl 3c57561b6e

TAURON



100 PYTAŃ O FOTOWOLTAIKĘ

Odpowiedzi jasne jak słońce!

Pobierz bezpłatny poradnik i poznaj odpowiedzi na najczęściej zadawane pytania o fotowoltaikę.

tauron.pl/ebook

eprasa.pl 3c57561b6e

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Igrzyska nonsensu



Aleksander Nalaskowski

Jest taka granica nonsensu, za którą nie ma już ani śmiechu, ani zdziwienia. Nawet ręce nie opadają, bo opadły już wcześniej z dziesiątków innych powodów.

Znajomy opowiadał mi, że opiekował się starą ciotką. Wpadał do niej, robił zakupy, czasami nawet coś gotował. Gdy coś go zatrzymało i nie mógł starszej pani odwiedzić, to dzwonił. A telefony były wówczas tylko stacjonarne. Pewnego dnia nie mógł się dodzwonić. Telefon był ciągle zajęty. Godzinę, dwie, trzy, cztery. W końcu coś tam w pracy poprzestawiał, wsiadł w auto i pojechał na drugi koniec miasta, aby sprawdzić, co się u ciotki dzieje. Został ją siedzącą na fotelu przy stoliku, na którym stał telefon. Tyle że słuchawka leżała obok aparatu. Niemal wrzasnął na seniorkę, dlaczego robi takie rzeczy, a ona spokojnie: „Bo czekam na bardzo ważny telefon". Kompletny nonsens, prawda? Pewnie dla tych, którzy znają tylko telefony komórkowe, ta historia jest zupełnie niezrozumiała.

Znajomy aktor zapytany przeze mnie, czy jest sens grania dla widowni wypełnionej tylko do połowy (z powodu pandemii), powiedział, że „sens jest połowiczny". Pamiętam też historię z pewnego kina (gdy jeszcze istniały normalne kina), w którym pracował operator starej daty. Otóż nawet gdy nie sprzedano ani jednego biletu (tak bywało często w przypadku ruskich filmów), to i tak odpalał maszynerię i puszczał film, którego wszak nikt nie oglądał!

Czy miałoby jakikolwiek sens głoszenie wykładu do pustej sali? Czy urządzenie wystawy obrazów byłoby sensowne, gdyby nikogo o niej nie poinformowano, gdyby nie odbył się wernisaż?

Dlaczego o tym wszystkim piszę? Otóż przez całe starsze dzieciństwo, nastoletniość i młodość kochałem igrzyska olimpijskie. Marzyłem o starcie w olimpiadzie, ale kontuzja wyeliminowała mnie z wyczynu jeszcze na poziomie juniorskim. W zbyt ambitnie obciążanym organizmie wysiadło najsłabsze ogniwo. Ot, taka selekcja naturalna. A naprawdę znakomicie się zapowiadałem. Ale zainteresowanie sportem olimpijskim nie wygasło. Jeśli tylko byłem w mieście, w którym kiedyś odbyła się olimpiada, imperatyw wewnętrzny nakazywał odwiedzenie słynnej areny. Berlin, Barcelona, Rzym, Ateny, Londyn, Meksyk, Sztokholm...

Pierwszą olimpiadą, która mnie już na zawsze wciągnęła, była ta w Tokio. W 1964 r. rodzice kupili pierwszy telewizor. Od olimpiady nie mogłem oderwać wzroku. Potem igrzyska meksykańskie i kosmiczny skok Boba Beamona czy flop Dicka Fosbury'ego. Oczywiście złoto Baszanowskiego, Kuleja, Pawłowskiego, Szewińskiej... Potem niesamowite Monachium i wyczyn Komara, złoto piłkarzy, Montreal i Janusz Peciak, Tadeusz Ślusarski, znów Irena Szewińska i oczywiście siatkarze ze słynnym Wagnerem, którego interesowało tylko złoto. To były chyba ostatnie normalne igrzyska, ale polityka już dała mocniej o sobie znać napaścią Palestyńczyków na część wioski olimpijskiej. Zginęli ludzie. W 1980 r. w Moskwie nie pojawili się reprezentanci wielu państw zachodnich, to była reakcja na sowiecką agresję w Afganistanie, co odbiło się m.in. na wynikach i podziale medali w jeździectwie, lekkoatletyce czy żeglarstwie. Ale sukces Bronka Malinowskiego w biegu na 3000 m z przeszkodami był bezsporny. W rewanżu cztery lata później w Los Angeles, z rozkazu Moskwy rzecz jasna, w igrzyskach nie wzięli udziału sportowcy z bloku wschodniego, w tym polscy mistrzowie. Nikt nigdy za to nie odpowiedział. Polityka trwale wlazła do sportu.

Z czasem moje zainteresowanie olimpiadami zmalało. Drażniła komercja, informacje o wysokich łapówkach, polityczna poprawność.

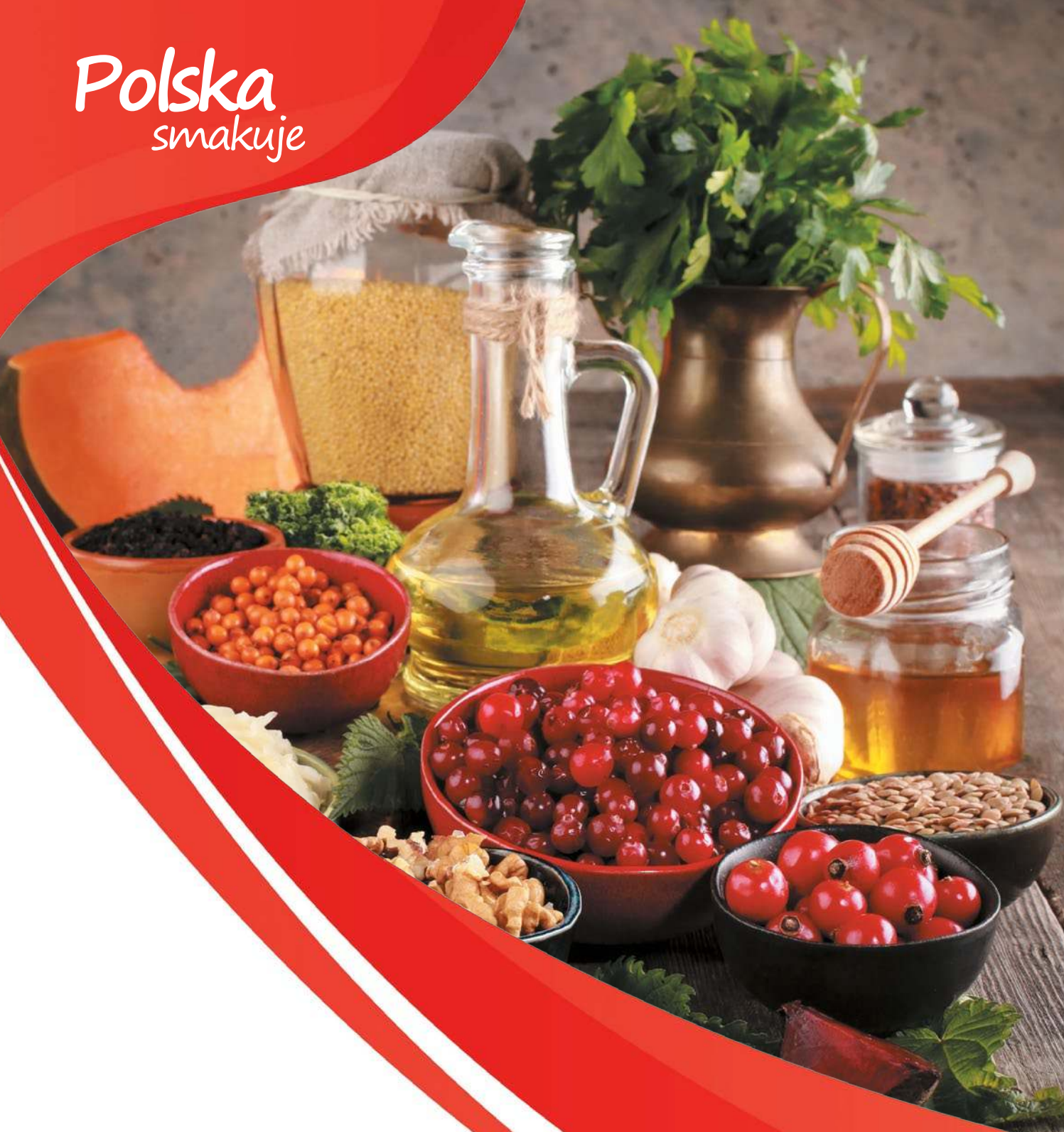
Za chwilę rozpoczną się igrzyska w Tokio. U mnie wszystko zaczęło się od Tokio i na Tokio najwyraźniej ma się skończyć. Bo to koniec. Okazuje się bowiem, że w barwach Nowej Zelandii wystartuje ciężarowiec, facet podający się za kobietę. Zawodnik, którego wyniki, jako mężczyzny, lokują go poza pierwszą dwusetką w jego wadze na świecie, przezwał się Laurel, powiedział, że jest kobietą i wystartuje w Tokio. Może nawet zdobyć medal. To tylko przykład. Takich przypadków będzie więcej. Z daleka pachnie to szwindlem i przekreślaniem zasad fair play. Bo zawsze zmiana jest w jedną stronę. Przebrane w spódniczki chłopy chcą wygrywać z niewiastami. Nigdy zaś na odwrót. Jakoś nie słychać o transferach płciowych z grupy kobiet do grupy mężczyzn. Ale to przecież zrozumiałe. Nasza wybitna Anita Włodarczyk, rzucając męskim młotem, z chłopami nie miałaby szans nawet na mistrzostwo Polski juniorów. Ale gdyby Pawłowi Fajdkowi przyszło do głowy, by zostać Paulą, to rzucając młotem damskim, ważącym niemal o połowę mniej od męskiego, mógłby zdobywać medale do późnej starości.

Ta cała olimpijska komercha, szwindle, doping, teatralność i polityczna poprawność zabiły ideę olimpijską Pierre'a de Coubertina, zamieniając igrzyska w nonsens. Nie należy zatem żałować, że impreza w Tokio odbędzie się bez udziału widowni, bez pełnych trybun, bo już chyba nie ma czego podziwiać. Za cztery lata będzie jeszcze gorzej.

Reklama | 42/0621/F

eprasa.pl 3c57561b6e

Polska smakuje



#SolidarnizRolnikami

MINISTERSTWO ROLNICTWA I ROZWOJU WSI

Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa

Szukaj produktów i informacji o certyfikatach i oznaczeniach na stronie **www.polskasmakuje.pl**.

eprasa.pl 3c57561b6e

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Wirówka normalności

Słowo klucz ostatnio to „normalność”



Ryszard Makowski

W komunie miało się świadomość egzystencji w ramach eksperymentu na ludziach. Żyło się nadzieją, że za żelazną kurtyną czeka kliniczna normalność. Dzisiaj, kiedy już jesteśmy tym „Zachodem”, poczucie grzęźnięcia w absurdzie jest tym bardziej dotkliwe. Tęczowy homosamochodzik wwiózł piłkę w finale Euro 2020. Kapitan Anglików Harry Kane z tęczową opaską. Przed gwizdkiem sędziego zawodnicy uklękli. Tę wzniosłą oprawę przedmeczową uzupełnili angielscy kibice. Dewastowali Londyn, deptali włoskie flagi, prali się z fanami włoskiej drużyny, a nawet widowiskowo wkładali sobie race w tylną część ciała. Fotką meczu zostało ujęcie, gdy biały włoski obrońca ciągnie brutalnie za koszulkę angielskiego Afroamerykanina. Skaza na politpoprawności.

Wysiłki, by człowiek był normalny, są podejmowane en bloc. Na popularnym portalu uczącym języków obok: „Mein Onkel hat ein Auge”, należy przyswoić: „Er liebt seinen Mann”. Zaraz? Sprawdzamy. „He loves his husband”. Nie wiedzieć czemu, pod tym normalnym zwrotem na forum portalu: 0 Comments THIS DISCUSSION IS LOCKED. Normalność wróci, gdy wszyscy się zaszczepią.

We Francji w ramach tego powrotu osoby bez certyfikatu szczepienia przeciw covidowi nie wejdą do restauracji, centrów handlowych czy placówki medycznej. A teraz nas czeka apogeum normalności. Zgodnie z nakazami UE musimy pozamykać kopalnie i elektrownie, ale za to już w 2035 r. auta będą wyłącznie na prąd. To ma sens. I tak to z nienormalnej komuny wpadło się pod rynnę agresywnej normalności.

eprasa.pl 3c57561b6e

Michał Korsun prezentuje:
Wolność wiodąca lud na barykady Paryża



Kolaż fragmentu obrazu Eugène'a Delacroix – „Wolność wiodąca lud na barykady"

Wycinki z przeszłości

„Wierny przyjaciel" – tak w prasie polskiej w roku 1938 reklamowano odbiorniki radiowe. Miały być gwarancją szampańskiej zabawy – i były. Ale, jak czytamy w jednej z notatek z tego okresu, „w niektórych okolicach, zwłaszcza na Kresach Wschodnich, radio ciągle jeszcze budzi sensację, a czasem zastrzeżenia co do swych praw działania". We wsi Pohrebiszcze koło Wilejki wydarzył się taki oto incydent. „W jednej ze szkół Polska Macierz Szkolna założyła radio lampowe. Stawiły się dzieci, zeszli się bardzo tłumnie okoliczni gospodarze. Wśród nich znajdował się szanowany 115-letni staruszek. Audycji wysłuchano w skupieniu i radości. Tylko ów staruszek oświadczył, że »rzecz jest dobra, ale chytra i ocyganiona«. Domagał się, by nauczyciel pokazał wreszcie, gdzie schował »tego, co gra i gada«. Żadne wyjaśnienia nie pomogły".

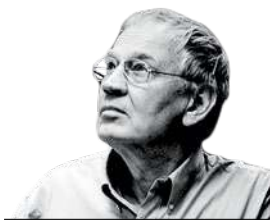


Przypadki takie, podkreślał autor artykułu, należały jednak do rzadkości, a dominowała świadomość, jak bardzo radio przybliża świat wiedzy i piękna.

(mk)

Arcydzieło i perła...

Usłyszałem znowu niedawnej niedzieli tę „Pieśń". Poruszony jej pięknem i dostojeństwem postanowiłem i Państwu przypomnieć to zaiste arcydzieło poetyckie i perłę polszczyzny...



Leszek Długosz

Jan Kochanowski (1530–1584)
„PIEŚŃ I" (z Fragmentów)

Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary?
Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary?
Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie,
I w otchłaniach, i w morzu, na ziemi, na niebie.
Złota też, wiem, nie pragniesz, bo to wszytko Twoje,
Cokolwiek na tym świecie człowiek mieni swoje.
Wdzięcznym Cię tedy sercem, Panie, wyznawamy,
Bo nad to przystojniejszej ofiary nie mamy.

Tyś Pan wszytkiego świata, Tyś niebo zbudował
I złotemi gwiazdami ślicznieś uhaftował.
Tyś fundament założył nieobeszłej ziemi
I przykryłeś jej nagość zioły rozlicznemi.
Za Twoim rozkazaniem w brzegach morze stoi,
A zamierzonych granic przeskoczyć się boi.

Rzeki wód nieprzebranych wielką hojność mają,
Biały dzień a noc ciemna swoje czasy znają.
Tobie k woli rozliczne kwiatki Wiosna rodzi,
Tobie k woli w kłosianym wieńcu Lato chodzi.
Wino Jesień i jabłka rozmaite dawa,
Potym do gotowego gnuśna Zima wstawa.
Z Twej łaski nocna rosa na mdłe zioła padnie,
A zagorzałe zboża deszcz ożywia snadnie.
Z Twoich rąk wszelkie źwierzę patrza swej żywności,
A Ty każdego żywisz z Twej szczodrobliwości.

Bądź na wieki pochwalon, nieśmiertelny Panie!
Twoja łaska, Twa dobroć nigdy nie ustanie.
Chowaj nas, póki raczysz, na tej niskiej ziemi;
Jedno zawżdy niech będziem pod skrzydłami Twemi!

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	**75** zł	**139** zł	**245** zł
wSIECI HISTORII	–	**29** zł (3 wydania)	**54** zł (6 wydań)
pakiet **SIECI** i **wSIECI HISTORII**	–	**158** zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	**280** zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 3c57561b6e



Żeby budować, by kumulował się dorobek jakiejś społeczności, niezbędny jest nienaruszany – przez dłuższe okresy czasu – fundament

OD A DO ZYBERTOWICZA

Pętla

Wakacje mają swoje szaleństwa. Oto jedno z nich: próba ugryzienia grubego filozoficznego problemu w krótkim felietonie.

Ludzie cały czas szukają ogólnych formuł, które w skrótowej formie (Biblia jest supergruba) mówią, jak dobrze urządzić społeczny świat. Twitter bodaj jest najdogodniejszym – co nie znaczy najlepszym – miejscem lansowania takich formułek.

PSYCHOLOG EWOLUCYJNY

Steve Stewart-Williams jest psychologiem ewolucyjnym. Jedna z jego książek – „Darwin, Bóg i sens życia" – ukazała się po polsku. Niedawno na Twitterze przytoczył spostrzeżenie filozofa Bertranda Russella (1872–1970).

NOBLISTA NR 1

Russell, który dostał w 1950 r. Nobla w dziedzinie literatury, zauważył: „Podstawowa różnica między światopoglądem liberalnym a nieliberalnym polega na tym, że o ile ten pierwszy uznaje, iż wszelkie kwestie są otwarte na dyskusję, a wszystkie poglądy w większym lub mniejszym stopniu są podatne na wątpliwości, to ten drugi z góry zakłada, że niektóre poglądy są absolutnie niekwestionowalne, a żaden argument przeciw nim nie powinien być dopuszczony. Osobliwe w tym punkcie widzenia jest przekonanie, że gdyby bezstronne dociekanie byłoby dopuszczone, prowadziłoby ono do błędnych wniosków, a zatem ignorancja jest najlepszym zabezpieczeniem przed błędem. Taki punkt widzenia nie może być zaakceptowany przez nikogo, który życzyłby sobie, aby ludzkim postępowaniem kierował raczej rozum aniżeli uprzedzenia".

Was to przekonuje? Mnie też, ale tylko na pierwszy rzut oka. Deklaracja Russella wikła się bowiem w dobrze znany paradoks relatywizmu: oczekuje on równoprawnego traktowania wszelkich punktów widzenia, lecz zarazem przeciwstawia się tym, którzy relatywizm kwestionują. Nic dziwnego, że twitterowa komentatorka Stewarta-Williamsa napisała, że w istocie prawie każdy ma poglądy nieliberalne, że liberalizm już nie pierwszy raz zawodzi w swym idealistycznym nierozumieniu ludzkiej natury (Twitter zaliczył to do kategorii wpisów, które „mogą zawierać nieodpowiednie treści").

FRANCUSKA FILOZOFKA

Trzeba być uwolnionym od trosk codzienności, by pozwalać sobie na kwestionowanie wszystkiego. Tymczasem my, ułomni, skończeni ludzie, nie jesteśmy w stanie żyć, ciągle wszystko kwestionując. Jak zauważyła Chantal Delsol: „Społeczeństwa to nie kółka intelektualistów".

NOBLISTA NR 2

Można też stanowisko Russella podważyć, sięgając po autorytet Friedricha von Hayeka (1899–1992; Nobel z ekonomii w 1974 r.). Szkicując w latach późniejszych teorię wiedzy, Hayek zauważył: „Gdybyśmy [...] mieli porzucić wszystkie hipotezy, których prawdziwości nie możemy udowodnić, wrócilibyśmy wkrótce do poziomu dzikusów, którzy ufają wyłącznie swoim instynktom".

Hayek chyba lepiej od Russella rozumiał, że ludzki jednostkowy umysł oraz ludzka kultura potrzebują jakiegoś fundamentu, punktu oparcia, który przyjęty jest... na wiarę. Żeby budować, by kumulował się dorobek jakiejś społeczności, niezbędny jest nienaruszany, niekwestionowany – przez dłuższe okresy czasu – fundament. Kulturowe niezmienniki. Czyli skała. Na przykład ta biblijna. Tabu chronione przed pochopnym kwestionowaniem. Z drugiej strony obszar owych tabu nie może być zbyt rozległy, gdyż groziłoby to kulturze martwotą.

PĘTLA

Zwolennicy liberalizmu, którzy tej swoistej równowagi między konserwatyzmem a zmianą/„postępem", tej pętli myślenia nie chcą przyjąć do wiadomości, wpadają w pułapkę stronniczości i propagandy. W przypadku Wikipedii niedawno dowodnie wykazał to Larry Sanger, jeden z jej założycieli. Spory rozrywające tkankę społeczną USA nie są przez autorów Wikipedii przedstawiane neutralnie – tak by czytelnik po zapoznaniu się z faktami i argumentami mógł wyrobić sobie własne stanowisko. Nie. Wikipedia odgórnie – wbrew przesłaniu Russella – przesądza, co można kwestionować, a w co wątpić NIE WOLNO.

Prawdopodobnie z tej pętli – irracjonalne/racjonalne/irracjonalne, nieliberalne/liberalne/nieliberalne – nigdy się nie wymkniemy. Ale nie wolno jej pochopnie, pod liberalnymi hasłami, zacieśniać.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja | Reklama 22/0721/F

eprasa.pl 3c57561b6e

26 LIPCA

w tygodniku SIECI

DODATEK W 77. ROCZNICĘ WYBUCHU POWSTANIA WARSZAWSKIEGO



Pamiętamy o ofiarach!
Chwała Bohaterom!

Wyjątkowi bohaterowie Powstania Warszawskiego:

- **Krzysztof Kamil Baczyński** – wielki poeta czasu wojny
- **Ewa Matuszewska** – młodziutka sanitariuszka rozstrzelana wraz z rannymi, których nie chciała opuścić
- **August Agboola Browne** – nigeryjski perkusista jazzowy, który walczył w powstaniu

Oraz zdjęcia **Hannsa von Kranhalsa**, który udokumentował m.in. rzeź Woli

PARTNERZY DODATKU

ORLEN

TOTALIZATOR SPORTOWY

65 LAT TOTALIZATORA SPORTOWEGO

eprasa.pl 3c57561b6e

POLSKA

JESTEŚMY JEDNĄ DRUŻYNĄ

TOKIO2020
#TeamPolska



SPONSORZY I PARTNERZY PKOL I POLSKIEJ REPREZENTACJI OLIMPIJSKIEJ

ORLEN	LOTTO	Enea	4F	GRUPA LUXMED	LOT POLISH AIRLINES
Sponsor Strategiczny	Sponsor Generalny	Sponsor	Sponsor Kolekcji Olimpijskiej	Główny Partner Medyczny	Oficjalny Przewoźnik

eprasa.pl 3c57561b6e